



PAMFLET TOMASZA ROWIŃSKIEGO:

„Tygodnik Powszechny”
– pismo niegdyś katolickie



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 48/401 23–29 LISTOPADA 2020 CENA 7,90 Zł (W TYM 8% VAT)

Semka zagląda
do rozhuśtanej łodzi PiS

DODATEK SPECJALNY:
ROSYJSKA POLITYKA
HISTORYCZNA,
CZYLI KŁAMSTWO
W SŁUŻBIE
IMPERIUM



Gasnąca gwiazda
Marty Lempart



Nakład: 556 000 egzemplarzy

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

URSULA VON DER LEYEN,
PRZEWODNICZĄCA KOMISJI EUROPEJSKIEJ

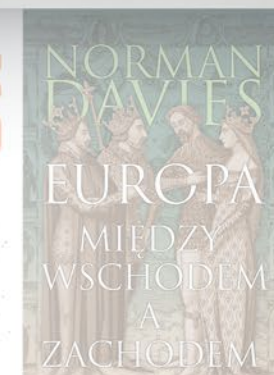
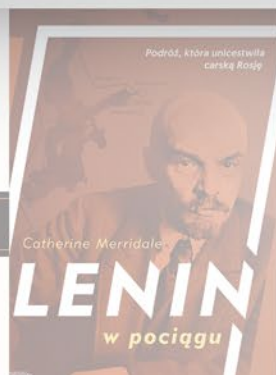
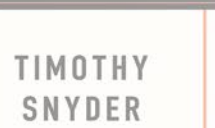
UNII TRZEBA POWIEDZIEĆ: DOŚĆ

Polexit – mamy prawo o tym rozmawiać

Historia

w naszym wydaniu -

**PORUSZAJĄCA
I AUTENTYCZNA**





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Czego naprawdę się boimy?

Uderz w stół, a nożyce się odezwią. Ledwo wspomniałem o potrzebie rozważenia dalszej polskiej obecności w Unii, a już gromko zaczął śpiewać chór oburzonych, poruszonych, dotkniętych, a czasem wręcz, co wiadać było w Internecie, wściekłych. Jak to tak? Z Unii Polska wyjść może? O polexicie ktoś wspomina? Zbrodnia to niesłychana, gorzej niż zbrodnia, myślozbrodnia. Z takimi ludźmi nie wolno rozmawiać. Trzeba ich natychmiast do pionu ustawić, do porządku przywołać.

Ciekawe, że w tej furii mało kto, ośmielił się powiedzieć – nikt prawie, nie zauważył, że ewentualne wyjście z Unii jest jedynie, sądzę, odpowiedzią na coraz bardziej beczelną próbę narzucenia Polsce ideologii LGBTQ (dodaję ostatnią literkę zgodnie z oryginałem brukselskim) i na arbitralne rozszerzanie praw Komisji Europejskiej, która chce być sędzią oceniającym stopień przestrzegania praworządności w poszczególnych państwach. Czy to Polska szuka awantury? Czy to Warszawa wymyśla kolejne projekty „równościowe”? Przecież gdyby przyjąć za dobrą monetę to, co mówi i czego domaga się pani Ursula von der Leyen, razem z paniami Věrou Yourovą i nową gwiazdą Heleną Dalli, należałoby w ogóle Polskę rozwiązać, polską kulturę zaorać, polski szacunek dla tradycji chrześcijańskiej (zapisany w konstytucji) na śmietnik wyrzucić.

Do licha, kto tego nie rozumie? Kto nie zauważa, że Unia Europejska coraz częściej przypomina niesław-

nej pamięci Związek Sowiecki? I dlaczego mam to łykać, dlaczego mam się z tym godzić, dlaczego mam nie protestować i nie wzywać, właśnie w tej sytuacji, kiedy to szaleńcy dorwali się do władzy i wpływów w Unii, żeby ją, jeśli nie da się inaczej, opuścić? Jedyne kontrargumenty, jakie słyszałem, brzmi tak: skoro płacą, to trzeba słuchać. Pięknie. Potomkowie narodu, który w obronie suwerenności zawsze stawał jako pierwszy, mają teraz sprzedać swoją duszę za... ile miliardów euro? Ile kosztuje nasza wolność i niepodległość? Zresztą nawet do końca nie wiadomo, ile kosztuje i czy kosztuje, bo kiedy rzecz dochodzi do wyliczeń, okazuje się, że owe wielkie pieniądze, które mają nas kupić, to może być bańka mydlana.

Jest też drugi argument, emocjonalnie ważniejszy. Ledwo zatem powiedziałem, co powiedziałem, od razu zostałem putinistą, ruskim pacholkiem, onucą itd. Pominę inwektywy. Poważne pytanie brzmi: Czy wyjście Polski z Unii naraża nasze bezpieczeństwo i oddaje nas w ręce Rosji? Trzeba to pytanie postawić i nazwać, bo jest ono, mam wrażenie, nieuświadomionym prawdziwym powodem strachu przed rozważaniami o wyjściu z Unii. A więc jak to jest?

Po pierwsze, wyjście z Unii w żadnym razie nie pociąga za sobą wyjścia z NATO, a to sojusz północnoatlantycki i przynależność do niego zabezpieczają militarnie Polskę. Wyjście z Unii, gdyby do niego doszło, nie zmienia, podobnie,

prostego faktu, że na terenie Polski stacjonują amerykańscy żołnierze.

Po drugie, na czym konkretnie polega to rosyjskie zagrożenie? Jeśli chodzi o groźbę militarną, to sprawa jest jasna, ale przed nią chroni nas właśnie NATO. Zagrożenie gospodarcze? Wolne żarty. Wystarczy spojrzeć na poziom wymiany handlowej, na udział kapitału rosyjskiego, na znaczenie rosyjskiego biznesu w Polsce, by zauważyć, że nie jest to coś, co spędzać nam może sen z oczu. Nawet jeśli chodzi o uzależnienie od rosyjskich surowców, to dzięki ostatnim inwestycjom dokonywanym przez rząd uzależnienie Polski znacznie zmalało. Wreszcie może chodzi o niebezpieczeństwo uzależnienia cywilizacyjnego czy kulturowego? Znowu, ogarnia mnie pusty śmiech. W Polsce nie ma, na szczęście, żadnych sił politycznych, które odwołują się do putinowskiego systemu władzy, które w Rosji widzą punkt odniesienia. Nie ma i tyle. O ile zatem nie można lekceważyć zagrożenia militarnego, o tyle akurat przynależność do Unii przed nim nie chroni. Groźba podległości gospodarczej znacznie się zaś zmniejszyła, a rosyjskie wpływy kulturalne nie istnieją.

Dlatego ta podświadoma irytacja i strach – o Boże, kto mówi o opuszczeniu Unii, jest putinistą – wskazuje nie tyle na roztropną troskę o polskie interesy, ile na niedojrzałość. W istocie na brak zaufania do polskiej suwerenności, do własnej wartości, do siły polskiego państwa. Przeciwnie: właśnie wyobrażenie, że ewentualne wyjście z Unii skazuje nas na podległość Rosji, jest efektem po pierwsze kompleksu niższości, po drugie zaś ulegania wizji polityki bezalternatywnej. Strach przed Rosją jest poręcznym instrumentem wymuszania na Polsce posłuszeństwa wobec zachodnich szaleństw ideologicznych. Mamy się godzić na wszystko, bo... inaczej przyjdzie rosyjski niedźwiedź i nas zje. A my się go boimy. Tak strasznie boimy, że wolimy, żeby nas zjadł ktokolwiek inny, tęczowy, brukselski niedźwiedź. Cóż, nie widzę w tym rozumowaniu logiki. To raczej, powtarzam, majaki przestraszonego dziecka. ©©

RYSUNEK TYGODNIA



„Przekuwanie sierpów i młotów na błyskawice”
według Artura Grottgera

TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

CHCESZ POZOSTAĆ W UNII, SZYKUJ POLEXIT

Suwerenność a „kontrola praworządności”

20 TOMASZ CUKIERNIK

UE NAS ŁUPI

24 TOMASZ ROWIŃSKI

UNIJNA ROZGRYWKA



KRAJ

26 PIOTR SEMKA

ROZHUŚTANA ŁÓDŹ PIS

Teraz jest czas na rekonstrukcję

28 MARCIN MAKOWSKI

GASNĄCA GWIAZDA LEMPART

30 ANDRZEJ KRZYSTYŃIAK

FIKcja UPAMIĘTNIANIA POLSKICH OFIAR

32 TOMASZ ROWIŃSKI

PISMO NIEGDYŚ KATOLICKIE

34 ROZMOWA Z PROF. ROBERTEM FLISIAKIEM

ZA TRZY, CZTERY MIESIĄCE PANDEMIA WYGAŚNIE

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

OSTATNIE E-POŻEGNANIE

KULTURA

38 WIESŁAW CHEŁMIŃIAK

U REMARQUE'A BEZ ZMIAN

Jak wytrzymać próbę czasu

40 PIOTR GOCIEK

CHŁOPCY Z OMAHA



NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

49

ROSYJSKA POLITYKA HISTORYCZNA – KŁAMSTWO W SŁUŻBIE IMPERIUM

OPINIE

66 ANDRZEJ NOWAK

CHIŃSKIE ŹRÓDŁA POLITYCZNEJ REFLEKSJI

Fragment najnowszej
książki prof. Andrzeja
Nowaka

70 ŁUKASZ WARZECHA

TRZYMAJĄCY SIĘ



HISTORIA

72 PIOTR ZYCHOWICZ

JAK JAPONIA POPEŁNIŁA HARAKIRI

Geneza wojny na Pacyfiku



ŚWIAT

76 MARIA KĄDZIŁSKA

CHIŃSKIE WOJNY GWIEZDNE

Ambitne plany Pekinu



78 ŁUKASZ CZARNECKI

KALIGULA Z TAJLANDII

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI

BOOM NA GRY Z POLSKI

W gamingu to polskie studia
wyznaczają trendy

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK

W MILCZENIU

Dobrodziejstwo ciszy

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ

NIE PUCHNĘ PIĘKNIE

Choroby rzadkie

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (75), PRZYBYLSKI (80), GABRYEL, WARZECHA (86), KOMUDA (94), ZALEWSKI, MAKOWSKI (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)

RMF FM

Numer 1

wśród opiniotwórczych
stacji radiowych w 2020 roku

wg Instytutu Monitorowania Mediów

Jedno jabłko z wieczora i nie ma doktora

Stanisław Karczewski (PiS)

o sposobach walki z epidemią koronawirusa

*Tam, gdzie będzie to możliwe, najprawdopodobniej
spółki państwowe powinny kupować media.*

Minister Piotr Gliński o repolonizacji mediów

*Niemal codziennie do szpitali trafia osiem
autobusów pacjentów. Jesteśmy u progu katastrofy.*

Dr Paweł Grzesiowski



**Robert Mazurek
zapraszam o 8:02**

2 615 000
słuchaczy

**Poranna
Rozmowa
RMF**

1 201 000
słuchaczy
Gość Radia Zet



421 000
słuchaczy
Salon Polityczny
Trójki



281 000
słuchaczy
Gość Poranka
(Tok FM 7:45)



Źródło:
Radio Track, Kantar Polska, 01-06.2020, audytoryum średniego kwadransu (kwadrans z audycją), dni powszednie, wszyscy 15-75 lat



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela), Tomasz Cukierm, Krzysztof Czabanski, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenkowski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torasiński, Szezech Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Włoczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Marcin Buggaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**

Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**

Okładka: **Michał Christen/EU/EP, Krystian Maj/Forum; oprac. graf. JAN/Pegaz**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borecki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**; tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 56 600 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

W tym tygodniu w listach m.in. petycja byłych działaczy opozycji antykomunistycznej (listę sygnatariuszy opublikowaliśmy na DoRzeczy.pl) do marszałek Sejmu Elżbiety Witek. Przypominamy, by e-maile do redakcji kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

PETYCJA

Wielce Szanowna Pani Marszałek, my niżej podpisani byli działacze i uczestnicy opozycji antykomunistycznej lat 80. ubiegłego wieku, działając w interesie publicznym i w oparciu o treść przepisów art. 2 i 3 ustawy z dnia 11 lipca 2014 r. o petycjach (tj. Dz.U. z 2018, poz. 870), zwracamy się do Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej o niezwłoczne znalezienie ustawy z dnia 18 grudnia 1998 r. o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu (tj. Dz.U. z 2019 r., poz. 1882, z 2020 r., poz. 1273) w ten sposób, aby z Instytutu Pamięci Narodowej wyłączyć Główną Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu i przenieść do struktur prokuratury powszechnej oraz umożliwić przeprowadzenie weryfikacji prokuratorów pionu śledczego IPN pod kątem rzetelności i efektywności ich pracy.

Nasz postulat wynika ze skrajnie negatywnej oceny pracy pionu śledczego IPN na przestrzeni ostatnich lat. Idea stworzenia odrębnego pionu śledczego w strukturze IPN, która miała doprowadzić do skutecznego ścigania zbrodni komunistycznych przeciwko Narodowi Polskiemu, nie sprawdziła się, wręcz okazała się fatalną w swoich skutkach pomyłką. Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu po 20 latach funkcjonowania jawi się jako skrajnie nieefektywna i zachowawcza; w wielu przypadkach wręcz się skompromitowała.

Najważniejsze śledztwa prowadzone od wielu lat, na które przeznaczono znaczne nakłady finansowe, nie przyniosły oczekiwanych przez opinię publiczną rezultatów.

Jako drastyczny przykład wskazujemy postępowanie przygotowawcze prowadzone pod sygn. akt S 38/04/Zk w sprawie zbrodni katyńskiej. Śledztwo

jest prowadzone od 16 lat. Do tej pory nie odnaleziono miejsc zbrodni oraz danych identyfikacyjnych ponad 7000 obywateli RP zamordowanych przez NKWD. W tym okresie pion śledczy IPN nie zdołał nawet ustalić przypuszczalnej lokalizacji „dołów śmierci”, o przeprowadzeniu prac ekshumacyjnych nie wspominamy. Z kolei śledztwo prowadzone pod sygn. akt S 17/06/Zk w sprawie funkcjonowania w okresie od 28 listopada 1956 r. do 31 grudnia 1989 r. w strukturach MSW PRL związku przestępczego zostało w ubiegłym roku umorzone z powodu przedawnienia czynów bądź wobec stwierdzenia braku znamion czynu zabronionego.

Od 14 lat pion śledczy IPN prowadzi bezowocnie postępowania karne mające na celu wykrycie i ukaranie sprawców mordów politycznych z lat 80. ubiegłego wieku na księżach Kościoła katolickiego: ks. Leonie Błaszczaku (†1982), ks. Sylwestrze Zychu (†1989), ks. Stanisławie Suchowolcu (†1989) i ks. Stefanie Niedzielaku (†1989). Członkowie komanda śmierci cieszą się nadal pełną bezkarnością. Na szczególną uwagę zasługuje prowadzone śledztwo w sprawie kierowania uprowadzeniem i zabójstwem ks. Jerzego Popiełuszki (†1984), które od wielu lat stoi w miejscu.

Kompletnym blamażem i kompromitacją zakończyło się prowadzone 14 lat temu śledztwo pod sygn. akt S 23/05/Zk w sprawie zbrodni komunistycznej polegającej na zgładzeniu ks. Franciszka Blachnickiego (†1987) za pomocą trucizny podanej mu prawdopodobnie przez funkcjonariuszy SB lub ich tajnych agentów. Z przyczyn zasługujących na odrębne postępowanie wyjaśniające prokurator prowadzący sprawę nie przeprowadził wówczas (pomimo rekomendacji pracowników naukowych Zakładu Medycyny Sądowej w Katowicach) ekshumacji doczesnych szczątków ks. Blachnickiego. Popętnione w 2006 r. zaniedbania są prawdopodobnie nie do naprawienia. Nadto, prokurator nie wykonał również żadnych czynności dowodowych z udziałem pięciu funkcjonariuszy SB zaangażowanych bezpośrednio w rozpracowywanie kapłana na terenie ośrodka polonijnego w Carlsbergu w RFN. Czterech z pięciu oficerów SB już nie żyje. Odeszli nieniekajeni z tego świata w poczuciu bezkarności za swe popełnione zbrodnie.

Podobna sytuacja miała miejsce z tzw. uśmierceniem przez prokuratora IPN – gen. Michała Janiszewskiego, autora stanu wojennego oraz członka bandyckiego WRON. Dzięki temu zabiegowi gen. Janiszewski uniknął procesu sądowego. Zmarł 10 lat po dacie wniesienia aktu oskarżenia przeciwko pozostałym dziewięciu żyjącym członkom Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego oskarżonym o udział w związku przestępczym o charakterze zbrojnym. Te okoliczności trudno ocenić inaczej niż jako kompromitację, mimo to nikt w pionie śledczym IPN nie poniósł odpowiedzialności.

Przykłady można mnożyć. Pion śledczy IPN okazał się skrajnie niewydolną strukturą. W naszej ocenie prokuratorów tego pionu cechuje niczym nieuzasadniona zachowawczość i paraliżująca wszelkie skuteczne działanie niemoc. Odium niewydolności organów ścigania spada na Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, który nie posiada przecież żadnych środków dyscyplinujących oraz innych instrumentów zapewniających wpływ na bieg i sprawność prowadzonych śledztw.

Dlatego naszym zdaniem jedynym racjonalnym wyjściem jest niezwłoczne podjęcie inicjatywy ustawodawczej mającej na celu wyłączenie Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu z Instytutu Pamięci Narodowej i przeniesienie jej do struktur prokuratury powszechnej oraz przeprowadzenie weryfikacji prokuratorów IPN. Zwracamy uwagę, że podobne stanowisko wyraziło jednogłośnie Kolegium IPN w swoim Oświadczeniu z dnia 14 lipca 2020 r.

Przedkładając niniejszą petycję, wnosimy o rozpatrzenie jej przedmiotu zgodnie z obowiązującymi przepisami. Korespondencje prosimy kierować na adres: [...]. Do reprezentowania nas przed Sejmem RP upoważniamy Pana Piotra Woyciechowskiego oraz Pana Michała Mireckiego.

„Kiedy polski raport?” Tomasz Rowiński, „DRz” 47/2020

W ostatnim 47. numerze tygodnika „Do Rzeczy” został opublikowany artykuł Pana Tomasza Rowińskiego „Kiedy polski raport?”. W artykule zawarta jest nieprawdziwa informacja odnosząca się do działalności Instytutu Pamięci Narodowej:

„Jaka była rola kard. Dziwisza w sprawie McCarricka? Czy był tylko

pośrednikiem listu czy raczej promotorem amerykańskiego hierarchy, działającym z pełną świadomością jego „stylu życia”? Czy rzeczywiście odpowiedzi na pytania o zaangażowanie sekretarza Jana Pawła II w kościelną mafię pedofilską znajdziemy w katalogu zastrzeżonym IPN, który miał być odtajniony, a został w ostatnim czasie na nowo zamurowany? Te kwestie czekają na wyjaśnienie”.

Nieprawdą jest, że zbiór zastrzeżony IPN „został w ostatnim czasie na nowo zamurowany”.

Zgodnie z nowelizacją ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej tzw. zbiór zastrzeżony przestał istnieć 17 czerwca 2017 r. Odtajnione dokumenty zostały

specjalnych, stosowanych przez służby specjalne zasad legalizacji, czynnych lokali konspiracyjnych.

Wśród tych dokumentów nie ma żadnych odnoszących się do działalności Kościoła katolickiego i jego hierarchów w Polsce i na świecie.

Materiały te nie stanowią zamkniętego, specjalnego zbioru, są traktowane jak wszystkie inne dokumenty podlegające przepisom ustawy o ochronie informacji niejawnych, zgodnie z którą podlegają okresowym ocenom i stopniowo są i będą też w przyszłości odtajniane.

dr Dorota Koczwańska-Kalińska
p.o. dyrektor Biura Prezesa i Komunikacji
Społecznej Instytutu Pamięci Narodowej

Zbierzcie mi tych półgłówków sprzed oczu,
niech odjanie pawlają ulice,
czy coś...



c e z a t y k t y j z t o r a

oznaczone nowymi sygnaturami, a ich opis zamieszczony jest zarówno w Cyfrowym Archiwum dostępnym w czytelniach akt IPN, jak i w dostępnym on-line Inwentarzu Archiwalnym IPN. W myśl zawartych w nowelizacji zapisów szefowie służb ABW/AW oraz Minister Obrony Narodowej wystąpili do Prezesa IPN o utrzymanie klauzuli tajności pewnym grupom dokumentów. Prezes IPN dr Jarosław Szarek przychylił się do nadania klauzuli tylko niewielkiej ilości spośród tych materiałów. Klauzule tajności nadano przede wszystkim dokumentom dotyczącym obiektów

Od autora

Szanowna Pani Dyrektor, dziękuję za porządkującą uwagę. Tak, oczywiście, „zbiór zastrzeżony” IPN został zlikwidowany w roku 2017 i być może niepotrzebnie pozwoliłem sobie na użycie tego wyrażenia – określającego pewną konkretną rzeczywistość historyczną – jako formuły retorycznej.

Z poważaniem
Tomasz Rowiński



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Apetyt na rozwałkę

Lubię w antykwariatach sięgać po wspomnienia architektów. Z tej racji pochłonięły mnie ciekawe wspomnienia z lat 50. Zygmunta Stępińskiego, jednego z twórców powojennej odbudowy stolicy. Im głębiej zanurzałem się w jego opowieściach, tym bardziej dochodziło do mnie to, jaka była skala chuligaństwa w Warszawie lat 50. I jak – nie licząc powieści „Zły” – to zjawisko zaginęło w zbiorowej pamięci.

Przykłady? Proszę bardzo. „We wstępnym okresie opracowywania planów odbudowy stolicy część architektów z Biura Odbudowy Stolicy opowiadała się za stworzeniem na Powiślu swoistego muzeum zniszczenia Warszawy, poprzez zachowanie u podnóża uniwersytetu fragmentu tej dzielnicy w takim stanie, w jakim zastało ją wyzwolenie. Zamierzano pozostawić zbombardowane domy wzdłuż ulicy Lipowej, zaś cały teren między ulicami Browarną, Wiślaną, Dobrą i Lipową zachować z resztkami domów, stanowiskami strzeleckimi i zasiekami. [...] Z sąsiednich ulic zwieziono już nawet kilka wraków czołgów hitlerowskich. [...] Była to niewątpliwie koncepcja interesu-

jąca, ale – jak pokazał czas – mało realna. Gruzowiska zaczęły bardzo szybko obrastać zielenią, na pustych terenach grasowały elementy chuligańskie”.

Chuligani pojawiają się też jako zmosfera Stępińskiego przy tworzeniu warszawskiego Parku Kultury na terenie dawnych ogrodów Frascati. Autor opisuje, z jakim zapalem zaprojektowano wielką fontannę „o wielobocznym kształcie”. Dno basenu wyłożono specjalnymi taflami szkła, pod którymi zamontowano reflektory podświetlające zmieniającymi się kolorami strumienie wody. Stępiński pisze: „Przykro to powiedzieć, ale w niedługim czasie po uruchomieniu fontanny chuligani potłukli szklane tafle i trzeba było importować nowe”. I dalej: „Jedną z dużych alei obsadzono kilkunastoletnimi lipami, przywiezionymi dużym nakładem starań do Warszawy. Po posadzeniu otulono je parcianymi bandażami, przesypano trocinami. Nazajutrz poszedłem obejrzeć drzewa [...]. Chuligani spalili wszystkie drzewka, wtykając między bandażę zapalone pudełka zapalek”.

Dlaczego cytuję te wspomnienia z lat 50.? Pokazują one, że

nawroty do apetytu na rozwałkę wracają co ileś lat i stroją się w różne kostiumy ideologiczne. Ten z powojennych lat obywatel się bez ideowej otoczki. Teraz jedni szukają zadymy na Marszu Niepodległości, inni chętnie włączają się do rozróby przy okazji marszów Strajku Kobiet.

Z jedną różnicą. Gdy atakowane są kościoły, postępowcy starają się to usprawiedliwiać irytacją na grzechy kleru i dziwią się, jak można się martwić zasmarowanymi farbą fasadami świątyń, skoro cierpią młodzi z grupy LGBT. Po prawej stronie nikt nie usprawiedliwia rzucania racami w balkony ze znakiem błyskawicy.

Duch rozróby co pewien czas wraca. Raz napędzają go traumy wojenne, innym razem irytacja. Dzisiaj jest wzmacniany dodatkowo przez salonową amnestię dla wulgarnego języka. Dla hasła „wypier...” i argumentów „było nas nie wkurzać”. I te inteligenckie zachwyty nad chamsstwem niepokoją najbardziej. Grożą bowiem kolejnymi etapami eskalacji wrogości, którą zarażają się już i policja, i feministki. A do końca zarazy jeszcze daleko. ©©



FOT. MANDEL NIGAN/AP/EAST NEWS

TRUMP PRZEGRĄŁ W GEORGII

Joe Biden wygrał wybory prezydenckie w Georgii – ogłosiły po ponownym przeliczeniu głosów władze tego stanu. Podczas powtórzonego liczenia przewaga Bidena nad urzędującym prezydentem stopniała jednak o ponad 1,2 tys. głosów – do 12 284. W zeszłym tygodniu sztab wyborczy Donalda Trumpa wystąpił do sądu o ogłoszenie obecnego prezydenta zwycięzcą wyborów prezydenckich w Pensylwanii. Media w USA spodziewają się jednak, że niezależnie od powtórzonego przeliczenia głosów 46. prezydentem zostanie Joe Biden. (jap) ©©



ZA TYDZIEŃ SZUKAJ WYDANIA „DO RZECZY” Z FILMEM O NAJZUCHWALSZEJ KRADZIEŻY W HISTORII WATYKANU: „BŁOGOSŁAWIONA WINA”

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Jacek Bartosiak
o strategicznym
znaczeniu Bramy
Smoleńskiej!

Paul Kengor – **Jak Reagan wyzwolił Polskę**

Piotr Włoczyk – **Kulisy zamachu na prezydenta**

Arkadiusz Karbowski – **CIA i mudżahedini**

Tomasz Stańczyk – **Jak na Litwie wynaradawiano Polaków**

Tony Booth – **Horror na okręcie podwodnym**

Nikołaj Iwanow – **Zdrajca u boku Lenina**

Sławomir Cenckiewicz – **Nowa Mitteleuropa**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Czego nie wie Giertych

Roman Giertych, swą nader krętą drogą polityczną, a zwłaszcza działaniami w ostatnich latach, wyrobił sobie taką reputację, że nawet kiedy mówi „Dzień dobry”, trzeba się upewnić, czy aby na pewno jest dzień.

Po sensacjach, że sprawujący w Polsce dyktatorskie rządy Jarosław Kaczyński, by móc cokolwiek zrobić w swojej własnej fundacji, musi przekupywać jakiegoś bliżej nieznanego księdza, no i oczywiście przede wszystkim po zaprezentowaniu podczas aresztowania medycznej sensacji, jaką była tajemnicza choroba, niewykrywalna badaniami medycznymi, której objawy pojawiają się i znikają w zależności od tego, czy w pobliżu jest publiczny oskarżyciel, czy prywatni obrońcy, Giertych stał się postacią

już nie tylko niewiarygodną, lecz także śmieszną. A najśmieszniejsze jest w nim to, że wciąż wierzy, iż odegra jakąś ważną polityczną rolę, obali rządy PiS i wejdzie do jakiegoś wymarzonego przez opozycję „gabinetu zemsty”.

W tej sytuacji, gdy ogłasza jakąś kolejną sensację, jej miejsce w debacie medialnej jest z góry określone: mieszkańcy bańki antypisowskiej zapieją na najwyższym diapazynie, że to całkowita i ostateczna (która już z rzędu?) kompromitacja rządów Kaczyńskiego i zdemaskowanie ich amoralności – a mieszkańcy bańki PiS-owskiej wzruszą ramionami, jeśli w ogóle sprawę odnotują. Przy czym ani jedni, ani drudzy nie pofatygują się, żeby się z sensacyjnymi doniesieniami zapoznać.

Nie inaczej było z odpaloną przez mecenasa taśmą, na której jego klient Leszek Czarnecki nagrał Adama Hofmana, składającego mu różne propozycje, jakie w życiu tego rodzaju ludzi co nagrywający i nagrywany są chlebem powszednim. Nie budują one, delikatnie mówiąc, dobrej reputacji Hofmana (którego i tak przeciętny Polak wciąż kojarzy z wycieczką do Madrytu), ale i Czarneckiemu w niczym nie pomagają, a i partii rządzącej nie szkodzą.

Roman Giertych prezentuje jednak klasyczny mechanizm psychologicznego „wyparcia”, więc będzie ogłaszał kolejne taśmy i wydawał kolejne okrzyki o „aferze, przy której Rywin to nic”. Aż w końcu nawet TVN i „Wyborcza” przestaną na niego zwracać uwagę. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Hasło dał Urban

Wszystko zaczęło się kilka tygodni wcześniej, w „Gazecie Wyborczej”. Na początku września organ Adama Michnika postanowił przedstawić czytelnikom wywiad z... Urbanem. Rozmowa w założeniu „biograficzna i historyczna” szybko zamieniła się w orędzie Urbana: „Dopier.lajcie katolikom! Do.erdalajcie nacjonalistom! Dopie.alajcie biało-czerwonym!”.

Publikacja tego manifestu (łącznie z powyższymi fragmentami – w oryginale bez żadnych kropek) była najzupełniej świadomą decyzją Adama Michnika i kolegów. Nie powstrzymały ich ani wstyd, ani nawet strach przed lochami Czwartej Rzeczypospolitej, za które rządu podżeganie do przemocy

antykatolickiej nie może liczyć na żadną taryfę ulgową.

Wywiad dla „Wyborczej” miał charakter strategiczny, bo okazało się, że bez Urbana, bez jego doświadczeń z lat 90. – żadnej rewolucji, BLM-ów i innych stone-wallów nie udałooby się w Polsce serio przeprowadzić. Urban za to pokazał, że naprawdę potrafi. To on przecież zatrzymał dekomunizację, konsolidując postkomunizm i zapewniając mu wyborcze zwycięstwa w latach 1993 i 1995. To Urban uznał (odkrył?), że w starciu argumentów, w kraju o kulturze katolickiej, o długim doświadczeniu walki o niepodległość państwową i godność narodową, projekty wywrotowe z góry skazane były na porażkę. Racje więc postanowił

obejść, sięgając do elementów najbardziej podkulturowych, odrzucając wszelkie hamulce językowe i estetyczne. Mieszając z błotem autorytety i wartości. Zachęcając do „swobodnej ekspresji” nienawiści i bezwstydu.

Wywiadem z Urbanem zażenowany był Konstanty Gebert (choć nie ze względu na aktualne orędzie Urbana, ale na jego rolę w stanie wojennym). Ale nawet to spotkało się natychmiast z pryncypialną repliką innych autorów „Wyborczej”, na czele z obecną członkinią rewolucyjnego komitetu, Moniką Płatek. Urban przecież był „trafny, gorzki, ironiczny i prawie zawsze celny i zabawny”. I co oni by bez niego zrobili? ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Możliwe tylko w Italii

W telewizji RAI z przyczyn koronawirusowych wystąpił szef władz sanitarnych Kalabrii, które z powodu korupcji i powiązań z mafią zostały oddane pod zarządek komisaryczny. Okazało się, że komisarz, generał karabinierów w stanie spoczynku, nie opracował programu walki z drugą falą pandemii, bo myślał, że ma to zrobić rząd. Natychmiast zorientował się, że konsekwencje siedmioletniej zwłoki będą przykre, i wyprorokował: „Teraz mnie wyleją...”

Faktycznie premier Conte dostał szału i generała, którego sam mianował komisarzem, wyrzucił na zbitą twarz. Następnego dnia generał, dopytywany w innej telewizji, oświadczył, że program walki z koronawirusem opracował już w czerwcu, ale o tym zapomniał, bo w RAI przed programem dosypali mu czegoś do kawy i postradał zmysły.

Ponoć potem chorował całą noc. Zapowiedział, że przeprowadzi w tej sprawie prywatne śledztwo.

Nie wybrzmiał jeszcze rechot niosący się od Alp do Sycylii, a premier mianował następcę generała, lekarza menedżera, który przedtem kierował służbami medycznymi Abruzji i Kampanii. Natychmiast ktoś usłużny wrzucił do netu filmik, na którym nominat w lokalnym programie telewizyjnym w maju, gdy szalała pierwsza fala pandemii, oświadczył prowadzącej: „Mogę powiedzieć też po angielsku: wirusa można zwalczyć, zachowując społeczny dystans. Maseczka jest niepotrzebna. Gdybym był zakażony, żeby się zarazić, musiałaby mnie pani całować przez kwadrans z języczkiem”. Naturalnie filmik pokazały wszystkie główne stacje telewizyjne. Oczywiście lekarza też natychmiast wylali, choć tłumaczył się, że potem w sprawie maseczek zmienił zdanie, a poza tym ma już swoje lata.

Rząd mianował zatem kolejnego komisarza, byłego rektora największego uniwersytetu w Europie, rzymskiej La Sapienza. Przeoczyli, że przeciw byłemu rektorowi toczy się proces o korupcję... Następnego dnia złożył rezygnację. Bukmacherzy zaczęli przyjmować zakłady, kto go zastąpi i ile dni utrzyma się na stanowisku. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Chrobry byłby dzisiaj faszystą

W minionym tygodniu działo się tak wiele, że pozwalam sobie na twitterowy kącik rozmaitości. Zaczynijmy od akcentu humorystycznego, czyli komentarza do usunięcia Romana Polańskiego z Francuskiej Akademii Filmowej. „Można wyrzucać reżysera z gremiów na całym świecie i udawać, że oglądanie jego filmów to zło wcielone – jednocześnie nosząc w kieszeni banknot 20\$ z podobizną tyrana i rasisty oraz płacąc nim w kasach kin (u nas na takim nominale rasowy morderca i gwałcieł Chrobry)” – stwierdził płacący tylko kartą Tytus Holdys.

Nie on jeden pochylił się nad trudną polską historią. „Absolutnie nie potępię antyfy. Mój dziadek walczył z faszystami w Warszawie w roku 1944, a przed wybuchem wojny tłukł się z ich polskimi fanami pod uniwersytetem. Nie mam pojęcia, jak można być Polakiem i domagać się potępienia organizacji antyfaszystowskiej. Won!” – zadeklarował Witold Głowacki. „Ale antifa ma tyle wspólnego z antyfaszysmem, co kamień węgielny z węglem kamiennym” – odpowiedziała mu Dominika Ćosić.

Ą propos odpowiedzi. „Pod moim felietonem w »GW«, który potępia pogardę kierowaną do wyborców PiS, jest 150 komentarzy i prawie każdy wzywa do pogardzania wyborcami PiS. Łatwo jest wykrzyknąć »wyp.....ć!«. Ale potem trudno zrozumieć, że poparcie dla PiS znowu rośnie. Pogarda nie jest drogą, naprawdę” – stwierdził rozsądnie prof. Marcin Matczak. Tymczasem dwa tweety dalej Wojciech Czuchnowski polecił tekst, również z „Wyborczej”. „Zanim potępimy Jana Pawła II” – brzmiała treść wpisu. „Wyp.....j” – odburknął mu Janusz Palikot.

Szybciej od tego dialogu skończyła się tylko przygoda Lecha Kołakowskiego z zakładaniem własnego koła poselskiego. „Następnym razem, jak posłowie PiS będą się chcieli zbuntować, niech zapytają, czy mogą. Oszczędzi nam to wszystkim sporo czasu” – zauważył Piotr Witwicki.

Na koniec również chwila z uśmiechem. „Powiedzcie mi, czemu prawica tak bardzo boi się seksu?” – zapytała Paulina Majczak. „Prawica boi się seksu z lewicą. Pani z Wiosny Biedronia powinna to rozumieć” – odpowiedziała jej Marzena Paczuska. Cóż, z Wiosny nie jestem, może dlatego nic nie zrozumiałem. A państwo? ©©

-Przykro mi, ale nie mogę pał jechać do Matysu Niepodległości, dalej musi pał iść na piedoło...
-Ale przecież zgromadzenia powyżej 5 osób są nielegalne...
-no właśnie...



c e r e t y k t y d z i e n n y



FOT. PAVEL CROVADA

TAKA ŻONA TO SKARB

Tematem, który zdominował rodzimy show-biznes w minionym tygodniu, był zdecydowanie Fundusz Wsparcia Kultury. O dotację z resortu kultury w ramach rekompensaty za poniesione straty związane z pandemią ubiegała się całkiem spora grupa celebrytów i ich menedżerów. Jak się okazało, przyznane kwoty dotacji mogły przyprawić o zawrót głowy, a to, do kogo miałyby trafić, wzbudziło powszechne zdumienie i oburzenie. Na tyle duże, że minister wstrzymał wypłaty i postanowił raz jeszcze przyrzeć się temu, jak zostały przydzielone. Ci celebryci, którzy znaleźli się na liście beneficjentów, nie kryją oburzenia takim obrotem sprawy. – Mówienie, że to są za duże kwoty... Proszę sprawdzić, ile te firmy, które dostały dotację, odprowadziły rok temu podatku od przychodu i podatku VAT. A ten podatek, który te firmy wypracowały, jest podatkiem, za który wszyscy inni żyją, są z niego opłacane szpitale i cała reszta – oburzyła się Agnieszka Hyży, celebrytka i żona Grzegorza Hyżego, muzyka, któremu przyznano dotację w wysokości 450 tys. zł. – Jestem ciekawa, ile podatku odprowadzają ci wszyscy „krzykacze” w ciągu roku, a korzystają z podatków tych, którzy więcej wypracują – dodała.

Nabuzowana emocjami żona, która pisze w Internecie, że garstka celebrytów utrzymuje 38 mln nierobów w kraju. Tak, to najlepsza forma zarządzania kryzysem, jaką można sobie wyobrazić.

PIOSENKA NA ZDROWIE

Do grona oburzonych oburzeniem społecznym dołączył także inny beneficjent dotacji rządowych Sławomir Świerzyński z zespołu Bayer Full, grającego muzykę disco polo (to ten od hitu „Majteczki w kropczki”). Pan Świerzyński, któremu przyznano pierwotnie pół miliona złotych, żalił się w Polsat News na hejt, jaki go spotkał po ujawnieniu listy z dotacjami. „Od wczoraj zwyzywano mnie już od sk... ieli, ch...ów i wszystkich innych, hejt to mało powiedziane. [...] Dla mnie to jest bardzo dużo, bo nie zarabiam nic, jestem na bezrobociu [...] Ja sobie poradzę, jestem z wykształcenia stroicielem, muzykiem, nauczycielem” – dodał uspokajająco. „To, że ktoś dostał 500 tysięcy, 700 tysięcy, 2 miliony – jak chłopacy, Golce, to nie ma nic wspólnego. No po prostu takie są realia. Oni mają tak potężne koszty, ja



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

mam takie koszty” – tłumaczył jeszcze. Użył tak-że argumentu ostatecznego. Otóż, jego zdaniem, branżę muzyczną trzeba wspomagać, bo przecież chorym też ktoś musi umilać czas w chorobie. – Chory w szpitalu też potrzebuje muzyki. My ten klimat muzyczny i artystyczny zapewniamy tym ludziom – powiedział. Może jednak oszczędzmy już chorym słuchania Bayer Full. I bez tego nie mają lekko.

WYSOKA KULTURA

Na deser pochylny się jeszcze nad oświadczeniem menedżera wokalisty Kamila Bednarka. Mateusz Posyniak, który prywatnie jest szwagrem Bednarka, nie kryje swojego oburzenia cofnięciem dotacji. Ma też żal do branży muzycznej, że nie stanęła w obronie tych, którzy wystąpili o dotację. Sam Bednarek miał dostać z resortu kultury pół miliona złotych, a jego menedżer dodatkowo 660 tys. zł. Nic dziwnego, że wkurzył się mocno, gdy dotację cofnięto. – Koledzy z branży artystycznej! Gdzie jesteście, taka jakaś głucha cisza nastała?! Martwię się, czy aby dobrze się macie?! Jeszcze kilka dni temu martwiliście się każdą sztuką chryzantemy ciętej i jej tragicznym losem? Od nastu miesięcy postulujecie, walczyście, bronicie... Byliście z konstytucją, byliście z rolnikami, byliście ze służbą medyczną, górnikami, pracownikami biurowymi i też z tymi fizycznymi... Pojawialiście się na wiecach obrońców futra, obrońców wszystkiego i każdego. Dziki też Wam obce nie były... Jakże okazała empatia przepełnione były Wasze serca – wylicza menedżer Bednarka. – Przecież tak bardzo chcieliście tego wsparcia i wołaliście o nie miesiącami, zakładając, chociażby, związki zawodowe. Czytam beneficjentów owego wsparcia i widzę, że dostaliście takie same pieniądze! W niektórych przypadkach są one większe, w niektórych mniejsze... Każdy, kto składał, to dostał, gratuluję! – punktuje. Na koniec dodał jeszcze: – Przesyłam Wam siarczyste „Ch.. wam w d...”. Na taką wysoką kulturę aż chce się płacić, prawda?

PRZEPIS NA PORĄŻKĘ

Małgorzata Rozenek, która próbuje właśnie swych sił jako aktorka w najnowszej produkcji Patryka Vegi, choć jest bardzo zajęta na planie, znajduje czas, by dzielić się swoimi refleksjami o życiu na Instagramie. – Nie potrafię podać niezawodnego przepisu na sukces, ale mogę podać przepis na porażkę: staraj się wszystkich zadowolić – pisze celebrytka, dodając oczywiście serię swoich wystylizowanych zdjęć. Jest jeszcze skuteczniejszy przepis na porażkę: dziel się swoimi mądrościami w Internecie. Codziennie, będzie szybko. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jest już po 1 listopada i prawdę mówiąc, brakuje nam trochę atmosfery zbliżających się Winter Holidays w galeriach handlowych. Tak sobie wspominamy ubiegłe lata, kiedy z kubkiem ze starbunia w ręce chodziliśmy po Galerii Krakowskiej i oglądaliśmy wystawy, chłonąc jednocześnie świeżą winterholidayową atmosferę. Teraz tego nie mamy i jest

To jest skandal, ejdżyzm, brak wrażliwości oraz zrozumienia tego, czym jest indywidualna identyfikacja ze względu na wiek. Otóż wyobraźcie sobie, iż nasz kolektyw został ostatnio wyproszony ze sklepu w czasie godzin dla seniora. Przerwa na brunch w naszym korpo wypada zazwyczaj ok. 10 rano, toteż raz postanowiliśmy pójść do sklepu

kolektywem, to nasz wiek powinien być zsumowany i tym sposobem mamy 100 lat i prawo do zrobienia zakupów.

Niestety, w Polsce nic nie działa tak, jak powinno, a zwykła osoba ze sklepu może jak gdyby nigdy nic decydować o czymś wieku. No i nikogo, of kors, nie obchodzi, że jest nam teraz smutno.

Jak wiecie, śledzimy piłkę nożną z przyczyn socjologicznych, iżby wiedzieć, czym żyją wąsate janusze w tym kraju, oraz z przyczyn zawodowych – iżby przewidywać nastroje Nowego z Tarnowa.

No więc kiedy dowiedzieliśmy się, iż reprezentacja tego kraju po zenującym meczu uległa Włochom, spodziewaliśmy się Nowego w kiepskim humorze i śrubowania norm sprzedażowych. Tymczasem Nowy szybko zdusił zły humor, a po kilku dniach już szeroko się uśmiechał i powtarzał, że wcale nie jest tak najgorzej, i od czasu do czasu wybuchał śmiechem, mówiąc do siebie: „Hehe, somsiad też dostał”.

Otóż okazało się, iż Nowy bardziej Niemców nienawidzi, niż Polskę kocha, a nasi sąsiedzi przegrali z Hiszpanią 6:0. Tyle wystarczyło, iżby Nowy nieomal nie odśpiewał nam „Roty” w open space. Żenujące. ©©



nam smutno, ale rozumiemy, iż walka z katofashysmem wymaga od wszystkich wyjścia poza strefę komfortu.

Jednocześnie robi nam się różniej, kiedy pomyślimy sobie, że w czasie Winter Holiday nie wszyscy katofashysci będą mogli wejść do kościoła. Jakoś tak łatwiej wtedy znieść to zamykanie galerii i brak promocji na latte z cynamonem.

po coś do przekąszenia. Na potrzeby godzin dla seniorów dokonaliśmy modyfikacji naszej tożsamości wiekowej, stając się grupą trzech osób w wieku 60+ każda.

Niestety, ekspedientka w sklepie postanowiła się kierować kryteriami biologicznymi i nakazała nam opuszczenie sklepu. Na nic też zdała się nasza argumentacja, iż skoro jesteśmy

PODSŁUCHANE

Superbohater

Włodek, jak ty tego policjanta załatwiłeś?

Adrian, daj spokój. Ja mu nic nie zrobiłem. Lekko go najwyżej dotknąłem.

Wierzę, ale może on się tam faktycznie o coś zaczepił? A jak ci immunitet odbiorą?

Człowieku, popatrz na mnie i na siebie. Ja jestem połowa ciebie. Jakbyś ty go tknął, no to może bym uwierzył, że się gość przewrócił czy coś. Ale ja? Starszy facet?

OK, nie złość się. Pokaż mi, jak to było.

Stań tutaj, że niby ty jesteś tym gliniarzem. O, tutaj. Dobra. I teraz ja podchodzę, przysunąłem się i tak go...

Aaaaa!

Adrian! Halo! Co ci się... Słyszysz mnie?

Co to było?

Możesz wstać? Ożeż... Popatrz, ściana tutaj pękła.

Ja nie wiem, co ci się stało, ale ty już lepiej nikogo nie dotykaj. Moc masz jak jakiś superbohater czy co... Brałeś coś? Jadłeś? Piłeś? No gdzie tam... No dobra, może dwie setki w bufecie. Ale żeby to aż tak działało? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Morawiecki przedstawia w Sejmie scenariusz pisany cyrylicą”

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

Mało kto wie, że w minionym tygodniu o mało nie doszło do rekonstrukcji rządu. Co najmniej trzech ministrów już zaczęło pakować swoje kartony. W tym jeden bardzo ważny minister. Jak zwykle na odsiecz ruszyła im opozycja, więc zaczął dzieło wnioskiem o odwołanie szeregowego wicepremiera J.K. Tak już się jednak utarło, że każdy wniosek opozycji ma skutek odwrotny do zamierzonego. Wszystkie zaś dotychczasowe dymisje w PiS dotyczyły wyłącznie tych ministrów, których odwołania nie żądała opozycja.

Wiewiórki z Nowogrodzkiej mówią, że jedna z tych dymisji, od których byliśmy o włos, miała dotyczyć bardzo ważnego ministra i w związku z tym była tylko fejkowa. Chodziło jedynie o zdopingowanie ministra do bardziej zdecydowanych działań. Będziemy uważnie chodzić po ulicach, wypatrując działań.

Ze swoim stanowiskiem pożegnał się już generalny inspektor sanitarny. Jarosław Pinkas odchodzi z powodów zdrowotnych. Dziewięć miesięcy walki z COVID-em na pełnych obrotach, przy maksymalnym stresie, odcisnęło piętno na każdym organizmie. Facet od dawna miał ciśnienie wyższe niż Giertych podczas zatrzymania przez CBA. Mecenasowi się poprawiło, gdy dowiedział się, że nie idzie w dyby. Dobrze, że ktoś powiedział Pinkasowi prawdę w oczy: chłopie, jeszcze miesiąc i padniesz na udar. Więc zwolnij.

Apropos Giertycha. Słyszeliście zapewne, że sąd wstrzymał zakaz wyjazdów, kontaktowania się z innymi podejrzanymi i zakaz opuszczania kraju. Mecenasa zwany Koniem poczuł się jak zwycięzca Wielkiej Pardubickiej. Jest jednak jeden problem. Sąd wstrzymał, a nie uchylił. Uznał, że najpierw musi się dokładniej zapoznać z materiałem dowodowym. Decyzja zapadnie 2 grudnia. Na miejscu największego z mecenasów wstrzymalibyśmy się z triumfowaniem. Dlaczego? A bo mamy dość długą pamięć.

Na czym polega nasza uporczywość pamięci? Otóż pamiętamy, że nie tak dawno sąd uchylił środki zapobiegawcze wobec byłego senatora Józefa Pinióra ksywa Legenda. Po zapo-

znaniu się z materiałem dowodowym sąd uznał, że miał jednak do czynienia z bezwzględnym łapówkarzem, i wałnął mu wyrok więzienia. I to bez zawiasów. Mamy podejrzenie, że i tym razem może być podobnie.

Co może być gorsze od więzienia? Życie poza PiS. Tego smutnego losu uniknęła spora grupa dysydentów ardanowszczyków zmiksowana z grupką pro-liferów. Zbuntowani posłowie wrócili na łono partii po spotkaniu z szeregowym wicepremierem Jarosławem Kaczyńskim, które opisywaliśmy w zeszłym tygodniu. Po nim – to nowość – doszło jeszcze do spotkania specjalnego. Piętnaście minut oko w oko z Kaczyńskim SWP otrzymał poseł Lech Kołakowski. Który usłyszał, jak ważnym jest ogniwem partii i koalicji, więc został, zamiast wyjść.

Ciekawa lekcja płynie z tego wszystkiego dla Jana Krzysztofa Ardanowskiego. Grał ostro, mówiąc o nowym kole poselskim, żeby władze partii odwiesiły innych posłów, którzy

głosowali tak jak on. Ardanowski to bowiem lojalny facet. Niestety, odwieszeni posłowie wrócili do partii, nie oglądając się na Ardanowskiego. Nawet powieka im nie drgnęła, gdy usłyszeli od SWP Kaczyńskiego, że zaprasza ich z powrotem, ale bez Ardanowskiego i Kołakowskiego. W końcu obaj też zostali odwieszeni, ale niesmak pozostał.

Apropos manewrów wewnątrzkoalicyjnych. Po mieście źli ludzie rozpuszczają wiadomości, jakoby wicepremier Gowin był nieszczęśliwy z powodu zajmowanego stanowiska i marzył o innym. Są w mylnym błędzie. Tak się składa, że wiemy, jak mocno lider Porozumienia zabiegał o ten właśnie resort i jak często wśród zaufanych mówił o tym, że poprzedniego resortu ma dość. Przy czym nie chodziło mu o naukę, lecz szkolnictwo wyższe. Poza tym gdyby nie wziął nowego resortu, ryzykowałoby bycie wicepremierem bez teki, z koleżanką Emilewicz na czele Ministerstwa Rozwoju. A ona, jak wiadomo, jest już poza Porozumieniem, niektórzy na Nowogrodzkiej nazywają ją zaś nawet „naszą Emilką”.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Najwięcej jednak działa się w sprawach międzynarodowych. Po polskim wecie w sprawie budżetu unijnego nagle obudzili się eurokraci i wydali w miniony czwartek po południu prikaz, by europosłowie stawili się osobiście na najbliższym posiedzeniu europarlamentu. Co jest o tyle ciekawe, że z powodu lockdownu mieli pracować zdalnie. Praca zdalna wyklucza jednak podejmowanie różnych decyzji na komisjach oraz związane z tym grillowanie Polski. A grillowanie jest pilnie potrzebne, zwłaszcza w kwestii praworządności, aborcji i budżetu. Tak przynajmniej uznały i Komisja Europejska, i władze Parlamentu Europejskiego.

Uwaga! My tymczasem mamy dowód na to, że w Polsce nie ma już demokracji. Znaleźliśmy go w amerykańskim dzienniku „The Washington Post”. Rzeczą dotyczy niby Trumpa, ale tak naprawdę jest o Polsce. Chodzi o artykuł zatytułowany „If the losing party won't accept defeat, democracy is dead” („Jeśli partia, która przegrywa, nie akceptuje porażki, to demokracja jest martwa”). Wychodzi z tego, że w Polsce demokracja jest martwa od jesieni 2015 r. ©©

Kompetencje na czasy „nowej normalności”

Pandemia koronawirusa uderzyła w gospodarkę, a przedsiębiorcy i pracownicy znaleźli się nagle w zupełnie nowej rzeczywistości. Duża część firm stara się szybko do niej dostosować i myśli o rozwoju. Z pomocą przychodzą organizacje branżowe wspierane finansowo z funduszy europejskich

Jeszcze przed wybuchem pandemii aż czterech pracodawców na dziesięciu w Unii Europejskiej miało trudności ze znalezieniem pracowników spełniających ich oczekiwania. Jednocześnie ok. 39 proc. dorosłych pracowników zajmowało stanowiska pracy poniżej swoich kwalifikacji, a jeden młody Europejczyk na pięciu podejmował pracę, która wymaga niższych kwalifikacji niż te, które posiada – wynika z danych Europejskiego Centrum Rozwoju Kształcenia Zawodowego (CEDEFOP). W Polsce było podobnie. Zgodnie z danymi pozyskanymi w badaniu Bilans Kapitału Ludzkiego ponad połowa dorosłych Polaków posiada wyższe wykształcenie, a jednocześnie trzy czwarte przedsiębiorców przyznaje, że nie może znaleźć odpowiednio wykwalifikowanych pracowników.

SYSTEM RAD DS. KOMPETENCJI

W odpowiedzi na problem luki kompetencyjnej od 2016 r. Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości razem z partnerami gospodarczymi i społecznymi buduje system sektorowych rad ds. kompetencji. Jego celem jest uelastycznienie i dopasowanie szkolnictwa zawodowego oraz wyższego do potrzeb nowoczesnej gospodarki. Jest on też jednym z narzędzi realizujących założenia Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju w obszarze „Kapitału ludzkiego i społecznego”.

Rady sektorowe – miejsca współpracy biznesu, nauki i instytucji branżowych – zostały powołane z inicjatywy przedsiębiorców i organizacji branżowych. Zajmują się one oceną luk kompetencyjnych w poszczególnych sektorach gospodarki

i wypracowują rozwiązania systemowe, które zwiększą dopasowanie oferty edukacyjnej do potrzeb przedsiębiorców. Za finansowanie oraz wsparcie organizacyjne i merytoryczne odpowiada Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości. Konkursy w ramach Programu Operacyjnego Wiedza Edukacja Rozwój (POWER) finansowane przez UE pozwoliły wyłonić takie rady w 17 sektorach polskiej gospodarki. W ten sposób zorganizowali się przedstawiciele m.in. branż: finansowej, opieki zdrowotnej i pomocy społecznej, informatyki, komunikacji marketingowej, budownictwa czy lotniczo-kosmicznej.

W koordynacji działań systemu Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości wspiera Rada Programowa ds. Kompetencji, której pierwsi członkowie zostali powołani w marcu 2018 r. jeszcze przez minister przedsiębiorczości i technologii. To przedstawiciele kluczowych ministerstw (Edukacji Narodowej, Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Rozwoju, Pracy i Technologii), organizacji społecznych i gospodarczych, organizacji przedsiębiorców oraz świata nauki. Ich głównym zadaniem jest m.in. współpraca z przedsiębiorcami, ze szkołami i z uczelniami w zakresie diagnozowania potrzeb kwalifikacji zawodowych, koordynacja działań na rzecz dostosowywania systemu edukacji do potrzeb rynku pracy oraz monitorowanie ich realizacji w kluczowych sektorach polskiej gospodarki.

MILIONY NA SZKOLENIA I DORADZTWO

System rad przynosi polskiej gospodarce i polskim przedsiębiorcom wiele korzy-

ści nie tylko poprzez lepsze dostosowanie systemu edukacji do aktualnych potrzeb rynku pracy.

Dzięki wydawanym przez rady rekomendacjom z funduszy europejskich finansowane są szkolenia i doradztwo dla dorosłych osób pracujących. Dofinansowanie do usług rozwojowych dla przedsiębiorców do połowy 2023 r. wyniesie ponad 170 mln zł.

Rady sektorowe odgrywają szczególnie ważną rolę w czasie pandemii koronawirusa. Pomagają bowiem w określeniu konkretnych problemów, z którymi borykają się przedsiębiorcy z poszczególnych sektorów gospodarki, co ułatwia m.in. projektowanie przez rząd instrumentów pomocowych.

W jednym z programów pn. „Kompetencje dla sektorów. Zadanie COVID-19 – oferta dla przedsiębiorców” do 30 listopada można składać wnioski o dofinansowanie wsparcia mikrofirm, małych, średnich i dużych przedsiębiorstw w obszarze szkoleń i doradztwa wynikające z nadzwyczajnych rekomendacji rad sektorowych mających na celu zapobieganie negatywnym skutkom pandemii COVID-19. Dofinansowanie dotyczy w tym przypadku m.in. takich zagadnień jak: tworzenie i rozwój rozwiązań chmurowych, zarządzanie cyberbezpieczeństwem, zasady bezpiecznej pracy zdalnej czy efektywne funkcjonowanie przedsiębiorstwa w czasie epidemii COVID-19.

Przedsiębiorcy mogą liczyć na dofinansowanie w wysokości nawet 80 proc. kosztu wspomnianych usług.

Oferta skierowana jest do przedsiębiorstw, które działają w branżach: finansowej, IT, motoryzacyjnej, opieki zdrowotnej i pomocy społecznej, odzysku materiałowego surowców, żywności wysokiej jakości, komunikacji marketingowej, telekomunikacji i cyberbezpieczeństwa, gospodarki wodno-ściekowej i rekultywacji chemicznej, przemysłu lotniczo-kosmicznego, handlu oraz usług rozwojowych.

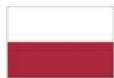
Więcej informacji o systemie

rad ds. kompetencji można znaleźć na stronie:

www.parp.gov.pl/sektorowe-rady-ds-kompetencji



Fundusze Europejskie
Wiedza Edukacja Rozwój



Rzeczpospolita
Polska



Unia Europejska
Europejski Fundusz Społeczny



Chcesz pozostać w Unii, szykuj polexit



Rafał A. Ziemkiewicz

Starożytni mówili, że kto chce pokoju, ten musi przygotowywać się do wojny. W sporze, którego osią jest fundamentalna dla Polski sprawa zachowania suwerenności, istotnym czynnikiem jest przekonanie przeciwnika, że potrafimy w razie potrzeby zrobić coś więcej, niż tylko narzekać, iż dzieje się nam krzywda i bezprawie

Często powtarzane stwierdzenie, że Polska i Węgry mają problem z Unią Europejską, nie do końca odpowiada prawdzie. Nasz problem z uzależnianiem wypłat unijnych funduszy od arbitralnej oceny „stanu praworządności” to tylko konsekwencja znacznie większego problemu, jaki Unia Europejska ma sama ze sobą. Paradoksem jest, z naszego punktu widzenia, że podejście unijnych przywódców do tego problemu jest bardzo „PiS-owskie”, i to



da – a ta była tak długo, jak długo trwała prosperity. Gdy zaczęły się problemy, naturalny odruch kazał każdemu z państw radzić sobie z nimi na własną rękę.

Tymczasem dziesięciolecia funkcjonowania Wspólnoty Europejskiej we względnie dobrobycie wytworzyły wpływowe elity, zarówno polityczne, jak i opiniotwórcze, dla których jej ciągłe zacieśnianie stanowi być albo nie być. To one forsowały projekty, które miały uczynić integrację mocniejszą i nieodwracalną, nawet jeśli z merytorycznego punktu widzenia były nieuzasadnione czy wręcz nieracjonalne (przykładem wspólna europejska waluta). To te elity upowszechniły przekonanie, że integracja jest procesem nieodwracalnym i niepołączalnym do zatrzymania ani nawet spowolnienia – a jedynym lekarstwem na wszelkie problemy jest jej przyspieszanie i pogłębianie, wiodące ku przekształceniu Unii w „stany zjednoczone Europy”.

DWIE PRĘDKOŚCI

Oczywiście ideologiczne założenia jak zwykle okazały się w praktyce nie działać. Społeczeństwa europejskie generalnie nie dorosły do wielkich planów, ważna dla ich realizacji „konstytucja europejska” została odrzucona w referendach – „zacieśnianie integracji” przybrało więc formę skrytego, bardziej sprytnego „rozpychania się” instytucji unijnych ponad kompetencje przyznane w traktatach. Komisja Europejska, stworzona jako sekretariat wykonawczy kontrolujący wspólną politykę, zaczęła nadawać sobie rangę europejskiego rządu, Parlament Europejski, praktycznie służący tylko korumpowaniu elit politycznych krajów członkowskich, zaczął się zachowywać jak ponadpaństwowy prawodawca, a TSUE zaczął orzekać w sprawach, w których nie przyznano mu kompetencji, tak jakby był Sądem Najwyższym ponad sądami najwyższymi krajów członkowskich.

Główne, najsilniejsze państwa Unii milcząco odrzuciły te uroszczenia – najlepszym przykładem są Niemcy, ignorujące kilkadziesiąt orzeczeń TSUE, z decyzją Trybunału Konstytucyjnego jednoznacznie deklarującego prymat prawa niemieckiego nad unijnym. Dłatego atak zwolenników „stanów zjednoczonych Europy” przesunął się na państwa słabsze – i to już zyskało wyraźną aprobatę unijnych potęg.

Jakkolwiek eurokraci lubią mówić o postulowanym jednolitym państwie europejskim jako „stanach zjednoczonych”, to powyżej nakreślona sytuacja sprawia, że wznoszona budowla nie ma nic wspólnego z Ameryką. Trudno powiedzieć, by któryś z tamtejszych stanów był uprzywilejowany wobec innych albo by jedne wyzyskiwały drugie – natomiast przepływy w Unii Europejskiej mają charakter coraz bardziej „nieekwiwalentny” i są wyprowadzaniem na Zachód majątku zdobywanego w nowych krajach członkowskich. Po części ma to charakter krytego znowu milczenia silnych krajów bezprawia, w czym szczególną rolę odgrywa Luksemburg, którego były premier nie przypadkiem postawiony został na czele najbardziej odrzucającej pierwotne, Schumanowskie założenia Wspólnoty. Po części dzieje się zaś coraz bardziej jawnie i bezwstydnie.

Kamieniem milowym tego procesu była wyborcza wygrana Emanuela Macrona, jawnie głoszącego odejście od fundamentalnej dla UE wolności „przepływów” i odebranie krajom naszego regionu korzyści ze wspólnego rynku, przy zachowaniu korzyści Zachodu. Od tego momentu wspólny rynek coraz bardziej staje się fikcją, jest coraz mocniej regulowany, zawsze w tym samym kierunku – maksymalizowania zysków metropolii i ograniczania możliwości wykorzystania w konkurencji z nią posiadanych atutów nowym państwom członkowskim. W tym właśnie punkcie dążenie „rozpychających się” w swych kompetencjach eurokratów do umocnienia władzy nad państwami spotyka się z interesem silnych państw, które w takiej władzy nie widzą zagrożenia dla siebie, uznają je natomiast za narzędzie, którym będzie można wydatnie przyspieszyć proces dzielenia Unii na spijającą całą śmietankę metropolię oraz zepchniętą do roli prowincji i zaplecza kraje „drugiej prędkości”.

Nie trzeba chyba tracić czasu na udowadnianie, że „praworządność” jest tu jedynie pretekstem. I to bardzo słabo uwiarygodnianym. Oficjalnie przyczyną uzależniania dostępu do wspólnych funduszy ze „stanem praworządności” jest ochrona unijnej pomocy przed ewentualnym rozkradzeniem wskutek korupcji i bezkarności struktur mafijnych. Każdy wie, że to na pewno nie Polska i Węgry są tymi krajami, w których najbardziej im to grozi. Gdyby przyczyną działań na rzecz „ochrony praworządności”

zarówno po stronie diagnozy, jak i zaordynowanych leków.

Tym problemem jest, mówiąc językiem naszego obozu rządzącego, „imposybilizm”. Unia w kształcie zaprojektowanym przez Schumana i innych założycieli, jako wspólnota gospodarcza, oparta na trzech swobodnych przepływach (kapitału, pracy oraz towarów i usług), była politycznie niesterowna, funkcjonowała tylko o tyle, o ile była co do jej funkcjonowania jednomyślna zgo-

FOT. ETIENNE ANSOTTE/EFU

■ rzeczywiście była obawa przed zmarowaniem unijnej pomocy (co istotnie wielokrotnie w dziejach UE miało miejsce, bynajmniej nie tylko w naszym regionie), to pod lupą znalazłby się nie Morawiecki czy Orbán, ale na przykład Bojko Borisow, premier Bułgarii, od lat oskarżany przez opozycję o stworzenie potężnego układu korupcyjnego niszczącego kraj.

Tymczasem jest przeciwnie. Borisow, członek EPL i osobisty znajomy jej formalnego lidera, Donalda Tuska, ma na Zachodzie jak najlepszą prasę i można powiedzieć, że mimo wszystkich ujawnianych na jego zapleczu afer uchodzi właśnie za wzorowego polityka „nowej Unii”. Z punktu widzenia zarówno eurokratów, jak i liderów Francji, Niemiec, Belgii czy Holandii, korupcja, której patronuje, jest mniej ważna od tego, że układ, który zbudował, pomaga „starej Unii” w stopniowym kolonizowaniu kraju, zarówno ideologicznie, jak i ekonomicznie. Cynicznie można powiedzieć, że korupcyjny charakter „proeuropejskiej” bułgarskiej elity wręcz temu sprzyja.

Nie mamy wątpliwości, że identycznie patrzyłby Bruksela i Berlin na Polskę, gdyby nadal rządili tu kolekcyonerzy zegarków, uwiecznieni na taśmach z Sowj i Przyjaciół. I nie dziwny się, że ich powrót do władzy jest tam uważany za scenariusz pozytywny. Pociąga to za sobą tę słabość, że eurokraci traktują polityków PO i Lewicy jako wiarygodne źródło informacji na temat Polski i prawdopodobnie wierzą, bo są o tym przez swych polskich przyjaciół zapewniani, że jeśli będą Polskę upokarzać i straszyc „wyrzuceniem z Unii”, to prounijne polskie społeczeństwo odwróci się w panice od PiS i wyniesie do władzy kogoś w rodzaju Borysa Budki czy Rafała Trzaskowskiego. Badania opinii publicznej pokazują, że to mylna strategia.

PRAWO I POLITYKA

Dlaczego na wstępie nazwałem obecne postępowanie polityków unijnych „PiS-owskim”? W istocie postępują oni podobnie, jak Kaczyński zwykł postępować w sprawach krajowych. Gdy dostrzeżał „imposybilizm”, próbował przełamać go na siłę, „po bandzie”, bez szacunku dla procedur i przepisów i bez tracenia czasu na jakieś finazyjne gry prawne, w przekonaniu, że oczywista dla wszystkich słuszność sprawy przy-

niesie akceptację dla takiego postępowania. Jestem głęboko przekonany, widać to zresztą w różnego rodzaju wypowiedziach, że politycy unijni są nie mniej przekonani, iż złamanie oporu „krnąbrnych” prawicowych rządów w środkowej Europie jest tak ważne dla pogłębienia integracji i ma tak silne poparcie europejskich mediów, a co za tym idzie – opinii publicznej, że na przeszkodzące w tym zapisy traktatowe czy oczywisty brak podstawy prawnej dla podjętych działań można machnąć ręką.

Ciekawe, że rządząca Polską formacja zdaje się zupełnie nie rozumieć, że ma do czynienia z podobną postawą do tej, którą sama przyjmowała w walce z „układem III RP”, co czyni ją wobec brutalnego nacisku Unii bezbronną. Reakcją Polski – Viktor Orbán wydaje się dużo lepiej zorientowany, ale jego możliwości są znacznie od polskich mniejsze – stało się nagłe przyjęcie postawy prawnego legitymizmu. Do zdumienia wykazują nasi przedstawiciele, że Unia nie miała prawa podjąć decyzji, które podjęła, i że decyzje te nie mieszczą się w traktatowych kompetencjach.

Miałoby to sens, gdyby było tylko linią propagandową – ale wszystko wskazuje na to, że nasz rząd naprawdę traktuje ten spór tak, jakby miał on zostać rozstrzygnięty przez jakiś sąd, który rozsądzi merytoryczne racje według stanu prawnego Wspólnoty i zasad fair play. Skoro mamy rację – to udowodnimy ją, i tym samym wygramy.

Nie widać żadnego „planu B” na wypadek, gdyby jednak miało się okazać, że rozstrzygną nie argumenty prawne, tylko polityczne. To znaczy, okaże się, że w dzisiejszej Unii Europejskiej poszczególne jej organa mają takie kompetencje, jakie są w stanie, przy wsparciu unijnych potęg, wyegzekwować – a nie, jakie wynikają z niejasnych przeważnie i mało komu znanych zapisów.

Trzeba brać pod uwagę jeszcze jedną okoliczność: wzmożenie eurokratów w kwestii „kontroli praworządności” niewątpliwie wynika też z ich przekonania, że epidemia COVID-19 stanowi wielką szansę, która niebawem, wraz z upowszechnieniem szczepionki, minie i nie wiadomo, kiedy się powtórzy. To zwiększa ich determinację i każde ostrożnie traktować poczucie względnego bezpieczeństwa, w jakim działa nasz rząd. Płynie ono z pewności, że gdy zawetujemy, wraz z Węgry, unijny bu-

dżet, automatycznie obowiązywać będzie prowizorium, które jakoby jest dla nas nawet korzystniejsze.

A co zrobimy, jeśli Unia ponownie pójdzie „na rympał” i z tą samą dezygnaturą, z jaką TSUE orzekł o swej nadrzędności nad sądami i konstytucjami krajów członkowskich, uzna, że w tej sytuacji zastosuje nie prowizorium, lecz mechanizm „płatności awaryjnych”, czyli de facto uznaniowego realizowania tylko niektórych elementów budżetu i tylko tym, którym płacić będą chcieli – a więc, na przykład, nie polskim rolnikom? Komu się wtedy poskarżymy, licząc, że przywoła eurokratów do porządku? Mnie przychodzi do głowy tylko zwrócenie się do samego Pana Boga, aby raził wiarołomców gromem z jasnego nieba. Nie wiem, czy przychyli się do prośby.

PRÓBA SIŁ

W takiej sytuacji jedynym wyjściem jest okazanie determinacji. Wszystkie ekonomiczne szacunki – także ze źródeł skrajnie prounijnych, jak np. analizy publikowane przez portal Politico – pokazują, że pieniądze płyną w Unii znacznie bardziej obficie ze wschodu na zachód, w formie zysków zachodnich firm, niż z zachodu na wschód w ramach europejskich funduszy. Jeśli budżetowe weto nie ma być czczą pogroźką, to musi iść za nim gotowość nie tylko wstrzymaniu wpłat do unijnej kasy polskiej składki, o czym się czasem przebąkuje, lecz także uderzenia w te zyski i odstąpienia od narzuconych przez Unię restrykcji w kontaktach gospodarczych z krajami spoza niej.

Starożytni mówili, że kto chce pokonku, ten musi przygotowywać się do wojny. W nabierającym coraz większej temperatury sporze z eurokracją i lewicowo-liberalnymi elitami UE, sporze, którego osi jest fundamentalna dla Polski sprawa zachowania suwerenności, istotnym czynnikiem jest przekonanie przeciwnika, że nie czujemy się zdani na jego łaskę i niełaskę i że potrafimy w razie potrzeby zrobić coś więcej, niż tylko narzekać, że dzieje się nam krzywda i bezprawie – aż do całkowitego przebudowania architektury naszych sojuszy łącznie. Tylko wtedy liczyć możemy na to, że zwolennicy budowania na gruzach wspólnoty wolnych państw europejskiego superpaństwa o jednoznacznie kolonialnym charakterze poczują się zmuszeni zrezygnować ze swych zamyśłów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NA KONCERT GINTROWSKI

*A jażmak
coś po was
wstał*

ZAPRASZA

**ME
CE
NAS**
KONCERTU



ORLEN



Transfer pieniędzy z UE jest mocno opłacalny nie tylko dla krajów, które je dostają jako dopłaty. Na zdjęciu szefowa KE Ursula von der Leyen FOT. THIERRY MONASSE/GETTY IMAGES

UE nas łupi



Tomasz Cukiernik

Według oficjalnych danych dotacje unijne dla Polski stanowią mniej niż 60 proc. tego, co transferują zachodni inwestorzy za granicę

Niektóre media, jak np. Business Insider, jako bilans polskiego członkostwa w Unii Europejskiej podają wyłącznie saldo przepływów pomiędzy budżetem Unii a budżetem Polski (unijne dotacje minus

składka członkowska). Tymczasem jest to zaledwie wycinek rzeczywistości i ktoś, kto tylko na tej podstawie twierdzi, że „zyskaliśmy na członkostwie” – a bezrefleksyjnie robi to zdecydowana większość polityków i dziennikarzy –

albo jest manipulatorem, albo nie wie, o czym mówi.

DEGRADUJĄ PKB O 1,5 PROC.

Rumuńska europosłanka Clotilde Armand, członek komisji budżetowej PE, powołując się na wyliczenia francuskiego ekonomisty Thomasa Piketty'ego, postawiła tezę, że w ramach Unii Europejskiej więcej pieniędzy przepływa ze wschodu (z krajów biedniejszych) na zachód (do bogatszych) niż w przeciwnym kierunku. Profesor Piketty wyliczył, że pieniądze, które zachodnioeuropejskie koncerny generują z inwestycji w państwach

Europy Wschodniej, są około dwóch razy wyższe niż kwoty netto transferów z budżetu UE.

Armand napisała w amerykańskim serwisie Politico, że w latach 2010–2016 kraje z naszej części Europy w ramach unijnych dotacji uzyskiwały fundusze o równowartości ok. 2–4 proc. swojego PKB, podczas gdy w tym samym czasie odpływ kapitałów wyniósł ok. 4–8 proc. ich PKB.

Z danych Ministerstwa Finansów wynika, że w latach 2005–2018 transfery z budżetu UE pomniejszone o polską składkę członkowską wyniosły 440,5 mld zł (przy użyciu średniorocznych kursów euro według GUS). To 2,03 proc. PKB Polski w tym czasie. Z drugiej strony wpływ kapitałów z Polski do innych państw UE w formie dywidend i innych przychodów (dochodów) z tytułu udziału w zyskach osób prawnych, odsetek, opłat licencyjnych, przychodów z tytułu świadczeń: doradczych, księgowych, badania rynku, usług prawnych sięgnął 758,9 mld zł, czyli 3,5 proc. polskiego PKB. – Te przepływy gotówkowe degradują PKB Polski o 1,5 proc. To jest bardzo dużo w sytuacji, gdy wzrost wahał się pomiędzy 3 a 7 proc. – komentuje prof. Zbigniew Krysiak z SGH. W ciągu 14 lat Polska straciła na tym niemal 320 mld zł. Najwięcej zyskały gospodarki Holandii i Niemiec.

Wyliczenia Ministerstwa Finansów są prawdopodobnie znacznie zaniżone, ponieważ – jak twierdzi prezes FAKRO Ryszard Florek – zagraniczne koncerny mogą dokonywać drenażu kapitału także w inny sposób, którego nie da się zarejestrować, a być może jest on jeszcze bardziej szkodliwy dla polskiej gospodarki. Mechanizm przedstawia przedsiębiorca na podstawie działań jednej z duńskich firm z branży budowlanej. – Polega on na tym, że towar wyprodukowany w spółce produkcyjnej w Polsce zostaje zafakturowany z symbolicznym zyskiem do spółki matki w Danii. Spółka matka dolicza koszty swojej działalności oraz bardzo wysoki zysk (co łącznie stanowi nawet 40 proc. ceny zakupu z polskiej spółki produkcyjnej), a następnie eksportuje produkt do kraju konsumenta. W wyniku takiego zabiegu w naszym kraju pozostaje bardzo niewielka wartość dodana i niewielki zysk, a większość trafia do Danii jako kraju, w którym siedzibę ma zagraniczny koncern – opisuje Florek.

Bożena Damasiewicz, prezes Fundacji Pomyśl o Przyszłości, precyzuje,

że wpływ kapitału dokonywany przez zagraniczne koncerny kształtuje się na poziomie 100 mld zł rocznie. To trzy razy więcej niż wartość absorbowanych rocznie dotacji unijnych, a w latach 2005–2018 oznacza utratę 1,4 bln zł, czyli ponad 6 proc. PKB.

W latach 2010–2016 kraje z naszej części Europy dostały w dotacjach ok. 2–4 proc. PKB, w tym czasie odpływ kapitałów wyniósł 4–8 proc. ich PKB

Europosłanka Armand zauważa też, że zachodnioeuropejskie koncerny zarabiają również wielkie pieniądze na inwestycjach w Europie Wschodniej finansowanych z pieniędzy UE. Znaczna część dotacji wraca bowiem do gospodarek Europy Zachodniej w postaci zamówień oraz zleceń firm i sektora publicznego korzystającego z dotacji unijnych. Według różnych szacunków w Polsce jest to rząd wielkości od 60 do nawet 90 proc. wartości dotacji.

(NIE) MOŻNA PORÓWNYWAĆ

Profesor Tomasz Grzegorz Grosse, europeista z Wydziału Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego, uważa, że jak najbardziej uprawnione jest porównywanie obu transferów.

– To wszystko działa w pewnym jedynym systemie gospodarczym, który funkcjonuje w Polsce po naszym wejściu do Unii Europejskiej – mówi prof. Grosse. – Wprawdzie inwestorzy zaczęli do nas napływać wcześniej, ale to tak naprawdę po wejściu do Unii uzyskali oni pewne gwarancje, pewną stabilność prawną i polityczną, która ich ośmieliła do różnego rodzaju inwestycji. Trudno pomijać nie tylko kwestie funduszy strukturalnych, które mamy w ramach UE, lecz także ten napływ inwestorów zewnętrznych, w bardzo dużym stopniu europejskich, przede wszystkim niemieckich, ale też francuskich, włoskich.

Nie wszyscy ekonomiści zgadzają się, że oba rodzaje transferów do i z Polski można w ogóle zestawiać. – Porównywanie tych 2 proc. z 3,5 proc. jest trochę nieuzasadnione. To są różne kategorie – uważa prof. Witold Kwaśnicki z Instytutu

Nauk Ekonomicznych Wydziału Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego. – Porównywanie jedno-czynnikowe jest bardzo niebezpieczne. Zastosowanie metody ceteris paribus, czyli wszystko inne stałe, która może sprawdza się w edukacji, w prowadzeniu polityki gospodarczej jest bardzo niebezpieczne. Trzeba patrzeć na zjawiska, uwzględniając ich złożoność. Transfery są czymś naturalnym. Jeżeli ktoś inwestuje, to zarabia i ma prawo wytransferować pewne zyski. Część z tych zysków zostaje w Polsce, część zostaje wytransferowana za granicę i nie ma w tym nic złego. Jest to naturalne biznesowe zachowanie. Tak też robią polscy inwestorzy np. na Ukrainie – wyjaśnia.

Profesor Kwaśnicki podaje przykład Irlandii, gdzie właśnie dzięki inwestycjom firm zagranicznych PKB w latach 90. ubiegłego wieku rósł dwa razy szybciej niż w latach wcześniejszych. – Z naszego punktu widzenia dobrze by było, gdyby zyski zostawały w Polsce, ale firmy wolą te pieniądze zainwestować w innych krajach i mają prawo je transferować. Ale skutkiem tego, że zainwestowały w Irlandii czy w Polsce, PKB jest o 1,5, 2 czy 3 punkty procentowe wyższy, niż potencjalnie mógłby być, gdyby tych inwestycji nie było – mówi prof. Kwaśnicki.

PO CO SĄ DOTACJE?

Zdaniem prof. Groszego od samego początku rynek wewnętrzny był tak pomyślany, że następuje odpływ kapitału w postaci różnego rodzaju dywidend do centrów w Niemczech czy Holandii, a dotacje unijne są formą rekompensaty za te straty. – Ponieważ ta logika według niektórych ekonomistów i polityków jest niekorzystna dla krajów peryferyjnych albo słabiej rozwiniętych, wymyślono fundusze strukturalne i fundusz spójności, żeby była to forma rekompensaty, która by niwelowała przynajmniej do pewnego stopnia ewentualne szkody wynikające z dynamiki funkcjonowania gospodarki na liberalnym rynku wewnętrznym – uważa prof. Grosse. – Jeżeli mamy dyskusję o tym, jak będzie wyglądać kolejna wieloletnia perspektywa finansowa UE, że trzeba ciąć przede wszystkim fundusze spójności, to jest to wycofanie się z pewnej obietnicy, którą dano krajom słabiej rozwiniętym, że jest to forma rekompensaty za funkcjonowanie rynku wewnętrznego, który

– obiektywnie rzecz biorąc – jest dużo bardziej korzystny właśnie dla takich krajów jak Niemcy i Holandia, które żeby w pewnym sensie zrekompenzować sposób funkcjonowania rynku wewnętrznego, są z kolei płatnikami na rzecz funduszy strukturalnych i funduszu spójności.

Podobnie uważają przedsiębiorcy. – Deal z UE, gdy Polska tam wchodziła, był taki, że oni mają gigantyczną przewagę kapitałową, niezawinioną przez nas, i gigantyczną przewagę w zakresie know-how, więc dostają rynek. Daliśmy rynek 38 mln konsumentów w zamian za dwie rzeczy: za ten rynek oni zapłacili – te dotacje nie są za darmo, że jesteśmy tacy fajni, nigdzie na świecie nie ma czegoś takiego, żeby ktoś komuś podarował 2 proc. PKB. Drugą rzeczą, którą dali, był swobodny dostęp do ich rynku, który w zakresie dyrektywy usługowej się nie zmateriałizował – komentuje Cezary Kaźmierczak, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.

– Fundusze europejskie to jest takie naprawdę minimalne odszkodowanie za to, ile Polska straciła na UE, na tzw. wolnym rynku, którego nie ma, który jest tylko mitem, który działa tylko w jedną stronę. Francuskie i niemieckie firmy mogą w Polsce pomnażać swój kapitał i tam wyprowadzać zyski – uważa Maciej Bienert, przedsiębiorca, który funkcjonuje na niemieckim rynku.

Jeszcze inaczej rolę funduszy unijnych widzi prof. Krysiak. – Te środki, które płynęły do Polski z UE, w większości były przeznaczane na budowę infrastruktury. Ta infrastruktura była potrzebna właśnie dla zachodnich korporacji do budowania biznesu. Można i nawet trzeba zinterpretować to w ten sposób, że te środki z Unii były niejako inwestycją, w pierwszej kolejności służy jako wsparcie rozwoju biznesu tych korporacji, które w dalszej kolejności uzyskiwały dywidendy – mówi.

GOSPODARKA ZALEŻNA

Efekt jest taki, że Polska stała się gospodarką zależną. „Obecnie obserwujemy nowy rodzaj ekspansji kolonialnej, w której wojsko zastąpiono użyciem kapitału. Stworzono takie reguły gry w gospodarce globalnej, aby kraje, które mają kapitał, mogły sobie podporządkować kraje biedne, które będą na nie pracowały” – czytamy w prezentacji Fundacji Pomyśl o Przyszłości.

Przepływy finansowe pomiędzy Polską a UE w latach 2005–2018

Opracowanie własne na podstawie danych Ministerstwa Finansów



– Staliśmy się zależni zarówno od kapitału, jak i decyzji strategicznych, które są faktycznie poza naszym krajem, a są ułożone w centrach ekonomicznych świata zachodniego. Taki model przyjęliśmy. To, że funkcjonujemy w ramach gospodarki zależnej, to nie znaczy, że nie odnosimy pewnych korzyści z funkcjonowania w ramach tego organizmu. Niemniej musimy się domagać dochowania pewnych reguł gry, które na samym początku były ustalone pomiędzy nami a resztą Unii w momencie wchodzenia do UE – mówi prof. Grosse.

Sam koszt wymuszonej przez Brukselę polskiej transformacji energetycznej szacowany jest na 400–500 mld euro. To równowartość rocznego PKB naszego kraju

Trudno określić, czy skutek w postaci finansowego drenażu Polski przez zachodnie firmy jest intencjonalnym celem UE, czy pojawił się niejako „przy okazji”.

– Biznes poparł najpierw ideę utworzenia wspólnoty, a potem jej rozszerzenia, bo widział w tym konkretne korzyści dla siebie. Są to m.in. powiększenie korzyści skali, dostęp do dobrych jakościowo i tańszych kooperantów, dostęp do tych

samych kulturowo zasobów ludzkich, których obecnie na rynkach zachodnich brakuje. Bez wątpienia biznes nie dopuściłby do powstania czy rozszerzenia Unii, gdyby mu się to nie opłacało – uważa prezes Florek.

Jak państwo polskie może walczyć z tym niekorzystnym zjawiskiem? Może nie powinno nic z tym robić, bo właśnie na tym polega wolny rynek i członkostwo w UE, a zwykle interwencjonizm przynosi jeszcze gorsze skutki?

Zdaniem prezesa Florka w dzisiejszym świecie nie istnieje wolny rynek w klasycznym wydaniu, bo rządy wszystkich krajów działają na rzecz rozwoju gospodarczego swoich krajów, a tym samym na rzecz zamożności swoich obywateli. Widzi on rolę państwa polskiego szczególnie w dwóch obszarach. Po pierwsze – edukacji obywatelskiej i przekazywaniu zasad życia w globalnej gospodarce wolnorynkowej, aby Polacy swoimi decyzjami zawodowymi i konsumenckimi wspierali swoją rodzimą gospodarkę (budowanie tzw. kapitału społecznego). Po drugie – dążeniu do stworzenia polskim firmom równych szans konkurowania z zagranicznymi koncernami.

– Obecnie polskie firmy działające w branżach globalnych są mocno dyskryminowane ze względu na brak kapitału, efektu skali, brak ochrony prawnej w przypadku stosowania nieuczciwych praktyk przez zachodnich konkurentów – tłumaczy szef FAKRO.

Profesor Krysiak jest zdania, że gdyby idea wspólnoty narodów, czyli pewnego solidaryzmu gospodarczego, takiego podejścia do naszego kraju, jakie mają Niemcy do siebie samych, była realizowana, to mielibyśmy duże korzyści.

– Natomiast z braku realizacji tego modelu my na tym tracimy. To nie oznacza, że funkcjonowanie w układzie rynku europejskiego jest bez sensu. Bo włączenie się w duży rynek ma efekt ekonomii skali. Dlatego nie możemy mówić, że chcemy wyjść z tego układu. Tylko powinniśmy walczyć o inny, sprawiedliwszy model – mówi prof. Krysiak.

ZYSKALIŚMY NA CZŁONKOSTWIE?

– Musimy myśleć o tym, jak ten model gospodarczy dalej rozwijać i w jaki sposób wspierać krajowe przewagi, krajowe przedsiębiorstwa, krajowych przedsiębiorców, budować nawet pewne krajowe czempiony, które będą mogły rywalizować zarówno na rynku wewnętrznym z innymi dużymi korporacjami zachodnimi, jak i na rynkach globalnych – uważa prof. Grosse.

Polskie władze jednak nie tylko nie wspierają polskich firm, lecz także

nawet uprzywilejowują zagraniczne.

– Nie ma co mieć pretensji do inwestorów zagranicznych. Oni wykorzystują nadarzające się sytuacje. Skandaliczne jest to, że od początku polskiej transformacji firmy zagraniczne były traktowane inaczej niż firmy polskie – poprzez różnego rodzaju zwolnienia podatkowe, lepsze warunki w wolnych strefach gospodarczych, pewne dopłaty w formie infrastruktury, a polskim przedsiębiorcom tego nie dawano. Skandaliczne jest to, że warunki, które stwarza polski rząd firmom zagranicznym, poprzez odpowiednie przepisy, są niesymetryczne – mówi prof. Kwaśnicki. – Twierdzą, że gdyby od początku polskiej transformacji stworzyć symetryczne warunki do działania polskiego i zagranicznego biznesu w Polsce, mielibyśmy znacznie większy zakumulowany kapitał i wiele firm, które moglibyśmy nazwać koncernami globalnymi, które operują na rynkach światowych – dodaje.

Dwustronne budżetowe transfery nie obrazują całego bilansu członkostwa Polski w UE. Tylko koszt wymuszonej przez Brukselę polskiej transformacji energetycznej do roku 2050 oficjele

rządowi szacują na 400–500 mld euro. To równowartość rocznego PKB Polski. Ponadto zerowy VAT na wewnątrznijnej granicy napędza wyłudzenia tego podatku, od początku członkostwa idące w setki miliardów złotych.

Nie można też zapominać o drenażu mózgów. Straty związane z wypływem ludzkiej krwi i potencjału intelektualnego głównie młodych ludzi to olbrzymie, idące w biliony, zastrzyk, który Polska przekazuje do gospodarek państw unijnych. W ten sposób Zachód buduje nie tylko swój dobrobyt, lecz także demografię, co jest fundamentem istnienia i przetrwania.

Transfery inwestorów do krajów Europy Zachodniej wykazują wyraźną tendencją wzrostową, co oznacza, że sytuacja będzie coraz bardziej niekorzystna dla naszego kraju, a tymczasem Polska jest straszona cięciami funduszy unijnych. W tym kontekście pomysł na wiązanie dotacji z jakimiś bliżej nieokreślonymi zasadami praworządności budzi zdziwienie, bo jest to próba uzależnienia naszego kraju od stosunkowo już niewielkiego wsparcia finansowego ze strony Brukseli.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

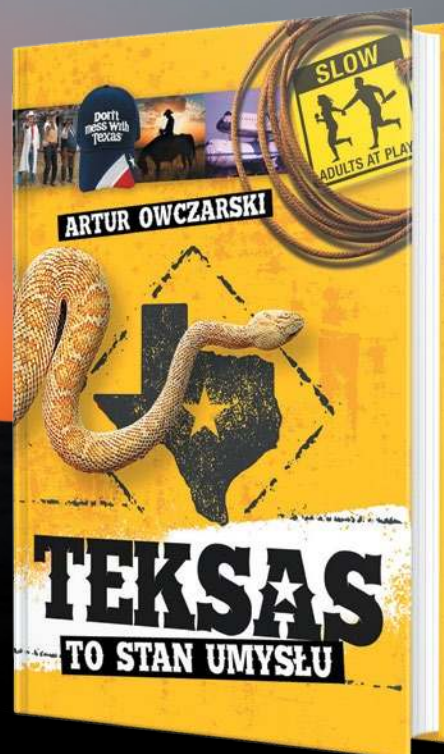
ODKRYJ PRAWDZIWE OBLICZE TEKSASU

ŚWIATOWA STOLICA KOWBOJÓW,
WSZECHOBEĆNE GRZECHOTNIKI,
TEKSAŃSKIE WINNICE,
RODEO I BBQ.

PODRÓŻ W GŁĘB
AMERYKAŃSKIEGO STANU,
KTÓRY BARDZO PRZYPOMINA...
POLSKĘ!

PATRONAT
MEDIALNY:

Różniasz Świat
MIESIĘCZNIK





Tomasz Rowiński

Spór o polskie instytucje przysłania poważniejsze konflikty wewnątrz UE, które mogą spowodować, że wspólnota i tak się rozpadnie

Media w Holandii informują o propozycji premiera tego kraju w sprawie rozwiązania kwestii praworządności w Polsce i na Węgrzech. Mark Rutte chce stworzenia nowej Unii Europejskiej bez udziału Warszawy i Budapesztu – tak pisaliśmy na portalu „Do Rzeczy” we wrześniu. Choć sprawa przycichła, to warto do niej wrócić, by nie zapomnieć, co może chodzić po głowie przynajmniej niektórym liderom państw unijnych. Szczególnie teraz, gdy konflikt o unijny budżet nabrał rumieńców.

CO POWIEDZIAŁ MARK RUTTE

Przypomnijmy wymianę zdań między premierem Markiem Ruttem a posłem Zielonej Lewicy Bramem van Ojikiem, do której doszło 9 września w niderlandzkim parlamencie. Omalwając kwestię możliwości uzależnienia wypłaty 750 mld euro z Funduszu Odbudowy (którego celem jest złagodzenie konsekwencji gospodarczych pandemii) od wyników państw członkowskich UE w zakresie demokratyczności rządów i praworządności, Rutte zapytał: „Czy można opracować budżet na podstawie umowy międzyrządowej lub czy można założyć UE bez Węgier i Polski?”. Informacje o tej rozmowie podał na Twitterze najpierw po flamandzku Jaap Jansen, a potem z anglojęzycznym komentarzem udostępniła go holenderska dziennikarka Caroline de Gruyter. Do Polskiej sieci przebił się on poprzez tweet Andrew Wodźnińskiego.

Czy był to poważny epizod? Odpowiedź na to pytanie musi być złożona. Podczas negocjacji w sprawie kształtu Funduszu Odbudowy, które toczyły się w Radzie Unii Europejskiej, Mark Rutte był niewątpliwym liderem grupy państw, którą określono mianem „oszczędnej czwórki”. Premier Mateusz Morawiecki podczas lipcowego szczytu nazwał ten sojusz kilku państw pod przewodnictwem Niderlandów mianem



„grupy skąpców”. Można zatem spłaszyc problem i powiedzieć, że pytanie Ruttego to efekt irytacji lub też świadomej gry prowadzonej pod oczekiwania opinii publicznej w Niderlandach. Rutte, choć przegrał negocjacje, chciał uchwycić za twardego i niezłomnego obrońcę interesu swojego kraju.

Epizod mógł też być elementem trwającej rozgrywki o wewnątrzunijny status poszczególnych państw. Proces ten przybiera na sile razem z ujawnianiem się dążeń tzw. nowych członków UE do uzyskania bardziej suwerennej pozycji w ramach wspólnoty. Część stolic o dłuższym unijnym stażu w dalszym ciągu chętnie trzymałaby Polskę, Węgry, ale też Bułgarię i Rumunię w pozycji nowicjuszy czy uczniów, którzy będą bezdyskusyjnie przyjmować wszystko to, co powiedzą ich liderzy i zdominowane przez przedstawicieli tych państw unijne instytucje. Jednak po 16 latach od integracji coraz trudniej jest utrzymać taki półkolonialny status państw Europy Środkowej i Wschodniej. Państw, które mogą pochwalić się już zarówno

rozwojem gospodarczym, jak i okrzepnięciem instytucjonalnym.

NIESMACZNA DEMOKRACJA

Jest oczywiste, że słowa Ruttego nie są bezpośrednim wezwaniem do działania. Jest jednak coś niebezpiecznego w jego wypowiedzi i głos ten daje się uchwycić w tekście Toma Theunsa, opublikowanym 21 września w EUobserver.com. Wynika z niego, że poszukiwania sposobu na choć częściowe uwolnienie się od niewygodnych sojuszników ze Wschodu będą kontynuowane czy to w propozycjach „twardego jądra”, czy nawet refundowania całej instytucji unijnej. Theuns w swoim tekście nieustannie (ale niezbyt konkretnie) pomawiając Polskę i Węgry o autokratyzm, w końcu dochodzi do problemu jak najbardziej realnego, czyli „europejskich wartości”. Czy faktycznie są nimi praworządność i demokracja? Odpowiedź nie jest prosta, Theunsowi przeszkadza bowiem np. demokratyczny mechanizm strzegący uruchamiania artykułu 7. Artykuł ten umożliwia nakładanie sankcji karnych na państwa Unii, ale



Niderlandzki premier Mark Rutte we wrześniu pytał: „Czy możemy założyć UE bez Węgier i Polski?”

FOT. ADAM BERRY/GETTY IMAGES

sposób, w jaki układamy u siebie porządki w sferze publicznej.

Znana była swego czasu emocjonalna wypowiedź Jeana Asselborna, luksemburskiego ministra spraw zagranicznych i byłego wicepremiera, który w roku 2016 powiedział, że „nie możemy zaakceptować tego, że fundamentalne wartości Unii Europejskiej są rażąco łamane. Ci, którzy, podobnie jak Węgry, budują ogrodzenia przed uciekającymi uchodźcami, prowadzą wojnę lub naruszają wolność prasy i niezawisłość sądownictwa, powinni zostać czasowo lub, w razie potrzeby, trwale usunięci z UE”. Z jednej strony widać tu dobrze wątek irytacji z powodu nieposłuszeństwa Węgier, z drugiej jasny sygnał, że unijne elity uważają suwerenną politykę Węgrów za wykluczającą z grona państw cywilizowanych.

Co do zasady sytuacja powtórzyła się, gdy unijna komisarz ds. równości

**„Obrona demokracji”
będzie trwała tak długo,
aż Polska zgodzi się
na upadek społeczny,
który już nastąpił na Zachodzie**

tylko przy jednogłośniejszym zgodzie wszystkich członków wspólnoty. Można powiedzieć, że prawodawca unijny realizował w tym przypadku ideał demokracji, która nie lekceważy ochrony praw mniejszości. I to Theunsowi – wobec braku uległości Polski – jakoś ta demokracja nie smakuje.

„Jeśli Węgry i Polska nadal będą popadać w autokrację, to UE jako całość straci wszelkie demokratyczne roszczenia do władzy. Nasze obywatelstwo UE straci swój demokratyczny charakter” – pisze Theuns. To bardzo charakterystyczna opinia – polskiego i węgierskiego autorytaryzmu może jeszcze nie ma, ale Unia powinna działać tak, jakby był. To zabieg retoryczny. Ostatnie wybory w Polsce – patrząc na poziom partycypacji – w innej sytuacji byłyby ogłoszone przez liberalne media „zwycięstwem demokracji”. Jednak chodzi o coś innego. Za hasłami „obrony demokracji”, także częściowo „praworządności”, za sugerowaniem „autokratyzmu” kryje się powstrzymywana przez polityczną poprawność chęć powiedzenia, że część państw unijnych po prostu nie chce nas w swoim gronie. Powodem tego jest

Helena Dalli skrytykowała Polskę za „strefy wolne od LGBT”. Czy Dalli świadomie potraktowała fałszywą informację o „strefach wolnych od LGBT” jako okazję do podkręcenia kursu przeciwko Polsce, czy też zwyczajnie pasowała ona do ideologicznych wyobrażeń na temat Polski, jakie ma pani komisarz, trudno powiedzieć. Jedno jest pewne – to polskie zasady konstytucyjne, na których potwierdzeniu zależało samorządom w głośnych uchwałach, znalazły się na cenzurowanym ze strony wysokiego przedstawiciela Komisji Europejskiej. Komisja zaś w sprawach tzw. wartości europejskich arbitralnie reprezentuje partykularny punkt widzenia zdominowanych przez lewicową ideologię starych państw Unii. Kurs polityczny jest prosty, nie będzie żadnej refleksji w sprawie tzw. postępowych osiągnięć Zachodu, a Wschód ma się po prostu dostosować.

NIDERLANDZKA SZPICA

Pojawienie się Niderlandów w szpicie rozprawy z Polską nie powinno dziwić, trudno powiedzieć, co nas dziś kulturowo

łączy. To, co w Niderlandach jest uważane za porządek publiczny, znajduje się na antypodach polskich zasad. Aborcja jest dozwolona do 24. tygodnia ciąży, a protokół z Groningen pozwala w wielu przypadkach na terminację postnatalną noworodków; poszerzane jest przyzwolenie na eutanazję, a osoby starsze często obawiają się, że wizyta w szpitalu zakończy ich życie. Właśnie trwają prace nad ustawą, która da „możliwość dobrowolnej eutanazji każdej osobie po 75. roku życia bez względu na stan zdrowia”, jak pisał o sprawie – z pewnością niekonserwatywny – należący do TVN24 portal factcheckingowy Konkret24.pl. W Niderlandach funkcjonują także tzw. małżeństwa homoseksualne, które mogą adoptować dzieci. Za tym idzie edukacyjna i medialna indoktrynacja na temat rzekomej „równości małżeńskiej”. Krytyka tych rozstrzygnięć prawnych jest praktycznie niemożliwa z powodu totalnej dominacji dyskursu politycznego ruchu homoseksualnego w tym kraju. Do tego dochodzi legalna dostępność niektórych narkotyków.

Jak wygląda w Holandii „praktyka społeczna” wobec katolików? Gdy w 2019 r. katolicka grupa manifestowała przeciw „Różowym dniom”, policja przesuwiała manifestację w możliwie najmniej uczęszczane miejsca. „Katolikom zabroniono używać nagłośnienia, a bannery nie mogły być umieszczone na drewnianych drążkach, bo stanowiły one zagrożenie. [...] Homoseksualiści mogli zaczepiać protestujących katolików, drzwi z nich – tego rodzaju zachowania nie robiły większego wrażenia na funkcjonariuszach. Katolicy za to karzeni byli, gdy zbyt »nachalnie« zagadywali do przechodniów” – pisał o wydarzeniu Marcin Austyn na Pch24.pl.

Nie możemy mieć złudzeń, że spory o polskie instytucje przesłaniają znacznie poważniejsze konflikty w UE, które stawiają pod znakiem zapytania przyszłe jej trwanie. Różnice kulturowe są i będą rozgrywane politycznie, w białych rękawiczkach, jako obrona demokracji. Ta obrona będzie trwała tak długo, aż „demokracja” wygra, czyli Polska zgodzi się na upadek społeczny, który już dotknął Zachód.

Odpowiedzią Polski powinna być rozróżniona praca na rzecz własnej suwerenności – w zakresie polityki, obronności i kultury. Przekonywanie Polaków, że odrębność naszych zasad jest dla nas po prostu dobra.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka

Kaczyński musi w jednym czasie zajmować się trzema kryzysami. Kryzysem przywództwa, kryzysem struktury wewnętrznej i kryzysem premierostwa

Nie czuję się „złamany, nie usłyszałem żadnych gróźb, spotkanie było miłe”. W ten sposób, jak się zdaje, zakończyła się jednodniowa fronda posła PiS Lecha Kołakowskiego. Tego samego dnia Jarosław Kaczyński załagodził konflikt z Janem Krzysztofem Ardanowskim. Trzynastu pozostałych zawieszonych wcześniej posłów także powróciło na łono partii. Wizja powstania poza klubem PiS koła pro-liferów, obrońców polskiej wsi i tożsamościowców powoli się rozwiewa.

Tego samego dnia wieczorem w Sejmie Jarosław Kaczyński po raz kolejny dał się sprowokować opozycji. Znow nie mógł powstrzymać się przed emocjonalnym występowaniem. Znow oskarżył opozycję o to, że ma krew na rękach.

Rano złagodzenie wewnętrznego konfliktu, wieczorem szarża w stylu, który zawsze szkodzi Kaczyńskiemu. Rafał Trzaskowski już ogłosił, że „im Kaczyński agresywniejszy, tym słabszy”. A przed PiS ciężka batalia o niepowiązanie wypłaty pieniędzy unijnych z arbitralnie ocenianym stanem praworządności.

POŁAMANE ZĘBATKI

Co zacięło się w maszynarii kierowanej przez Jarosława Kaczyńskiego? Przyjrzyjmy się przypadkowi Kołakowskiego. Od 30 lat był najpierw liderem Porozumienia Centrum w Łomży, a potem szefem tamtejszego PiS. Jest posłem nieprzerwanie od 2005 r. Zawsze subordynowany wobec prezesa. Tym razem – jak twierdzą jego znajomi – stanął okoniem. Był zaszokowany tym, że z godziny na godzinę za odwołaniem głosowania za „piątką dla zwierząt” został zawieszony i jednocześnie utracił funkcję szefa okręgu partii. Nikt z nim nie rozmawiał. Dopiero gdy ogłosił odejście, nagle dostał zaproszenie na miłą rozmowę na Nowogrodzką.

Misję Ryszarda Terleckiego, któremu zlecono ugłaskanie buntowników, chyba



Rozhuśtana Łódź PiS

można uznać za sukces. Nie zmienia to podstawowego problemu: Dlaczego z władz PiS nikt nie dotarł do Kołakowskiego, zanim ten nie poczuł się zepchnięty do narożnika? Dlaczego nie ma tam pomocników trenera, którzy w każdej dobrej drużynie sygnalizują mu, że któryś zawodnik przeżywa kryzys?

Coś w dotychczasowej formule zarządzania partią przez Jarosława Kaczyńskiego się zepsuło. Jego siłą było stworzenie na początku 2000 r. partii z tzw. zakonem PiS, który dostosowywał się do każdej linii prezesa. Ten krąg – którego najbardziej znanymi postaciami byli Adam Lipiński, Mariusz Błaszczak, Joachim Brudziński, Henryk Kowalczyk i działacze terenowi, np. Krzysztof Jurgiel – okazał się niezwykle sprawną polityczną maszyną.

Jednak ta formuła pokazała swoją słabość w maju, gdy Jarosław Gowin jako pierwszy skorzystał z posiadania grupy posłów decydujących o tym, czy PiS ma większość, czy nie. Kaczyński załagodził wówczas spór, zgrzytając po cichu

zębami. Jesienią postanowił dokonać sprawdzianu swojej kontroli nad partią, wpadając na pomysł przetestowania klubu za pomocą tzw. piątki dla zwierząt. Ten pomysł okazał się fatalny. Jedna czwarta klubu odwróciła się plecami do lidera.

Teraz Kaczyński musi się zastanowić, jak zmienić formułę zarządzania partią. Mityczna wola prezesa, na którą powoływali się jego paladyni, przestała być skuteczną siłą. Zwiększa się przepaść pokoleniowa między prezesem i jego zakonem a młodszą generacją posłów Zjednoczonej Prawicy. Nałożyła się na to dodatkowo sytuacja, w której zapas głosów dla utrzymania większości jest niewielki, Senat został stracony, a prezydent Andrzej Duda może pozwolić sobie na większą niezależność. Trybiki dotychczasowych mechanizmów działania się kruszą.

Politycy PiS – na razie po cichu – zaczynają jednak sarkać na starzejącego się szefa. Kaczyński częściej się irytuje, nie znosi, gdy coś nie idzie po jego myśli,



FOT. TOMASZ JASTRĘBSKI/REPORTER

Młodzi zaś czują, że szarżę prezesa z mównicy sejmowej na opozycję doskonale służą opozycji do kreowania wizerunku schyłku rządzącej formacji.

TAK ŹŁE I TAK NIEDOBRCZE

Kaczyński musi w jednym czasie zajmować się trzema kryzysami. Kryzysem przywództwa, kryzysem struktury wewnętrznej i wreszcie kryzysem premierostwa. O pierwszym kryzysie była już mowa. Drugi kryzys wymusza na Kaczyńskim zastosowanie mechanizmów większej kolegialności, która wzmacnia pozycję zarówno Zbigniewa Ziobry, jak i Jarosława Gowina. Tyle że aby taki mechanizm dobrze działał, prezes będzie musiał znacznie ograniczyć dotychczasową zasadę, że wola prezesa jest prawem. Jak trafnie opisał to zjawisko Piotr Zaremba – PiS z monarchii zmienił się w sejmik szlachecki.

Na dodatek nic nie wskazuje na to, że wejście Kaczyńskiego do rządu polepszyło sytuację. Jest znacznie gorzej. Kaczyński poza rządem, kierujący z tylnego siedzenia siedziby na Nowogrodzkiej, był krytykowany za taki styl, ale było lepiej. Tym bardziej że teraz ułatwia to opozycji obciążanie wprost prezesa-wicepremiera odpowiedzialnością za każdy incydent uliczny z udziałem policji. A o to, by na ulicach wciąż coś się działo, dbają Marta Lempart i jej koleżanki.

Kolejny problem to coraz więcej głosów krytycznych wobec premierostwa Morawieckiego. Był idealny na dobre czasy rozdawania socjalnych podarków. Od dziewięciu miesięcy musi jednak rządzić w warunkach ostrego kryzysu spowodowanego przez pandemię. Widać jego zmęczenie. A jeszcze wejście do rządu Kaczyńskiego symbolicznie zdegradowało Morawieckiego i tego wrażenia nie dało się łatwo zatrzeć.

Teraz potrzebna byłaby rekonstrukcja rządu. I to taka, która wizerunkowo odświeżyłaby wizerunek gabinetu, a nie była jedynie wynikiem walk w trójkącie PiS – Ziobryści – partia Gowina.

Na razie jednak rzeczywistość skrzeczy. Kaczyński musi jakoś poprawić „piątkę dla zwierząt”, by nie blokowali jej niechętni tej ustawie posłowie PiS. Nie wiadomo, co zrobić z werdyktem Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. Weto tożsamościowych pro-life-ów może podciąć skrzydła inicjatywie prezydenckiej, a szukanie sojuszników w obozie opozycji wobec rozhuśtania nastrojów nie będzie łatwe.

Za chwilę znowu mogą zacząć się dyskusje, jak daleko PiS ma się posuwać w debacie nad wiązaniem dopłat unijnych z praworządnością. Jarosław Gowin już daje znać, że jest przeciw wetu. Wszystko to Kaczyński będzie musiał rozstrzygnąć w ciągu najbliższego tygodnia lub dwóch.

KRÓTKA CHWILA ODDECHU

Oczywiście nie jest tak, że PiS całkowicie nie ma powodów do zadowolenia. Sondaże poszły w dół, ale partia powoli nadrabia straty. Strajk Kobiet stracił na atrakcyjności. Portal politykawsieci.pl donosi, że zmniejszenie się zasięgu hasła „strajk kobiet” wyniosło aż 97 proc. Wśród trzech przyczyn tego załamania analitycy sieciowi wymieniają: eskalację żądań przez Martę Lempart, brak pomysłów na skuteczne małe protesty i wreszcie dziwaczny kształt rady konsultacyjnej Strajku Kobiet. Opozycja jednak już pragnie ponownego wyprowadzenia młodych na ulice pod hasłem: „Precz z PiS-owskim polexitem”. Znow Czarzasty, Budka i Hołownia marzą o kryterium ulicznym.

Tym, którzy wieszczą PiS los Akcji Wyborczej Solidarność, analitycy przypominają, że w 2001 r. wyborcy prawicy mogli przerzucić swoje głosy albo na PO, albo rozkwitający wówczas dopiero PiS, albo Ligę Polskich Rodzin. Dzisiaj takiej wyrażonej kontroferty nie widać, jeśli nie liczyć stosunkowo małej grupy wyborców PiS, którzy dają się uwieść Hołowni.

Konfederacja nie wzmocniła się na ostatnich kłopotach PiS, a na dodatek grozi jej secesja w postaci inicjatywy koła libertarian z Dobromirem Sośnierzem, Arturem Dziamborem i Jakubem Kuleszą.

Całkowite podporządkowanie się Platformy awanturniczej formule Strajku Kobiet przypominało wielu prawnicowcom zirytowanym na PiS, że bardzo niedaleko jest realna groźba nawrotu lewicowego ekstremizmu.

To powoduje, że w PiS, mimo niektórych zdesperowanych głosów, nikt nie pali się do przyspieszonych wyborów.

No i wreszcie stały już czynnik – rosnąca irytacja Polaków przedłużającą się sytuacją pandemią. Z koronawirusem zmagają się cała Europa, ale w Polsce problem wzmacnia się przez wyjątkową ostrość wojny polsko-polskiej. PiS musi co rusz uczuć się kolejnej umiejętności w szybko zmieniającej się rzeczywistości. To coś jak nauka żonglowania piłeczkami na kręcącej się szybko karuzeli. © Wszelkie prawa zastrzeżone

i wreszcie, jak się zdaje, nie jest zadowolony z decyzji wejścia do rządu.

Krytycy lidera wskazują, że wcześniej odbywała się jakaś dyskusja w trakcie spotkań Kaczyńskiego z klubem PiS. W tej kadencji Sejmu spotkanie, które poprzedziło głosowanie nad „piątką dla zwierząt”, sprawiło wrażenie wojskowej odprawy. Prezes poinformował, że trzeba przegłosować „piątkę”, a kto za nią nie zagłosuje, ten musi się liczyć z najpoważniejszymi konsekwencjami.

Jeżeli prezes chciał testu, to go miał. Tacy posłowie jak Lech Kołakowski – mimo 30 lat wiernego stania u boku Kaczyńskiego, a może właśnie z tego powodu – poczuł się zlekceważeni. Z opóźnieniem prawie dwóch lat daje o sobie znać irytacja posłów obniżką uposażeń do poziomu ok. 8 tys., która została zarządzona we wrześniu 2020 r. Prawie każdy z nich ma jakichś znajomych w spółkach Skarbu Państwa, gdzie zarabia się nieporównanie większe pieniądze. To, co miało być przynależnością do partyjnej elity, czyli mandat posła, zaczęło kojarzyć się ze znaczącym obniżeniem uposażeń. Liczni posłowie z drugich rzędów Sejmu wskazują po cichu, że wszystko to wywołało coś w rodzaju włoskiego strajku. Parlamentarzyści podpisują listę na komisji, ale szybko znikają, mają poczucie, że kierownictwo ich lekceważy, a przy byle konflikcie muszą gęsto się tłumaczyć, iż nie zagłosowali tak, jak każe prezes.

Sąsiadko, Sąsiedzie, jeżeli też nie zgadzasz się z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, to protestuj z nami. W poniedziałek 16.11 o godz. 18 stań w oknie lub na balkonie i »zagraj« dla rządzących na garnkach. Wystarczą tylko dwie pokrywki i drewniana łyżka – głosiła informacja, wysyłana na krakowskiej grupie Strajku Kobiet. Protestujący komunikują się w niej za pomocą popularnej szyfrowanej aplikacji Telegram, udostępniając wzory plakatów, plany przyszłych manifestacji, koordynując na żywo, co krzyczeć i dokąd iść. Akcja „Więcej pary! Walimy w gary!” okazała się jednak cieniem protestów z końca października, gdy po wyroku Trybunału Konstytucyjnego zaostrażającym prawo aborcyjne na ulice miast i miasteczek wyszły setki tysięcy osób.

„IDZIECIE W STRONĘ KOD-U 2.0”

„Na Plantach, niedaleko gmachu kurii krakowskiej, trwa #StrajkKobiet. Uczestnicy i uczestniczki tłuką w garnki i patelnie, skandują »Rewolucja jest kobietą!«. Poniedziałkowy protest zabezpiecza kilkudziesięciu policjantów. Część uczestniczek już została wylegitymowana” – pisał na Twitterze dziennikarz lokalnego dodatku „Gazety Wyborczej”. Do uzupełnienia obrazu można dodać, że uczestników było niewiele więcej od mundurowych, a na krakowskich osiedlach o godz. 18 panowała cisza. Ten przypadek nie jest odosobniony.

Wystarczy wpisać hasło „Strajk Kobiet” na stronie Google Trends, która mierzy zainteresowanie danym tematem w Internecie, aby się okazało, że krzywa wyszukiwań przynajmniej od tygodnia pikuje. „Temat praktycznie przestał istnieć w social mediach. Spadek zasięgów interakcji o 97 proc.” – poinformowała grupa „Polityka w sieci”, zajmująca się badaniem podobnych zjawisk. Zdaniem analityków za wymieniony stan rzeczy odpowiadają trzy, możliwe do wyodrębnienia, przyczyny. Po pierwsze, eskalacja żądań, które wychodząc od akceptowanego przez większość Polaków (ok. 70 proc. ankietowanych) postulatu powrotu do kompromisu aborcyjnego, ewoluowały do całkowitej legalizacji aborcji, zerwania konkordatu i dymisji rządu. Po drugie, stosunkowo szybko zabrakło pomysłu na długofalową formę protestów, które wraz z pogarszającą się pogodą oraz rozproszaniem na zbyt wiele akcji (od dewastowania elewacji kościołów do wspólnej jazdy na rowerze) stały się



Marcin Makowski

Ogólnopolski Strajk Kobiet (OSK) – choć nadal widoczny na ulicach – w niespełna miesiąc wyraźnie wytracił impet. Radykalizacja postulatów, brak politycznego planu liderki, coraz większa „środowiskowość” protestów – to tylko niektóre przyczyny spadku zainteresowania. Coraz wyraźniej widać również, że Marta Lempart robi wszystko, aby wejść w buty Mateusza Kijowskiego proaborcyjnej lewicy

trudne do koordynowania. Po trzecie, istotny spadek zainteresowania oraz wzrost negatywnych komentarzy zaobserwowano w momencie powołania Rady Konsultacyjnej Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, składającej się z wysłużonych „liderów opozycji”, którzy w żaden sposób nie odpowiadali charakterowi protestów ulicznych oraz nie reprezentowali ich demografii.

„Idziecie w stronę KOD-u 2.0. Jeszcze tylko afer z fakturami brakuje” – pisał jeden z internautów, komentując skład rady oraz przedstawione przez nią ultimatum „odebrania pieniędzy Kościołowi i TVP” oraz zwiększenie wydatków na służbę zdrowia do 10 proc. PKB w... tydzień. Kiedy będą państwo czytać ten artykuł, od niewypelnienia ultimatum Marty Lempart przez

rząd miną ponad dwa tygodnie. I świat się nie zawalił. Przez ten czas nie naszkicowano również jakiegokolwiek horyzontu długodystansowej strategii politycznej, która miałaby choćby cień szansy na realizację. Nie mogło być jednak inaczej, skoro na samo pytanie o możliwość założenia partii politycznej liderka OSK przerwała wywiad z portalem Wirtualna Polska, podniesionym głosem tłumacząc redaktorowi, że „nie jest jakimś drugim Hołownią”, „polityka jej nie interesuje” i to „temat drugorzędny” wobec rewolucji dziejącej się na ulicach.

„DZIECI MNIE POTWORNIE NUDZĄ”

W tym samym czasie internetowa zrzutka na „Akcje i działania Strajku



FOT. PIOTR MOLEK/ST. NEWS

Oczywiście bez przedstawienia rachunków, faktur ani wybranych do realizacji zadań podmiotów. Nie wiadomo również, które działania prowadzone są pro publico bono, a za które pobierane jest wynagrodzenie. Czy – dla przykładu – ogromny transparent z hasłem: „Nigdy nie będziesz szła sama”, rozwinięty na kopcu Piłsudskiego, został opłacony ze środków zbiórki publicznej? Czy podawane „numery grupy antyrepresyjnej”, pod którymi prawnicy pomagają osobom aresztowanym za nielegalne demonstracje, to działalność nieodpłatna? Finanse OSK mogą być bombą z opóźnionym zapłonem, podobną do faktur za „usługi informatyczne” Mateusza Kijowskiego, które rozsadziły od środka Komitet Obrony Demokracji.

Ta analogia jest trafna również na poziomie personalnym, a zwłaszcza na polu błyskawicznej utraty zaufania społecznego. Marta Lempart zaskakuje bowiem niesamowitym nawet jak na radykała brakiem empatii. Już po pierwszym strajku „czarnych parasolek” w wywiadzie z „Wyborczą” w 2017 r. dała się poznać niezwykle szczerą odpowiedzią na pytanie o dzieci. „Nie mam instynktu. Potwornie mnie nudzą. Nie umiem z nimi rozmawiać, dopóki nie zaczną rozsądnie gadać. Byłyśmy niedawno na wakacjach w hotelu, gdzie nie przyjmuje się rodzin z dziećmi. Nikt nie biegał z lodami między leżakami, nikt nie wrzeszczał w basenie. Ludzie byli tak szczęśliwi, że jest cicho, że rozmawiali ze sobą szeptem i nie gadali przez telefon”. Gdy dziennikarka dopytała, czy w takim razie woli „psy zamiast dzieci”, Lempart odparła, że coś w tym jest i razem z partnerką traktują dwa kundły przygarnięte ze schroniska „trochę jak nasze córeczki”.

„WSZYSTYCY WYP.....Ć”

O polityczny sojusz ze Strajkiem Kobiet pytam jednego z posłów opozycji. – My ich popieramy, bo są naszymi sprzymierzeńcami w walce z PiS, ale z Lempart i Suchanow nie da się rozmawiać. Ona wszystkim każe wyp.....ć – słyszę. – To, co najbardziej martwi w protestach, to brak realnego przywództwa i wizji, dokąd te protesty mają zaprowadzić – mówi mi jedna z posłanek Lewicy. Jak działa ten mechanizm, przekonała się niedawno dziennikarka Polsat News Agnieszka Gozdyra. „Wygląda na to, że ja też mam wyp.....ć. Za chwilę pani Marta każe to uczynić większości, okopie się

w swoim szańcu i tam założy oddzielne państwo. A na końcu zostanie w nim sama. Żeby było jasne: nie rozpaczam. Tylko jeśli ktoś dowodzi rewolucją, a liczba tych, którym każe wyp.....ć, powoli przewyższa liczbę tych, którym pozwala zostać, to wizja sukcesu jest nikła. Po drodze był już Hołownia i parę innych osób” – napisała Agnieszka Gozdyra, zamieszczając screen z twitterowym „banem” od liderki Strajku Kobiet.

Podobne akcje przekładają się na konkretne liczby. W najnowszym rankingu zaufania publicznego, przeprowadzonym przez IBRiS dla Onetu, Marta Lempart znalazła się na przedostatnim miejscu, o włos wyprzedzając jedynie notującego rekordowe spadki Krzysztofa Bosaka. Aktywistce „ufa” jedynie 13,5 proc. ankietowanych, „jest obojętna” 17,1 proc. pytaných, „nie ufa” jej 43,1 proc., natomiast „nie zna” 26,3 proc. Polaków. „Działalność pani Lempart hurtem wymiotła błyskawice z maszeczek posłów KO i Lewicy. Na poprzednim posiedzeniu mieli je prawie wszyscy spośród nich, dziś prawie nikt” – spuentował całą sytuację Robert Winnicki z Konfederacji.

Na co w takim razie przekłada się Strajk Kobiet? Sondażowo nie zyskuje na nim Koalicja Obywatelska, Lewica tylko nieznacznie, tracąc natomiast Konfederacja i – przynajmniej w początkowej fazie – PiS. W jakimś sensie ich realną konsekwencję widać dopiero pod powierzchnią deklarowanego poparcia. Jest nią np. rekordowy wzrost liczby członków Partii RAZEM. Młodzież pozbawiona reprezentacji parlamentarnej i zapowiedzi powstania ruchu politycznego szuka bowiem formy jakiegokolwiek aktywności w życiu publicznym, która wyjdzie poza aktywizm uliczny. – Jeśli chodzi Polskę Południową, to od 22 października w Małopolsce do partii zapisało się 68 osób, na Podkarpaciu 10. W skali kraju ponad 500. Wraz z okresem wstępnym i sympatykami rozszerza to nasze struktury do prawie 3,9 tys. osób. Oczywiście dominują miasta duże, ale pojawiają się zgłoszenia także z gmin, w których nie mieliśmy dotąd żadnych działaczy i działaczek. To najwięcej w historii partii, nawet po czarnych protestach w 2016 r. nie było takiej fali – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Daria Gosek-Popiołek z RAZEM. I to dzisiaj oni, jeśli ktokolwiek, są największymi beneficjentami strajków, których liderki nie mają wizji dalszego trwania.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kobiet” urosła prawie do 1,4 mln zł, a działaczki wynajęły 300-metrowe biuro przy ulicy Wiejskiej, przy samym parlamencie. To tam odbył się szeroko komentowany wywiad Lempart i Suchanow z „Wyborczą”, w którym liderki zdążyły się pokłócić nie tylko o to, która jest bardziej empatyczna, a która bardziej rewolucyjna, lecz także o wegańskość burgerów i frytek zamawianych w trakcie rozmowy. Aktywizm dla samego aktywizmu staje się tym samym coraz wyraźniejszym pomysłem na funkcjonowanie Strajku Kobiet, który równocześnie zbiera pieniądze we wszystkich oddziałach regionalnych. Jedyną formą ich rozliczenia przed darczyńcami są lakoniczne wycieczki, które sporadycznie pojawiają się na forach dyskusyjnych. Przykład z małopolski: „6350 zł – poszło na ogólnie pojęty druk: ulotki, plakaty, przypinki, maseczki i etc., a także nowy banner, który ukradła policja. 4810 zł – to nagłośnienie na protestach – zakup nowych szczekaczek, baterie, opłata ZAiKS. 1570 zł – zaplecze techniczne m.in.: wyposażenie służb porządkowych, benzyna do agregatu, podest. 280 zł – transport + parking sprzętu” (pisownia oryginalna).

Nietrudno zatem ustalić, że nawet średnio liczne akcje poza Warszawą to koszt około kilkunastu tysięcy złotych.



Andrzej Krzystyniak

Jeśli powstanie w Berlinie ekspozycja upamiętniająca niemieckie zbrodnie przeciwko Polakom, to dobrym krokiem byłoby osobne przypomnienie niemieckich zbrodniarzy, którzy umknęli sprawiedliwości



Fikcja upamiętniania polskich ofiar

Bundestag (na zdjęciu siedziba) zdecydował o „podjęciu działań”, by upamiętnić polskie ofiary niemieckiego terroru FOT. ADOBE STOCK

Najwyższy organ konstytucyjny Republiki Federalnej Niemiec, Bundestag, podjął uchwałę mówiącą o zobowiązaniu rządu Republiki Federalnej do podjęcia działań mających na celu upamiętnienie polskich ofiar niemieckiego terroru i ludobójstwa z lat 1939–1945. Komunikaty prasowe określiły to nieco zwięźle: „Niemiecki parlament przyjął wniosek wzywający do utworzenia w Berlinie miejsca pamięci poświęconego Polakom”.

Niektóre polskie media od razu ograły sukces, przekazując opinii publicznej, że w przyszłości w Berlinie „w końcu powstanie pomnik polskich ofiar drugiej wojny światowej”. Rzecz w tym, że uchwała Bundestagu nie precyzuje, czy wspomniane miejsce pamięci ma być pomnikiem, muzeum czy może jednym i drugim. Treść uchwały co najwyżej otwiera pole do wieloletniej dyskusji, czym ma być miejsce pamięci pomordowanych Polaków i jaki charakter powinno przyjąć.

Oczywiście optymiści mówią i piszą o przełomie w niemieckiej polityce historycznej względem pamięci pomordowanych Polaków. Jednak część publicystów, analizując to, co dzieje się od przeszło ćwierćwiecza w polsko-niemieckich relacjach pamięci historycznej, zachowuje daleko idący sceptycyzm.

WYBIELENI NIEMCY

Lata zaniedbań polskiej strony, trwające od początku lat 90., późniejszy brak polityki pamięci, walki o pamięć, co prawda wskrzeszonej od paru lat, i niemiecka polityka historyczna, mająca głównie na celu zerwanie z siebie stygmatu sprawcy i przejście do roli ofiar wojny, przyniosły efekt.

W dzisiejszym dyskursie historycznym, przede wszystkim na Śląsku, pierwszoplanową rolę odgrywają badania i upamiętnianie zbrodni popełnianych przez Armię Czerwoną, określane jako „tragedia górnośląska”. Niektóre środowiska skupione wokół Ruchu Autonomii Śląska otwarcie wskazują Polskę i Polaków jako winnych eksterminacji mniejszości narodowych po 1945 r. Powojenne komunistyczne represje i obozy, w których osadzano więźniów, nazywa się dosłownie „polskimi”.

Mniejszość niemiecka wydarzenia po 1945 r. nazywa „tragedią niemieckiego wschodu”. Oczywiście zaznaczyć trzeba, że wkroczenie Sowietów nosło ze sobą dla Polaków represje często podobne w wymiarze do okupacji niemieckiej – deportacje, mordy i gwałty. Oskarżanie o nie Polski

i Polaków oraz obarczanie ich winą ma na celu neutralizowanie zbrodni niemieckich popełnionych podczas okupacji.

Rzecz jasna takie stwierdzenie natychmiast budzi protesty i słowa oburzenia, że przecież nikt nie neguje faktu zbrodni popełnionych na Polakach przez Niemców, lecz należy przecież pamiętać również o zbrodniach popełnianych po wojnie. Jerzy Gorzelik, przewodniczący Ruchu Autonomii Śląska, w jednej z gazet regionalnych pisze o zbrodniach przeciwko Ślązacom po 1945 r., wskazując: „Górnośląskie losy w roku 1945 łączyły się nie z polskimi, lecz z niemieckimi”. Nie kryjąc przy tym zadowolenia z faktu, jak to najpełniejszą definicję „tragedii górnośląskiej” zaproponował dr hab. Adam Dziurok z katowickiego IPN na konferencji zorganizowanej w roku 2015 w Sejmie RP, włączając do niej także wypędzenia i wysiedlenia.

Kilka lat temu ówczesny szef Ziomkostwa Śląskiego Rudi Pawelka publicznie domagał się od Polski przeprosin za wypędzenia Niemców po drugiej wojnie światowej, apelując również do Polski o dalszą pielęgnację niemieckiego języka i kultury na Śląsku. Pawelka co prawda stracił stanowisko przewodniczącego organizacji, jednak nie jest w swych tezach odosobniony.

NIEBEZPIECZEŃSTWO

Czym w tym wymiarze będzie bliżej określony „pomnik polskich ofiar drugiej wojny w Berlinie”? Czy być może jedynie zaczynem długoletniej dyskusji, czym powinien być? Pomnikiem czy muzeum? Brak spójnej polityki historycznej po polskiej stronie sprzyja kultywowaniu niemieckiej pamięci i odtwarzaniu niemieckiej kultury na obszarach zajmowanych przez państwo niemieckie przed wybuchem drugiej wojny światowej. Tereny określone Ziemią Odzyskanymi (dziś niewielu odważy się używać takiej nazwy) to dziś swoisty obszar „niemieckiego Wschodu”, obszar wypędzenia, niszczenia niemieckiej kultury, oczywiście nie tylko przez Sowietów, lecz także, a może przede wszystkim, Polaków i państwo polskie.

Mało kto orientuje się w rzeczywistej liczbie stowarzyszeń, fundacji takich jak np. Landsmannschaft Ostpreussen, czyli Ziomkostwo Prus Wschodnich, które to zrzesza wypędzonych i przesiedlonych mieszkańców Prus Wschodnich, ich potomków, późnych przesiedleńców, a także ludzi, którzy czują się związani z Prusami Wschodnimi oraz ich dziedzictwem kulturowym.

Stowarzyszenie składa się z 38 wspólnot powiatowych (Kreisgemeinschaften), które odpowiadają wschodniopruskim powiatom, i 16 grup w niemieckich landach (Landesgruppen). Siedziba organizacji znajduje się w Hamburgu. Od 2011 r. ma także siedzibę w Olsztynie. To oczywiście bardzo chwalebna działalność, wzbogacająca kulturę obszarów leżących obecnie w granicach państwa polskiego. Przykłady tego typu można by mnożyć.

Sądząc, że w oczekiwaniu na upamiętnienie w Berlinie zamordowanych w czasie wojny Polaków będziemy mogli wielokrotnie zaobserwować upamiętnianie ofiar wysiedleń, deportacji, represji ze strony Armii Czerwonej i państwa polskiego po 1945 r. A każdy tego typu, dodajmy, należy akt pamięci będzie natychmiast wykorzystany jako okazja do obarczenia Polaków winą za komunistyczne zbrodnie i relatywizacji zbrodni niemieckich. Truizmem będzie stwierdzenie, że Polska potrzebuje obrony przed polityką niepamięci o zbrodniach popełnianych na Polakach w czasie okupacji. Upływający czas sprawia, że zapomnieniu ulegają zbrodnie, których ofiarami padali Polacy od pierwszych dni niemieckiej agresji. Polacy z ofiar stają się w wielu przekazach sprawcami, żądnymi odwetu katami – odwetu, dodajmy, niewspólnie gorszego niż to, czego zaznali od okupanta. Pomnik, miejsce pamięci polskich ofiar, które powstanie być może w Berlinie, na pewno będzie sukcesem strony polskiej, jednak nie zastąpi ciągłego starania o pamięć milionów ofiar.

Rok temu Joachim Brudziński, szef MSWiA, podczas uroczystości upamiętniającej forsowanie Odry w 1945 r. przez Wojsko Polskie w Siekierkach powiedział znamienne i ważne słowa: „Nigdy nie wolno nam zapomnieć, że tu jest Polska, że ten skrawek najdalej na zachód wysuniętej najsłabszej Rzeczypospolitej jest świętością, świętością okupioną krwią polskich żołnierzy, polskich bohaterów”.

Nigdy nie wolno nam zapomnieć ani dopuścić do tego, by inni zapomnieli. Jeśli powstanie w Berlinie ekspozycja upamiętniająca niemieckie zbrodnie przeciwko Polakom, to dobrym krokiem byłoby osobne przypomnienie niemieckich zbrodniarzy, którzy uknęli sprawiedliwości, często przez nikogo nieniepokojeni, takich jak jeden z katów powstania warszawskiego Heinrich Friedrich Reinefarth czy mordercy Polaków z Piaśnicy, pacyfikacji Zamojszczyzny itp. Warto również o tym przypominać i pamiętać.



Piotr Mucharski, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, na jubileuszu 70-lecia pisma w 2015 r. FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Pismo niegdyś katolickie



Tomasz Rowiński

Po okładce „Tygodnika Powszechnego”, na której znalazła się Dorota Segda, aktorka znana ze swoich proaborcyjnych poglądów, a także z tego, że zagrała niegdyś św. Faustynę Kowalską, powinna zakończyć się opera mydlana z nazywaniem, wbrew faktom, krakowskiego tygodnika pismem katolickim

Redaktorzy pisma mogą oczywiście odpowiedzieć, że przecież „Tygodnik Powszechny” nie jest wcale pismem katolickim, w sensie kościelnym, ponieważ już od lat nie ma asystenta kościelnego. Jednak wciąż pismo to dzierży pewien rodzaj autorytetu w sprawach dotyczących życia katolickiego, wciąż – aż się upewniłem, czy nie ulegam złudzeniu – nie zniknął spod jego winiety napis: „Katolickie pismo społeczno-kulturalne”,

wciąż jego redakcja znajduje się – jeśli tak można powiedzieć – na terenie kościelnym. Oczywiście każdy ma wolną rękę w sprawie tego, w jaki sposób angażuje się w debatę publiczną, jednak trwanie przy deklaracji katolicyzmu nie jest bez znaczenia. Na podobnych zasadach wolnej debaty mogą pozwolić sobie, jak sądzę, na ocenę postawy „Tygodnika Powszechnego” jako – dotychczas – dwuznacznej, ostatnio zaś jednoznacznie negatywnej. T.S. Eliot podał kiedyś zgrabną formułę mówiącą, że cywilizacja chrześcijańska trwa dopóty, dopóki nie zostanie wprost zanegowana. Manifestacje tzw. Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, razem ze swoją proaborcyjną i antykatolicką agresją, były próbą takiej negacji. I „Tygodnik Powszechny” tej próbie kibicował. Wolno nam to ocenić z całą stanowczością.

Zakresu odpowiedzialności społecznej mediów nie kształtuje tylko zależność od politycznej wygody autoidentyfikacja środowiska, lecz także odbiór społeczny oraz relacja pomiędzy autoidentyfikacją i – w przypadku katolickim – doktryną wiary. I tu zaczynają się schody. Dość szerokim echem odbiła się w mediach deklaracja felietonistki „Tygodnika” Anny Dziewit-Meller, która zerwała współpracę z pismem

i dodała do tego wymowny komentarz: „W obliczu tego, co dzieje się w Polsce – nie widzę dla siebie miejsca w tygodniku katolickim”. „Czuję, że pisząc dalej dla »TP«, będę działała wbrew sobie, jakkolwiek gościnne były dla mnie przez wiele lat te łamy” – dodała. Zadeklarowała także, że wkrótce dokona aktu apostazji. Ta deklaracja z wnętrza mieszczańskiej socjety jakoś rozstrzyga społeczne postrzeganie pisma.

UDZIAŁ W EMOCJACH LIBERALNYCH CZYTELNIKÓW

Swoją drogą cisną się na usta pewne pytania. Czy przez lata publikowania i zapewne czytania „Tygodnika Powszechnego” Anna Dziewit-Meller, będąc – jak widać – osobą ochrzczonej, nie dowiedziała się, że sprawa ochrony życia znajduje się w sposób nienegocjowalny w samym sercu katolickiego nauczania społecznego? Trudno też nie zapytać, dlaczego katolicki tygodnik opublikował tak agresywny tekst jak komentarz przywołanej autorki z 22 października, dnia ogłoszenia wyroku TK. Posługując się cytatem słów swojej babci ginekolożki, nazwała obrońców życia oszołomami i zestawiała ich z jakimiś agresywnymi osobnikami, którzy wulgarnie komentowali na ulicach kobiety bio-

rażę udział w proaborcyjnych marszach w 2016 r. My wszyscy stojący po stronie życia i konstytucji staliśmy się w tym tekście, w jednej chwili – do wyboru: albo foliarzami, albo oprychami. To, że publicystce zabrakło rozeznania i w końcu sama postanowiła naśladować sposób działania stygmatyzowanych przez siebie oprychów – tylko posługując się medium szerokiego rażenia – cóż, szkoda, takie wystawia sobie świadectwo. Ale że redakcja „Tygodnika Powszechnego” nie zareagowała, to było po prostu gorsze i chyba niezbyt katolickie. Nie znalazłem także żadnego głosu polemicznego ze strony redakcji do tonu, jaki nadała przekazowi pisma w tamtych dniach Dziewit-Meller.

Wróćmy do okładki „Tygodnika” z Dorotą Segdą i czarną parasolką. W wywiadzie, którego aktorka udzieliła pismu, powtarzane są narracje, które w swojej kuriozalnej książce „To jest wojna” spisała nie tak dawno Klementyna Suchanow, jedna z liderów wulgarnych manifestacji Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Zacytujmy: „To, czego dopuścili się Trybunał Konstytucyjny pod rękę z Kościołem, jest wyrazem pogardy do kobiet i stanowi pogrzeb praw człowieka w Polsce. Pożalujmy”.

„Tygodnik Powszechny” z tej opinii, całkowicie ignorującej nie tylko nauczanie Kościoła, sięgającą starożytności tradycję moralną mówiącą o godności życia ludzkiego od jego poczęcia, lecz także treść praw człowieka, w których katalogu nigdy nie było „prawa do aborcji”, uczynił własny głos. Nie wydaje się, by „Tygodnik” był zainteresowany dyskutowaniem na temat tego, czy powstrzymywanie kobiet przed zabijaniem swojego nienarodzonego potomstwa jest rzeczywiście pogardą wobec nich. A może to kobiety, które aborcji dokonały lub ją popierają, same ściągają na siebie to wewnętrzne uczucie bycia pogardzanymi. Objawów tego rzekomego złego traktowania nie było bowiem widać, a przynajmniej były trudne do stwierdzenia wobec skali agresji, którą same kobiety w czerni rozpętały na ulicach miast. Przeciwno Trybunałowi, obrońcom życia i Kościołowi.

„Tygodnik” w sprawie wyroku TK zachował się tak, jakby wydawał się nie być zainteresowany czymś więcej poza udziałem w emocjach swoich mieszczkańskich, liberalnych czytelników i tej części katolików, którzy potrzebują usprawiedliwienia dla własnej niespójności intelektualno-behawioralnej. Oczywiście w przypadku pisma komercyjnego to by

nie dziwiło. Czy to jednak znaczy, że „Tygodnik Powszechny” nie ma już misji katolickiej? Anna Dziewit-Meller nie miała chyba takiego wrażenia, zrywając współpracę. Na czym ona zatem polega? Zadaniem pisma katolickiego są obsługa czytelnich uczuć czy tłumaczenie i obrona stanowiska katolickiego za pomocą argumentów z Objawienia, ale też z pomocą naturalnego rozumu? Dziś wydaje się, że to nie „Tygodnik” formuje swoich czytelników, jak bywało dawniej, lecz sam publikuje to, co się podoba jego publiczności. Przy okazji zwodzając tych, którzy jeszcze nabierają się na szyld katolicyzmu.

OSTATECZNE PĘKNIĘCIE

Nie ja jeden zresztą miałem poczucie, że „Tygodnik” dokonuje złego wyboru, wciąż trwając przy pozorach. Paweł Milcarek, redaktor naczelny „Christianitas”, pisał 4 listopada w mediach społecznościowych: „»Tygodnik« należy traktować dokładnie tak samo jak »Gazetę Wyborczą«. A ja powiem jeszcze: jak »Gazetę Wyborczą« po »sprawie Agaty«, ponieważ ostatnie dni to nie jest wymiana opinii na temat sposobu realizacji prawodawstwa chroniącego życie, tylko zasadnicza schizma w sprawie relacji prawa moralnego i prawa cywilnego, skonkretyzowanej w orzeczeniu TK wzmacniającym ochronę życia. Instytucje, które w tej sprawie popierają Ruch Kobiet Wypierdalaj, traktując jako ziemię obcą i nieprzyjazną – i mam mocne przekonanie, że nie mają one nic wspólnego ze wspólnotą wiary, której ufam jako drodze zbawienia”.

Naprawdę trudno się dziwić takim reakcjom wobec sytuacji, gdy w edytoriale pisanym po wyroku TK ks. Adam Boniecki próbował przekonywać, że Jan Paweł II popierał tzw. kompromis aborcyjny. Gdy tymczasem w encyklice „Evangelium vitae” papież pisał – powtarzając stanowisko niezmiennie w Kościele od początku – że „przerwywanie ciąży i eutanazja są [...] zbrodniami, których żadna ludzka ustawa nie może uznać za dopuszczalne”. Wzywał jednocześnie do sprzeciwu wobec takich ustaw. Nic jednak nie wspominał, że warunkiem tego sprzeciwu mają być korzystne wskazania



Okładka „Tygodnika Powszechnego” (nr 45/2020) z Dorotą Segdą

badan demokratycznej opinii publicznej, co wciąż wraca w argumentacji liberałów działających na katolickim odcinku.

Sygnalem, że w sprawie „Tygodnika Powszechnego” coś pęka wśród ludzi opinii katolickiej – i to być może ostatecznie – było pożegnanie się z tytułem ogłoszone przez Tomasza Kycię, dziennikarza i publicy-

stę na co dzień mieszkającego w Niemczech. Ten piszący od lat korespondencje do pism liberalnego katolicyzmu autor w ostatnim czasie dostarczał wielu ciekawych, bardzo krytycznych materiałów na temat sytuacji Kościoła w Niemczech i jego dryfu w stronę wspólnoty narodo-liberalnej. Kycia napisał krótko na Twitterze: „Drogi @tygodnik, wielokrotnie publikowałem u Was, najczęściej na Wasze zaproszenie. Po tej okładce i Waszym ostatnim zaangażowaniu mówię DZIĘKUJĘ, WYSTARCZY. Albo zmienicie nazwę, albo treści. Inaczej wprowadzacie ludzi w błąd”.

WARTOŚCI NIENEGOCJOWALNE

Jest dla mnie oczywiste, że w Kościele mamy różnorodność stanowisk w sprawach teologii, pobożności czy nawet spraw społecznych. Jednak są wartości, które Benedykt XVI określił mianem nienegocjowalnych i których porzucenie oznacza po prostu stawianie siebie poza obszarem – przynajmniej katolickiej – dyskusji. „Tygodnik” już nieraz naruszał katolickie ramy, choćby argumentując piórem Artura Sporniaka za antykoncepcją czy w innej sytuacji za kapłaństwem kobiet. W 2009 r. wziąłem udział w takiej dyskusji i jeśli dobrze pamiętam, to byłem jedynym autorem w wielogłosowej orkiestrze stojącym po stronie orzeczenia Jana Pawła II z Listu Apostolskiego „Mulieris dignitatem” mówiącego o niemożliwości uznania przez Kościół kapłaństwa kobiet. Dla wybiórczego katolicyzmu „Tygodnika Powszechnego” Kościół miał wiele tolerancji, dziś jednak nie wyobrażam sobie, by można było o „Tygodniku” pisać inaczej, niż dodając uwagę, że to „niegdyś katolickie pismo społeczno-kulturalne”.



ŁUKASZ ZBORALSKI: Według GUS notujemy w Polsce – w porównaniu z latami poprzednimi – znaczny wzrost liczby zgonów. Jeśli wziąć pod uwagę tylko ostatni tydzień października, to ten wzrost był aż dwukrotnie. Czy ma na to wpływ COVID-19, czy zachorowania z innych powodów?

PROF. ROBERT FLISIAK: Sam COVID-19 z pewnością powoduje zwiększone ryzyko ciężkiego przebiegu choroby i śmierci osób w podeszłym wieku. Zwłaszcza jeżeli towarzyszą temu choroby metaboliczne czy układu krążenia. Jednak nie można wykluczyć – choć dopóki nie będziemy mieli wglądu w bezpośrednie przyczyny zgonów, dopóty nie będziemy tego pewni – że w wielu przypadkach są to zgony spowodowane, ogólnie rzecz biorąc, zaniedbaniami opieki nad chorymi z innymi schorzeniami.

Ten wzrost zgonów najbardziej jest widoczny wśród osób mających 70 lat i więcej – umiera ich obecnie aż o 150 proc. więcej. To też nie musi być wyłącznie związane z powikłaniami po COVID-19, prawda?

Oczywiście. Mogą być różne przyczyny. To, co mogę powiedzieć, bo widzę to codziennie, to to, że ludzie będący już blisko kresu swojego życia mają ten proces przyspieszony – czy to bezpośrednio z powodu COVID-19, czy pośrednio przez brak dostępu do opieki medycznej.

Tworzymy szpitale COVID-owe i izolujemy chorych. Przez to jednak cierpieć zaczął w Polsce cały system opieki medycznej. Czy więc nasz system walki z pandemią jest naprawdę dobry?

Żaden system nie będzie dobry. Widać to na przykładzie bardzo radykalnego modelu szwedzkiego. Ma fatalne skutki, jeśli chodzi o śmiertelność. Owszem, liczone tam na odporność stałą, ale aktualnie odsetek naturalnie uodpornionych jest tam prawdopodobnie na tym samym poziomie co w Polsce, a odbyło się to strasznym kosztem zgonów wśród osób w podeszłym wieku.

Nie znajdziemy optymalnego modelu. Uczymy się w cyklu rocznym, bo taki cykl narzuca nam sama epidemia, która jest zależna od klimatu, warunków atmosferycznych, zachowań indywidualnych ludzi i zachowań całych państw. Widać dziś, że niezależnie od tego, czy państwo jest zamknięte czy nie, czy system opieki zdrowotnej jest bardzo dobry czy gorszy, całość gospodarki, cały system musi uciepować. I nawet gdy się to wszystko skończy, nadal nie będziemy wiedzieć, co jest najlepszym działaniem, ponieważ zależy



Z prof. Robertem Flisiakiem, prezesem Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych, członkiem Rady Medycznej przy Głównym Doradcy Prezesa Rady Ministrów do spraw COVID-19 rozmawia Łukasz Zboralski

Za trzy, cztery miesiące pandemia wygaśnie

to będzie od przyjętych kryteriów oceny. Możemy przyjąć za kryterium np. stan gospodarki, ale możemy też przyjąć dobro pacjenta. Zależnie od punktu widzenia konkluzja może być inna. Na to jednak przyjdzie czas. Teraz, gdy pandemia trwa – a znacznie wygasać w przeciągu trzech, góra czterech miesięcy – najważniejsze jest, by zastanawiać się, co robić dalej, i wyciągnąć wnioski z tej lekcji. Przecież to nie ostatnia epidemia i uderzenie chorób zakaźnych w społeczeństwa.

Dlaczego liczy pan, że pandemia zacznie wygasać w ciągu trzech-czterech miesięcy?

To zwykła arytmetyka. Jeśli w tej chwili mamy blisko 773 tys. osób z udokumentowanymi dodatnimi wynikami testów – oczywiście to nie były osoby chore ani jawne klinicznie – to znaczy, że de facto mamy ok. 7 mln tych, którzy mieli kontakt z wirusem. To jest blisko 20 proc. naszej

populacji. Jeżeli codziennie będziemy identyfikować 10–20 tys. przypadków, to znaczy, że będziemy mieli 90–180 tys. osób, które nabyły jakąś odporność w sposób naturalny. Wystarczy to zsumować. Jeśli byśmy przyjęli, że będzie dziennie 20 tys. identyfikowanych wyników dodatnich, to wyjdzie nam, że poprzez uodpornienie się większości społeczeństwa skończylibyśmy pandemię w połowie stycznia. Oczywiście liczba dziennych zakażeń będzie nam spadała, a to oznacza, że czas się wydłuży – założmy, że do końca lutego. A w tym czasie wejdą jeszcze szczepienia, które dodatkowo zmniejszą populację wrażliwą na zakażenie, i wreszcie rozpocznie się wiosna. W tym momencie dla pandemii będzie to oznaczało równię pochyłą. No, chyba że zdarzy się coś nieprzewidywalnego...

Liczy pan na to, że uda się dopracować szczepionki tak, żeby były dostępne dla ludzi już wiosną?



lecz nikomu do głowy nie przyszło, że to będzie 20–25 tys. dziennie. No ale gdyby człowiek wiedział, że się przewróci, toby usiadł.

Nie mieliśmy takiej liczby zachorowań jak Włosi, ale gdy patrzę na statystyki 600 zgonów dziennie, jesteśmy już na poziomie jednej trzeciej tego, co działo się w Lombardii...

Niestety, w najbliższych tygodniach możemy się spodziewać jeszcze większej liczby zgonów, bo będą umierać chorzy aktualnie skazani na respiratory. Będzie się tak działo nawet wtedy, gdy zacznie się zmniejszać liczba rejestrowanych zakażeń. Wydolność służby zdrowia została już przekroczona w niektórych regionach i tak będzie jeszcze przez kilka tygodni. System opieki zdrowotnej jakoś się trzyma, ale zachwiane zostały proporcje. Zdominowani przez COVID-19, pozostawiliśmy wiele dziedzin opieki zdrowotnej, co się odbija na społeczeństwie przez kolejne lata poprzez zwiększenie liczby powikłań związanych z chorobami przewlekłymi czy wzrost zachorowań na nowotwory niediagnozowane we wczesnych stadiach. Obecnie jednak najsłabszym elementem opieki zdrowotnej w okresie pandemii jest brak koordynacji jej działań lub niewłaściwa koordynacja.

Czy możemy teraz szybko stworzyć jeszcze jakiś lepszy plan?

Jest za późno na tworzenie planu dla pandemii. System opieki zdrowotnej – a koordynacja to jego podstawa – buduje się nie ad hoc, ale od podstaw. Trudno było się spodziewać, że koordynacja będzie doskonała, jeżeli w normalnych warunkach systemu opieki zdrowotnej i monitorowania epidemiologicznego były mocno niedofinansowane i pozostawiały wiele do życzenia. Nasz system musi zostać zbudowany od nowa, bo pandemia dowiodła jego niedoskonałości.

Czyli pana zdaniem minister zdrowia, który właśnie ogłosił plan „odbudowy zdrowia Polaków”, zaczyna dopiero jakieś długotrwałe działanie?

No, o tym planie usłyszałem teraz od pana. Na tym etapie to są zapewne bardzo ogólne zapowiedzi, a diabeł zwykle tkwi w szczegółach. Na pewno trzeba skończyć z reformowaniem opieki zdrowotnej w Polsce od stwierdzenia, jakie zawsze słyszeliśmy – że nie wszystko zależy od pieniędzy i że przede wszystkim system trzeba uszczelnić. Takie stwier-

dzenie w moich oczach od razu zdyskwalifikuje reformę i jej autora. Niestety Polska doszła do tak niskiego finansowania opieki zdrowotnej, że niżej się już nie da. I nie chodzi tylko o niedostateczne nakłady na wynagrodzenia, kosztowne terapie czy o braki kadrowe, lecz także o złą organizację pracy, której wyrazem we współczesnej polskiej medycynie są fatalne systemy informatyczne.

Teraz powinniśmy wyciągnąć wnioski z pandemii dla całej opieki zdrowotnej. Oczywiście poza finansowaniem, które powinno wzrosnąć w trybie pilnym o 50 proc., są też akty prawne wymagające natychmiastowej zmiany. Przykładem jest ustawa o ratownictwie, która zwłaszcza na początku pandemii paraliżowała system transportu medycznego, pomimo że przecież liczba zakażonych była stosunkowo mała. Chorych nie miał kto wozić, a w stacjach pogotowia stały karetki, których ruszyć nie pozwalała ustawa. To się jakoś teraz dotarło, ale bardziej na zasadach wzajemnego zrozumienia niż regulacji prawnych.

Wierzy pan w to, że jeśli będzie się zmniejszała liczba zakażonych koronawirusem, to służba zdrowia powróci do pewnej równowagi i ktoś, kto będzie miał zawał czy udar, otrzyma pomoc na czas?

System opieki zdrowotnej bardzo powoli, ale systematycznie będzie wracał do normalnego funkcjonowania wraz ze zmniejszaniem się liczby zachorowań, bo tego chcą przede wszystkim ludzie w nim zatrudnieni. Najlepszym przykładem są zakaźnicy, którzy w tej chwili o niczym innym nie marzą, jak tylko o powrocie do „starego” profilu chorych. Mamy przecież nierozwiązane problemy z wykrywaniem utajonych zakażeń HCV prowadzących do raka wątroby, profilaktyką reaktywacji HBV w leczeniu immunosupresyjnym, wczesnym rozpoznawaniem i terapią zakażeń HIV czy z zakażeniami szpitalnymi. W nadchodzącym roku będziemy do tego wracać. Tak będzie wyglądała nasza normalizacja.

Najważniejsze jest jednak wyciągnięcie nauki na przyszłość przez zarządzających opieką zdrowotną. Obawiam się, że gdy to wszystko minie, wstanie jakiś polityk i powie, że poradziliśmy sobie z pandemią nie gorzej niż Włosi czy Hiszpanie, bez takich nakładów na opiekę zdrowotną, jakie oni ponoszą, a to przecież nieprawda. Naprawdę boję się takich konkluzji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Ostatnie e-pożegnanie

O ile msze on-line już nikogo nie dziwią, o tyle transmisje z ceremonii pogrzebowych wywołują jeszcze konsternację. FOTAGENCJA FACE IT



Agnieszka Niewińska

Sytuacja epidemiologiczna wielu osobom uniemożliwia udział w pogrzebach bliskich. Biznes ma jednak propozycję dla tych, którzy nie mogą odprowadzić zmarłego na cmentarz: pogrzeby on-line

Skąd pomysł na transmisje z pogrzebów? Życie napisało nam taki scenariusz – opowiada Tomasz Jurowicz z firmy Relive z Lublina. Zanim wybuchła pandemia, jego firma oferowała transmisje m.in. z eventów, konferencji, a nawet studniówek. – Kiedy przyszła pandemia, a wraz z nią wiele

ograniczeń, jako pierwsi zrobiliśmy streaming ze ślubu. Po nim zgłosili się do nas ludzie z pytaniem, czy nie moglibyśmy zrealizować transmisji z pogrzebu – mówi Jurowicz.

PRYWATNY LINK DLA ŻAŁOBNIKA

O ile msze on-line już nikogo nie dziwią, bo nawet niewielkie parafie rozstawiają kamery albo mocują smartfony do statywów i nadają nabożeństwo na żywo, o tyle transmisje z ceremonii pogrzebowych wywołują jeszcze konsternację.

– Wszystko zależy od sytuacji życiowej. Osoby, które miały to szczęście, że nie musiały ostatnio uczestniczyć w pożegnaniu kogoś bliskiego, na pomysł reagują zdziwieniem. Wiele tych, którzy kogoś w czasie pandemii pochowali, zauważa, że takie transmisje są potrzebne – wskazuje Tomasz Jurowicz. I dodaje: – Postanowiliśmy pomysł prowadzenia transmisji

z pogrzebów rozwinąć, bo doszliśmy do wniosku, że w sytuacji pandemii takie usługi mogą pomóc wielu ludziom, którzy nie mają możliwości towarzyszyć bliskiej osobie w jej ostatniej drodze. Mieszkają za granicą, są schorowani, na kwarantannie albo po prostu obawiają się zakażenia koronawirusem. Od nich dociera do nas wiele wyrazów wdzięczności.

Danuta Milczarek nie mogła uczestniczyć w pogrzebie męża ze względu na stan zdrowia. – Na początku pomysł streamingu uznałam za dziwny, ale to była piękna transmisja i jestem wdzięczna, że choć w ten sposób mogłam być z mężem i rodziną – zaznacza.

W Poznaniu z transmitowaniem pogrzebów wystartowały Pogrzeby Online. – Mieliliśmy dużo telefonów w marcu, kiedy obowiązywały najsurowsze obostrzenia. Przez pewien czas w pogrzebie mogło wziąć udział zaledwie pięć osób.



To często oznaczało, że w ostatnim pożegnaniu nie mogli uczestniczyć nawet członkowie najbliższej rodziny. Latem telefonów było mniej, ale zdarzały się transmisje np. dla kobiety w zaawansowanej ciąży, która ze względu na swój stan nie mogła przemieścić się na drugi koniec Polski, by być na pogrzebie taty. Teraz, odkąd znacznie wzrosła liczba zachorowań na koronawirusa, znów rozdzwoniły się u nas telefony – opowiada Agnieszka z Pogrzebów Online. Wszystko, jak mówi, zaczęło się od transmisji mszy świętej w jednym z poznańskich kościołów. – Po mszy podszedł do nas pan z zakładu pogrzebowego i zapytał, czy nie zrobilibyśmy transmisji z pogrzebu – mówi Agnieszka. Od tamtej pory Pogrzeby Online transmitowały nie tylko ceremonie pogrzebowe w Poznaniu, lecz także w Cieszynie, Gniewie czy Warszawie.

Ceny profesjonalnej transmisji z pogrzebu wahają się od 1 tys. do 1,6 tys. zł. Streaming nie jest ogólnodostępny, więc nie trzeba się martwić tym, że nagranie uroczystości będzie gdzieś krążyć w sieci. Firmy przygotowują dla rodziny specjalny link albo wysyłają klucz do uruchomienia transmisji. Wcześniej ustala się szczegóły dotyczące tego, jak ma ona wyglądać.

– Proponujemy także przygotowanie wspomnienia o zmarłym. Jest wyświetlane kilka minut przed pogrzebem i po zakończeniu transmisji. Prosimy rodzinę o zdjęcia zmarłego, wspomnienia, anegdoty. Po transmisji rodzina może pobrać film z pogrzebu na pamiątkę – mówi Tomasz Jurowicz. – Wszystkie formalności związane z transmisją staramy się załatwić za rodzinę, a podczas ceremonii jesteśmy dyskretni. Mamy do dyspozycji wóz transmisyjny, dzięki czemu jesteśmy mobilni, a do świątyni wchodzimy jedynie z kamerami.

Agnieszka z Pogrzebów Online zwraca uwagę także na to, że robiąc transmisję z pogrzebu, trzeba być otwartym na wszystkie sugestie rodziny, choćby takie jak unikanie filmowania pogrążonych w bólu najbliższych.

Prezes Polskiego Stowarzyszenia Pogrzebowego, Krzysztof Wolicki, jest zdania, że ofert transmisji z pogrzebów będzie przybywać. – Świat się zmienia, nowoczesna technika wchodzi do branży pogrzebowej i nie ma co się na to obrażać. Kiedyś robiło się zdjęcia na pogrzebach. Sam niegdyś kręciłem na nich filmy. Początkowo nawet się dziwiłem, dlaczego ludzie chcą nagrywać pogrzeby, ale wyjaśniali mi, że kasety z nagraniem mogą przekazać schorowanym członkom rodziny, którzy nie mogli wziąć udziału w uroczystości – wyjaśnia Wolicki.

Na pogrzebach już przed pandemią obserwował amatorki transmisje. – Ktoś z uczestników tworzy grupę na którymś z komunikatorów i za jego pośrednictwem transmituje dla nieobecnych takie momenty ceremonii jak przemówienie księdza na cmentarzu czy spuszczenie trumny do grobu. Tyle że jakość takich transmisji jest nie najlepsza, trzeba liczyć się z trzęsącym się ekranem – mówi prezes Polskiego Stowarzyszenia Pogrzebowego. I dodaje: – Ceremonia pogrzebowa sama w sobie nie zmieniła się w związku z pandemią. Obserwujemy jednak, że ze względu na obostrzenia i zagrożenie koronawirusem na pogrzeby przychodzi mniej ludzi, jest więc też mniej kwiatów. Dla

tych, którzy przyjść nie mogą, transmisja jest jakąś namiastką obecności.

WIRTUALNY ZNICZ, WIRTUALNY ROGAL

Psycholog społeczny prof. Zbigniew Nęcki nie ma wątpliwości, że za sprawą pandemii jeszcze szybciej oswajamy się z wirtualnym światem. – Sam jeszcze niedawno nie wierzyłem, że będę w stanie poprowadzić zajęcia dla studentów, których nie widzę. Teraz prowadzę po pięć godzin dziennie takich wykładów, mając przed sobą ekran z otwartym programem umożliwiającym wirtualne spotkania – mówi.

W tym roku wiele naszych obywateli musiało przejść do sieci. W związku z zamknięciem cmentarzy na początku listopada, kiedy tradycyjnie odwiedzamy groby bliskich, część osób skorzystała z możliwości zapalenia wirtualnego znicza. Za pośrednictwem wyszukiwarki Grobnet można odszukać grób i zapalić na nim e-znicz. Inny listopadowy zwyczaj pochodzący z Poznania, czyli zajadanie się rogalami z białym makiem w Dniu św. Marcina, też miał swoją cyfrową odsłonę. Poznańska Caritas, która musiała zrezygnować z rozprowadzania rogali w parafiach, zachęcała do zakupu wirtualnego rogalia. Dochód z cyfrowych, a więc i dietetycznych rogali zostanie przeznaczony na przygotowanie świątecznych posiłków dla potrzebujących w ramach tegorocznej Wigilii Caritas.

– Wiele z tych wirtualnych nowinek zostanie z nami także po pandemii. Uczestniczenie w pogrzebie za pośrednictwem Internetu nie zastąpi obecności, bo to zbyt poważna sprawa. To możliwość dla osób, które i tak nie mogłyby uczestniczyć w ceremonii. Myślę jednak, że wirtualny znicz będzie niebawem traktowany na równi z tym tradycyjnym – mówi prof. Nęcki. I dodaje: – Wygląda na to, że przewidywania futurologów zaczynają się sprawdzać i coraz częściej kontakty międzyludzkie będą przybierać formę, o zgrozo, spotkań on-line. Mówię „o zgrozo”, bo kontakty wirtualne są dużo uboższe, mniej inspirowane nas niż te osobiste. Nie są w nich chociażby zaangażowane takie zmysły jak dotyk, powonienie, smak. Nie ma się jednak co zamyślać, bo są i dobre informacje. Po pierwsze, wirus, który przewrócił nasze życie do góry nogami, mógł być bardziej zjadliwy. Po drugie, ta pandemia się w końcu skończy. I tego się trzymajmy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Wiesław Chelminiak

50 lat po śmierci autor „Łuku triumfalnego” wciąż jest żywy i czytany. Potrafił przetłumaczyć na język literatury najważniejsze doświadczenia XX w. – wojnę i emigrację

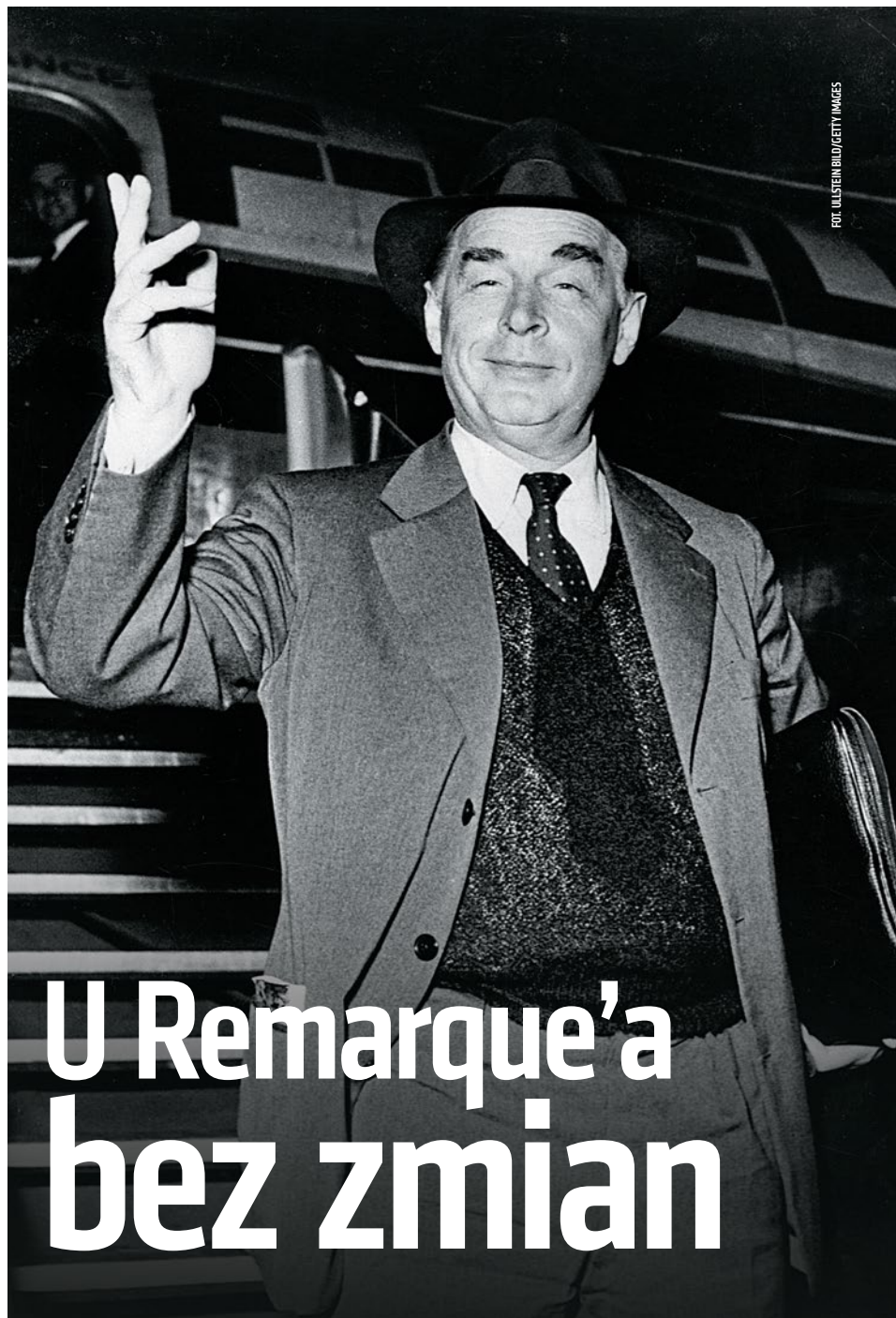
Zanim skończył w szpitalu w Locarno, był już od wielu miesięcy wrakiem człowieka. Przy życiu trzymała go tylko chęć ukończenia „Cieni w raju”, powieści o wygnańcach z Europy, szlifujących nowojorskie bruki. Nie udało się. To, co wdowa i żądny zysku wydawca rzucili na rynek, miało wszelkie cechy półproduktu. Skandal rozszedł się jednak po kościach: krytycy dawno spisali Remarque’a na straty. Czytelnikom zaś wcale nie wadziło, że mistrz wciąż wraca do ulubionych tematów.

Kojarzony z prozą nowoczesną, rzeczową, paradokumentalną, prywatnie był staromodnym romantykiem. Moralista walczył w nim z hedonistą, miłość do podróży z chęcią stabilizacji. Pozostał wierny korzeniom, choć niemiecka ojczyzna się go wyrzekała. Melancholik, często zaglądający do kieliszka, pisał z trudem, starając się dotrzymać terminów narzucanych przez wydawców, co niestety odbijało się na jakości dzieła. Ratowała go szczerość.

Remarque nie bez wahań przyjął rolę herolda „straconego pokolenia”, którego dzieciństwo przypadło na epokę fin de siècle’u, zaś młodość na dwie wojny światowe. Z mieszanymi uczuciami obserwował kulturowy przewrót, którego poniekąd sam był współsprawcą.

OD KICZU DO EKSPERYMENTU

Gigant literatury miał kompleksy. Wstyd mu było, że urodził się drobniomieszczaninem w rodzinie nijakiej. Matka Ericha marzyła, by został nauczycielem. Niewiele brakowało: w gimnazjum cieszył się opinią prymusa i mola książkowego. Powieści Hessego i poezja Rilkego skierowały go jednak w stronę egzystencjalnego buntu. Zniechęcony do szkolnictwa, spędzał wieczory w gronie podobnych sobie pięknoduchów, roztrzą-



FOT. ULSTEIN BLD/GETTY IMAGES

U Remarque’a bez zmian

sając imponderabilia przy butelce wina i w oparach dymu z papierosów.

Młodzięcze wzloty ducha Erich utrwalił w „Domu marzeń”. Zaczął kleić ów pean na cześć miłości i sztuki w szpitalu, gdzie leczył frontowe rany. Czytana dzisiaj powieść zadziwia naiwnością i kwiecistym stylem. W roku 1929 wydawca „Na Zachodzie bez zmian” próbował zatrzeć wspomnienie o pretensjonalnym, ocierającym się o śmieszność debiucie, wykupując egzemplarze

„Domu marzeń”, by oddać je na przemiał. Remarque, przedstawiany jako wschodząca gwiazda, musiał mieć czyste konto. Przemilczano też „Przystanek na horyzoncie”, który ukazywał się w odcinkach na łamach periodyku „Sport im Bild”.

Za swoją pierwszą powieść z prawdziwego zdarzenia Erich uważał „Gam”, ale pisał ją tylko dla siebie. Została wydobyta z szuflady i wydana dopiero w 1998 r. To jedyny eksperyment literacki w jego karierze. Tytułowa bohaterka kolek-

cjonuje wrażenia i okrąża świat wokół, by „odnaleźć samą siebie”. W 1924 r. Remarque – początkujący dziennikarz – o egzotycznych wozach mógł tylko marzyć, więc opisy brał z bedekerów i książek podróżniczych.

TWARDY JAK KATCZINSKY

Gam odkrywa, że „stała jest tylko zmiana”. Wiąże się z mężczyznami, z których każdy reprezentuje inną postawę i filozofię życiową – od banalnego księgowego do szpiega awanturnika. Wnioski? Pełnię człowieczeństwa osiągają tylko jednostki wybitne. Reszta wegetuje. Książka jest kopalnią tyleż błyskotliwych, co wydumanych fraz („okropnie cierpimy pod ciśnieniem dwóch tysięcy lat kultury. To tylko popiół po wygasłym ogniu ducha”).

Na tym tle „Na Zachodzie bez zmian” jawi się arcydziełem więźności. Dziwne, że autor czekał aż 10 lat z twórczym odreagowaniem frontowej traumy. Potem trzymał rękopis w szufladzie w przekonaniu, że ludzie mają już serdecznie dość utworów o wojnie. Szczęśliwie trafił na wydawcę wierzącego w potęgę reklamy. Publiczność, bombardowana wieściami o wielkim literackim wydarzeniu, oblegała księgarnie. Już pierwszego dnia wyczerpał się cały nakład, do końca roku tylko w Niemczech udało się sprzedać milion egzemplarzy.

Sukces budzi zażycie. Remarque’a krytykowano z lewa (za brak rewolucyjnego przesłania), z prawa (za brak patriotyzmu) i z pozycji estetycznych (za szokujący realizm). Koledzy po piórze: bracia Mannowie, Brecht i Feuchtwanger gardzili nim jako „twórcą popularnym”. Nic jednak nie mogli poradzić na to, że Paul Bäumer, jego trzech koledzy ze szkolnej ławy, tudzież „twardy, sprytny, cwany” dowódca kompanii Stanisława Katczinsky zawładnęli wyobraźnią rzeszy czytelników.

Autor płał się w sławie i pieniądzu (prawa do ekranizacji sprzedano za rekordowe 40 tys. dol.), ale rozmiar sukcesu go przygnębił. Obawiał się, że po wsze czasy pozostanie autorem jednej książki. Kiedy siłą rażenia powieści zwiłokrotnił nakręcony w Ameryce film, o Remarque’a upomniała się polityka.

W oczach nazistów pacyfizm był grzechem śmiertelnym. Wywoływali burdy w kinach pokazujących „Na Zachodzie bez zmian”. Reichstag specjalną uchwałą zdecydował, że film zniknął z niemieckich ekranów już tydzień po premierze. Pisarz był poza zasięgiem – kupił willę

w Szwajcarii, do której czmychnął w dniu, w którym Hitler został kanclerzem. Dwa miesiące później powieść po raz pierwszy publicznie spalono. Tymczasem za granicą tylko Biblię kupowano chętniej.

Remarque nie był Żydem ani komunistą, lecz opisanie, jak naprawdę wyglądała „śmierć na polu chwały”, wystarczyło, by oskarżyć go o zdradę i sponiewieranie pamięci bohaterów poległych za ojczyznę. Zarzucano pisarzowi, że sam wcale nie walczył. Rzeczywiście – na froncie spędził tylko półtora miesiąca, jego zadaniem było reperowanie okopów i ziemianek tudzież rozciąganie drutu kolczastego na tyłach. Zdążył jednak posmakować horroru, na jego oczach ginęli koledzy z podwórka. Pod Ypres, niedaleko od miejsca, gdzie krył się w okopie Adolf Hitler, 19-letni szeregowiec Erich Remarque został trafiony brytyjskim szrapnelem.

ŻYCIE NA WALIZKACH

Gdy wydobrzeżał, sfotografował się w mundurze porucznika z orderami. Co tu kryć, zawsze był dandysem, pozerem i snobem. Po wojnie nosił się jak panisko, zakładał monokl, kapelusz panama i wielkie krawaty, sprawił sobie rasowego psa. Będąc prowincjuszem, pozował na światowca. Poprawił pisownię nazwiska, by wyglądało bardziej francusko, drugie imię (Paul) zamienił na Maria. Od zbiegłego arystokraty kupił za 500 marek prawo do herbu i tytułu szlacheckiego.

W latach 30. Remarque nadal czuł się rzecznikiem weteranów wielkiej wojny. Losom młodych ludzi, którzy uniknęli śmierci, a teraz próbują sobie poradzić w życiu, poświęcił „Drogę powrotną” i „Trzech przyjaciół”. Pozbawiony niemieckiego obywatelstwa (co bardzo go zabolowało) stał się bezpaństwowcem, żył na walizkach. Na pokład statku płynącego do Ameryki wszedł tego samego dnia, w którym III Rzesza napadła na Polskę.

Pod koniec 1943 r. młodsza siostra pisarza, Elfriede, z zawodu krawcowa, została zgilotnowana za to, że w rozmowach z koleżankami wyrażała brak wiary w zwycięstwo i nazwała Hitlera idiotą. W obawie o los reszty rodziny Erich zaangażował się w antynazistowską propagandę dopiero pod koniec wojny. Gdy koszar się skończył, wrócił do Europy, ale nie do ojczyzny. Podpadł rodakom książką o obozie koncentracyjnym („Iskra życia”) i publicznymi wezwaniami, by wzięli na siebie odpowiedzialność za masowe mordy i okupację.

Nowym tematem Remarque’a stało się wygnanie. „Łuk triumfalny”, drugi z bestsellerów pisarza, był efektem wypadów do Paryża, który przed wybuchem wojny stał się punktem zbornym niemieckojęzycznych uchodźców. Niewielu z nich stać było na mieszkanie w najlepszych hotelach, obiady w modnych restauracjach, wycieczki na Lazurów Wybrzeże, do Wenecji i alpejskich kurortów. A tak wyglądało emigranckie życie zakomplekszonego literata z Osnabrück.

NAMIĘTNY IMPOTENT

Odkąd na Remarque’a spadł deszcz tantem, kolekcjonował dzieła sztuki, zwłaszcza francuskich impresjonistów i orientalne dywany.

Stał się bywalcem, choć w głębi duszy tego nie znosił. Koneser dobrych win i szybkich samochodów, miał opinię nałogowego podrywacza, lecz niewydolnego kochanka. Celebrował romanse z hollywoodzkimi gwiazdami, choć na co dzień wystarczały mu kelnerki, pokojówki i zwykłe prostytutki.

W 1937 r. zauroczył Marlenę Dietrich. Już podczas pierwszej rozmowy przyznał się, że jest impotentem, ale biseksualnej gwiazdy to nie zraziło. Grał przed nią małego chłopca, którym trzeba się opiekować. Wytrzymali ze sobą aż trzy lata dzięki temu, że nie widywali się zbyt często. Przetrawiały listy, które i dziś zmiękczyłyby serce każdej niewiasty.

Lista zdobyczy pisarza robi wrażenie: Greta Garbo, dziewczyna Tarzana – Maureen O’Hara, Greer Garson, meksykańska piękność Lupe Vélez, Dolores del Río... Wszystkie go dobrze wspominały, gdyż po zerwaniu dbał o przyjacielskie relacje. Najdłużej trwał burzliwy związek z Natalią Paley, córką wielkiego księcia Pawła Romanowa, która zrobiła karierę modelki. Remarque ustatkował się dopiero po pięćdziesiątce u boku aktorki Paulette Goddard. Była żona Chaplina wiedziała, jak postępować z neurastenicami. Marlena jej nienawidziła. „To wielki pisarz, ale jeśli chodzi o kobiety, to zawsze był głupi” – skomentowała ślub ekskochanka.

Pozbawiona ozdobników proza niedosłusznego pedagoga starzeje się wolniej niż dzieła przemądrzałych rywali. Lepiej od nich rozumiał sprzeczności ludzkiej natury. Zawsze wątpił w swój talent, ale nie miał racji. Nawet najślabsze utwory Remarque’a są dobrze napisane.



Chłopcy z Omaha



Piotr Gociek

Scenarzysta „Szklanej pułapki”, polski reżyser o niezwykle wyobraźni plastycznej, nowatorska technika animacji i klasyczna opowieść o drugiej wojnie światowej – oto serial „Liberator”

Pierwszego dnia niemieckiej kontrofensywy pod Anzio podczas krótkiego zawieszenia broni zawartego, by ewakuować rannych, niemiecki major oraz amerykański kapitan zamienili kilka zdań na linii frontu. „O czym rozmawialiście?” – zapytał później dowódca owego Niemca. „Zaproponowałem im kapitulację” – rzekł major. „Wtedy Amerykanin zapytał, czy wiem coś o Omaha. Odrzekłem, że nie. Wtedy powiedział, że wiele się dziś dowiem na ten temat”.

Amerykaninem był kpt. Felix Sparks, naówczas dowódca kompanii E 157. Pułku Piechoty. Zanim bój o Anzio dobiegł końca, Sparks był jedynym pozostałym przy życiu żołnierzem swojego oddziału. Niemcy

nie zdołali zmiażdżyć okopanego wokół Anzio amerykańskiego desantu. Wkrótce Amerykanie wkroczyli do Rzymu.

Ludzie, którymi dowodził Sparks, w większości pochodzili z Omaha, Nowego Meksyku i kilku innych stanów znanych nam głównie z westernów. Byli najczęściej Indianami (sześciu różnych plemion) lub amerykańskimi Meksykanami. Odznaczyli się męstwem i brawurą podczas kolejnych kampanii: we Włoszech, we Francji, w Niemczech. W ciężkiej 10-dniowej bitwie zdobywali Aschaffenburg. Należeli do pierwszych amerykańskich żołnierzy, którzy na własne oczy ujrzeli bezmiar niemieckich zbrodni w Dachau.

500 DNI WYZWALANIA EUROPY

Serial Netflix’a „The Liberator” opowiada ich historię w sporym skrócie. Powstał na podstawie książki Alexa Kershawa „Liberator: Pięćset dni wyzwolenia Europy, od lądowania na Sycylii po bramy Dachau” (polska edycja Wielka Litera 2015). Kershaw, znany na polskim rynku także z biografii Jacka Londona i Roberta Capy oraz kilku książek wojennych, przeprowadził obszerny wywiad ze Sparksem krótko przed jego śmiercią w roku 2007. Jak opowiadał w telewizji CBS, wiedział, że chce poznać jego historię od chwili,

kiedy ujrzał zdjęcie z Dachau, pokazujące oficera strzelającego w powietrze, by powstrzymać samowolną egzekucję esesmanów, którą przeprowadzali jego podwładni. „Ujrzałem w tym obrazie niezwykle odruch prawdziwego człowieczeństwa, tym bardziej godny podziwu, że Sparks miał za sobą ponad 500 dni okrutnej wojny” – tłumaczył Kershaw.

Miał to być początkowo ośmioodcinkowy tradycyjny serial dla History Channel, ale okazało się, że będzie zbyt kosztowny. Ostatecznie powstała czteroodcinkowa wersja częściowo animowana. „Połączenie »Kompanii braci« i filmu »Przez ciemne zwierciadło«” – wyczytałem w jednej z zagranicznych recenzji. Słusznie, bo jeśli chodzi o fabułę, to „Liberator” wpisuje się w tradycję klasycznych wojennych opowieści o braterstwie broni wykwanym w ogniu walki. A w warstwie wizualnej jest to intrygujące połączenie tradycyjnych zdjęć z Trioscope – animacją hybrydową nowej generacji. Efekt przypomina „ożywiony” realistyczny komiks. Dzięki udziałowi prawdziwych aktorów nie ma kłopotów z największą zморą animatorów, czyli właściwym oddaniem naturalnego ruchu; dzięki osadzeniu ich w świecie animacji można zaoszczędzić za to wiele na pejzażach, pojazdach, scenach batalistycznych, bo wszystko można po



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wyjątkowi zakapierzy, ale zadziorni facci, którzy nie pozwalali sobą pomiatać rasistowskim przełożonym. Od Sparksa dostają czystą kartę, nie interesuje go kolor skóry, a swoim podopiecznym daje szansę na zdobycie swego szacunku w bardzo prosty sposób – sam ich szanuje i często staje w ich obronie. Osobny odcinek to krwawy bój pod Anzio. Kolejny przynosi lądowanie w południowej Francji i zimę w Wogezach. Ostatni to walki na terenie Rzeszy. Sparks bardzo wiele się nauczy przez te dwa lata. Nie chodzi o wymyślne sposoby zabijania, lecz o trudne wybory, których musi dokonywać dowódca – czasem samemu wydając niemożliwe, zdawałoby się, do wykonania rozkazy, czasem je wykonując.

UZUPEŁNIENIE HISTORII

„Liberator” wpisuje się w modny od pewnego czasu nurt opisywania wojennego wysiłku aliantów z podkreśleniem roli etnicznych mniejszości. Nie dekonstruuje jednak historii, lecz ją uzupełnia. Pomaga odzyskać pamięć o tych, którzy bywali zbyt często w filmach i serialach pominięci. Robił to choćby Spike Lee w filmie „Cud w wiosce Sant Anna” („Miracle at St. Anna”, 2008) o czarnoskórych żołnierzach amerykańskich walczących we Włoszech. Książka Alexa Kershawa i serial Jonkajtysa podkreślają rolę Indian i amerykańskich Meksykanów, doczekamy się pewnie także – i słusznie – opowieści o amerykańskich obywatelach pochodzenia japońskiego. W amerykańskiej armii służyło ich podczas drugiej wojny światowej ok. 20 tys., a 100. Batalion Piechoty przeszedł szlak bojowy podobny do oddziału Sparksa.

Co ciekawe, można znaleźć recenzje, wedle których „Liberator” i tak jest zbyt mało postępowy. Na stronie internetowej amerykańskiego branżowego pisma „Variety” Caroline Framke zarzuca scenarzyście, że za bardzo koncentruje się na Feliksie Sparksie, wpisując się tym samym w schemat opowieści o „miłym białym dowódcy”, który jest tu głównym bohaterem. A powinni nimi być jego etnicznie zróżnicowani podwładni. Cóż, może gdyby recenzentka zadała sobie trud zapoznania się z wspomnieniami żołnierzy służących pod rozkazami Sparksa, to zrozumiałaby, dlaczego musiała to być jego historia. Dla tych, którzy przeżyli, Felix był niemal świętym. Człowiekiem, który za swoimi ludźmi skoczyłby w ogień (w serialu widzimy, jak zamiast wrócić



★★★★★
REŻ. GRZEGORZ JONKAJTYS
„THE LIBERATOR”
USA/POLSKA
2020, NETFLIX

do USA z wojskowego szpitala w Afryce Północnej, ignoruje rozkazy i samowolnie wraca do swojej jednostki walczącej we Włoszech). Kochali go za odwagę i za współczucie, za nieustępliwość, za to, że potrafił w obronie swojego żołnierza uderzonego przez generała wyjąć rewolwer i powiedzieć: „Tknij jeszcze raz jednego z moich żołnierzy, a zastrzelę

na miejscu”. Sparks był sercem i sumieniem „Thunderbirds” (taki przydomek wzięty z indiańskiej mitologii nosili).

Co do scenarzysty – tu dochodzimy do kolejnej przyjemnej niespodzianki. Do adaptacji książki Kershawa zabrał się Jeb Stuart, człowiek, który napisał scenariusz do „Szklanej pułapki”, „Ściganego” czy „W słusznej sprawie” (na podstawie powieści Johna Grishama). Grzegorz Jonkajtys pracował więc z jednym z bardziej znanych fachowców Hollywood. Stuart związał się na dłużej z Netflixem, jest jednym z głównych twórców sequela popularnego serialu „Wikingowie”, czyli „Valhalla” (zdjęcia już trwają). I na pewno nie można mu zarzucić braku wrażliwości na kwestie rasowe. Jego ostatni film kinowy „Blood Done Sign My Name” (2010) – był także jego reżyserem – dotyczył kwestii rasizmu i nierówności praw obywatelskich w USA roku 1970.

W „Liberatorze” Stuart wykonał kawał porządnej roboty, szkoda, że musiał ostatecznie zmieścić się tylko w czterech odcinkach. Jeśli coś możemy zarzucić tej produkcji, to właśnie wrażliwość pewnej skrótowności, chciałoby się więcej i z większym rozmachem. Zarzutu, że to opowieść nazbyt tradycyjna, nie można traktować poważnie. To po prostu historia ludzi, którzy nie wahali się robić tego, co każdy uczciwy człowiek robić powinien – czynnie przeciwstawili się złu. Technika Trioscope kina nie zbawi, ale z pewnością uratuje jeszcze niejednego budżet okrojony z powodu pandemii, chętnie też zanurzyłbym się w świat gry wideo stworzonej z jej wykorzystaniem. A Grzegorz Jonkajtys dopisuje sobie do CV udany serial i jestem pewien, że nie będzie narzekał na brak kolejnych propozycji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Lata Diany i Maggie



★★★★★

SEZON 4
„THE CROWN”
WIELKA
BRITANIA 2020

wyst. Olivia Colman,
 Gillian Anderson,
 Emma Corrin

W czwartym sezonie „The Crown” wchodzimy w burzliwe lata, chyba najbardziej burzliwe w brytyjskiej historii ostatnich kilku dekad. Na scenie pojawiają się premier Margaret Thatcher oraz młodziutka Diana Spencer, późniejsza żona księcia Karola. A żarna wielkiej historii obracają się beztłoniście, radykałowie z IRA znów stawiają na terror, zimna wojna przybiera nowy obrót wraz z kadencją Ronalda Reagana, wkrótce wybuchnie konflikt o Falklandy. Wszystko to składa się w fascynującą całość i idealne danie telewizyjne. Trudno nie podziwiać gracji, z jaką Peter Morgan, showrunner serialu,

daje sobie radę w łączeniu tych elementów.

„The Crown” pozostaje opowieścią o rodzinie (najsłynniejszej rodzinie na świecie), ambitną soap operą, ale w takim sensie, jak soap operą był „Downton Abbey”. W centrum tej rodziny nadal stoi królowa Elżbieta II grana z wielkim taktem przez Olivię Coleman. Sceny, w których monarchini spotyka na swojej drodze wulkan energii, niepowstrzymaną siłę natury, jaką była Thatcher, należą do najlepszych. Gillian Anderson błyszczy w tej roli. Jednocześnie nowy sezon jest opowieścią o wielkiej zmianie: społecznej i politycznej, ale nie tylko. Zmienia się dynamika wewnątrz rodziny królewskiej, ukrywane

N

ambicje i tęsknoty ujawniają się na nowe sposoby, no i przede wszystkim wielką zmianę niosą dwa romanse księcia Karola – najpierw z Sarah Spencer, a potem z jej młodszą siostrą Dianą (Emma Corrin).

Szczególnie ciekawie ukazana jest ta ostatnia, bo w serialu chyba po raz pierwszy wybrzmiewa tak dobrze dwuznaczność tej postaci. Diana jest krucha, niewinna i zalotna, a jednocześnie manipuluje, wyznacza sobie cele, do których osiągnięcia bezwzględnie dąży, nie jest ani tylko bezradną ofiarą swego wysoko urodzonego męża, ani tylko wyrachowanym intruzem rozbijającym rodzinę. A może inaczej: właściwie jest jednym i drugim. Tu też widzimy istotną zmianę, bo uroczy dotąd młody Karol (Josh O’Connor) staje się postacią zdecydowanie mało sympatyczną. Kapitalne są sceny poświęcone zmaganiom Thatcher z własnym politycznym zapleczem, proszę zwrócić na nie uwagę. No i proszę smakować powoli, bo to pożegnanie z wieloma aktorami, w kolejnych sezonach (całość ma zamknąć się w sześciu) w historyczne postacie wcieli się już nowi odtwórcy. ©©



NOWE SERIALE: „ROMULUS”

Akcja liczącego 10 odcinków serialu produkcji włoskiej rozgrywa się w VIII stuleciu przed Chrystusem. Rzecz o wypadkach poprzedzających założenie Rzymu, a jej twórcą jest Matteo Rovere, który w ubiegłym roku nakręcił także film „Pierwszy król” („Il primo re”) o losach legendarnych braci, Romulusa i Remusa. Serial opowiada o wcześniejszych

wypadkach i jest, jak na warunki włoskie, telewizyjną superprodukcją (setki aktorów i statystów). Dla zwiększenia autentyzmu autorzy posługują się łaciną w wersji mocno archaicznej, sama opowieść jest brutalna i mroczna. ©©

Piotr Gociek

• **Sezon 1 „Romulus”, Włochy 2020,**
HBO GO

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

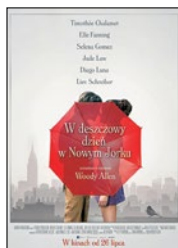
- sezon 2 „**Mroczne materie**”, Wielka Brytania/USA 2020
- reż. Don Mischer, „**An Evening with Robin Williams**”, USA 1983
- reż. Gurinder Chadha, „**Blinded by the Light**”. Siła muzyki („Blinded by the Light”), Wielka Brytania 2019, Cinemax 2

Ciągle pada



Najnowszy, 49. film Allena trafił do pandemicznej zamrażarki, musimy więc się pocieszać jego dziełem poprzednim. Wbrew tytułowi jest to historia dość pogodna. Para studentów przyjeżdża na weekend do

jesień, zaś słoneczna aura wprawia go w przygnębienie („moja dusza jest zachmurzona”). Padało w „Innej kobiecie”, „Alicji”, „Złotych czasach radia”, „Zbrodniach i wykroczeniach”. W „Mężach i żonach” jedna



★★★★★
REŻ. WOODY ALLEN
„W DESZCZOWY DZIEŃ W NOWYM JORKU” („A RAINY DAY IN NEW YORK”)
USA 2019

wyst. *Timothée Chalamet, Elle Fanning, Liev Schreiber*

z postaci ma na imię Rain. Gdy powstawał ostatni z tych filmów, ówczesna muza reżysera oskarżyła go o czyny pedofilskie. Po latach zarzuty wróciły ze zdwojoną mocą i aktorzy jęli się na wyprzódki odcinać od rzekomego zwyrodnialca. Grający *Gatsby*'ego *Timothée Chalamet* wyznał siostrze *Allen*, że przyłączył się do chóru potępiających, bo chciał dostać Oscara za występ w innym filmie. I jak tu wierzyć w solidarność nowojorczyków? ©©

Wiesław Chełmniał



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ROMANTYCZNI INACZEJ



★★★★★
„SANDITON”
WIELKA
BRITANIA 2019

Jane Austen, cesarzowa komedii romantycznej, zanim na zawsze zamknęła oczy, zdążyła napisać 70 stron powieści „Sanditon”. Materiału starczyło na połowę pierwszego odcinka serialu, resztę dorzucił *Andrew Davies*, który zęby zjadł na adaptacjach literatury (od „Doktora Żywago” do „Dzienników *Bridget Jones*”). Bóg jeden wie, dlaczego weteran zapragnął połączyć wiek XIX z XXI, w każdym razie sprowadziło go to na manowce. Jak zwykle u Brytyczyków jest na czym zawiesić oko: są pięknie sfilmowane kostiumy, wnętrza i krajobrazy. W rybackiej wiosce, która przepoczwarza się w modny kurort, dzieją się jednak rzeczy, o których panna Austen wstydziłaby się pomyśleć, a cóż dopiero je opisać. Decyzja o anulowaniu drugiego sezonu tak zaskoczyła twórców, że nie zdołali wymyślić porządnego zakończenia. Nici ze sławy, nici z pieniędzy. A duch pisarki będzie ich straszył po nocach.

wyst. *Rose Williams, Theo James, Anne Reid*

NA CHŁOPSKI ROZUM



★★★★★
REŻ. RAINER SARNET
„LISTOPAD” („NOVEMBER”)
ESTONIA/
POLSKA/
HOLANDIA 2017

„Listopad” zaczyna się jak film przyrodniczy, ale to zmyłka. Mamy do czynienia z ludową baśnią o diable czyhającym na rozstaju dróg, fruwającej krowie, somnambulicznej baronównie, hożej dziewczynie, ukrytym skarbie i nieodwzajemnionej miłości. W tym świecie rządzią gusła i zabobony. Założenie spodni przez głowę chroni przed zarazą. Chrześcijanie są nimi tylko z nazwy, ze zmarłymi żyją za pan brat. Bez wstydu kradną i oszukują, zaczynając od siebie i niemieckich panów („wszystko na tej ziemi należy do nas, Estończyków”), a kończąc na demonach. Bieda aż piszczy, moralność leży, ale za oborą jakimś cudem rodzi się czysta poezja. Postszlacheckie polskie kino, aspirujące do mieszczańskiej Europy, o wsi zapomniało. Bałtowie, jak widać, od chłopskich korzeni odciąć się nie mogą ani nie chcą. Zdjęcia *Marka Taniela* są jawiskowe, godne *Breughla* i innych mistrzów pędzla, chociaż film jest czarno-biały. ©©

wyst. *Rea Lest, Jõrgen Liik, Arvo Kukumägi*

recenzuje Wiesław Chełmniał

GRA TYGODNIA: „CALL OF DUTY: BLACK OPS COLD WAR”

Zimna wojna, klimat lat 80., animowany cyfrowo Ronald Reagan, prowadzone w cieniu walki między KGB a CIA oraz tajemniczy sowiecki agent *Perseusz*, którego musimy schwycić. To skondensowana fabuła 17. już odsłony strzelanki „Call of Duty”. Tym razem po raz pierwszy

w kampanii dla jednego gracza będziemy mogli stworzyć swojego bohatera oraz wybrać różne zakończenia fabuły, która zaprowadzi nas od Berlina do Moskwy. Tryby rozgrywki są różnorodne i nie zawsze polegają na rozwiązywaniu siłowych. Jedyne, na co można narzekać, to umiarkowanie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

satisfakcjonujący multiplayer oraz efekty dźwiękowe.

Marcin Makowski

- **Gatunek:** FPS
- **Platforma:** PC/PS4/PS5/XONE/XSX
- **Producent, dystrybutor:** Ubisoft
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Obłoki nad Wilną

W literackiej wędrówce przez Ziemie Utracone, rozpoczętej w 2012 r., prof. Stanisław Nicieja nie mógł pominąć Wilna. I tak jak bohaterem 10. tomu „Kresowej Atlantydy”, tego znakomitego cyklu książek, uczynił Lwów, tak w kolejnym jubileuszowym tomie serii – już 15. – zawitał do grodu Mickiewicza i braci Śniadeckich, Lelewela i Piłsudskiego, Czesława Miłosza i Tadeusza Konwickiego, Józefa i Stanisława Mackiewiczów. Miasta niezwykle znaczącego dla naszej historii i mitologii, a dla literatury polskiej bezdyskusyjnie najważniejszego. Nic też dziwnego, że autor ów trop literacki wykorzystał w maksymalnym stopniu, przy tym znajdując klucz do miasta Ostrej Bramy, jeśli nie zupełnie nowy, to na pewno rzadko wykorzystywany przez jego dziejopisów. A choć w samym Wilnie – co przyznaje – osobiście był ledwie dwukrotnie (dla porównania: we Lwowie ponad 500 razy), to o grodzie Giedymina zebrał imponującą ilość informacji, skupiając się na tym, co rzadko opisywane, a niekiedy nieznane, przynajmniej powszechnie.

O Wilnie opowiada Nicieja poprzez przedstawiane życiorysy. I tak na przykład, poświęcając stosowny rozdział książki Witolowi Hulewiczowi, twórcy sławy i świetności wileńskiej rozgłośni Polskiego Radia, odnosi się również do jakże ważnego, a pomijanego w monografiach Wilna faktu, że to tam właśnie mieściła się jedna z najnowocześniejszych w przedwojennej Europie fabryk radioodbiorników – Elektrit, w której pracowało, i świetnie zarabiał, 1,2 tys. osób. Gdy jesienią 1939 r. Niemcy zajęli miasto, wyposażenie fabryki wraz z jej załogą wywieźli na wschód. Po wojnie nieliczni dawni pracownicy Elektritu zostali repatriowani na Dolny Śląsk, gdzie



FOT. DAREK DELMANNOWICZ / PAP

stworzyli nie mniej słynne zakłady produkujące radioodbiorniki – Diore, która – czytamy – „w roku 1988 zatrudniała 6600 pracowników, została po 1990 r. unicestwiona w sposób wręcz bezmyślny w ramach tzw. reformy Balcerowicza. Maszyny i budynki sprzedano za bezcen, a część z nich rozebrano na cegłę”.

Historia chwały Elektritu zakłóca przyjętą narrację o mieście nad Wilnią mającym może przed wojną szczęście do poetów, ale głęboko prowincjonalnym. Trudno o większą bzdurę. To właśnie w II RP w błyskawiczny sposób Wilno z tej prowincjonalności się wydobywało, a to głównie dzięki fantastycznemu uniwersytetowi promieniującemu na miejscowe życie społeczne i kulturalne. Uniwersytetowi, który ten okres prosperity zawdzięcza nie komu innemu, ale Józefowi Piłsudskiemu. Temu samemu, o którym z dezynwolturą pisał Miłosz:

Może nie całkiem godzien potępienia Piłsudski, chociaż troszczyć się nie umiał

O nic prócz granic?

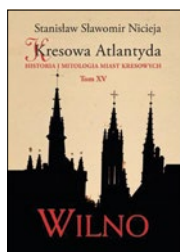
O nic? Profesor Stanisław Nicieja, sam człowiek nauki, z pełnym przekonaniem powiada: „Piłsudski należy do bardzo wąskiego grona przywódców Polski na całej

przestrzeni duchowej państwa polskiego, który takim kultem otaczał instytucję uniwersytetu”. To Naczelnik Państwa był głównym wnioskodawcą reaktywacji wileńskiej uczelni, po 90 latach od jej zamknięcia przez Rosjan, i to on dbać będzie o rozwój, o pomysły Uniwersytetu Stefana Batorego, do czego wykorzystywać będzie zarówno swoją władzę, jak i charyzmę. A Miłosza lepiej zapamiętać ze słów poświęconych Wilnu, tej jednej z dwóch stolic Rzeczypospolitej Obojga Narodów (obok Krakowa, a od XVII w. Warszawy):

Nie spotkałem już nigdzie takiego baroku.

Takich wód przezroczystych i takich obłoków...

Jeśli chodzi o barok, to można dyskutować, ale takich obłoków jak nad Wilnią, dziś Neris zwaną, próżno szukać gdzie indziej. Czym wytłumaczyć ten fenomen? Na pewno miłością, którą także nasycony jest najnowszy tom „Kresowej Atlantydy”. Czytelnik może się z niego dowiedzieć m.in. o rodzonych braciach Feliksa Dzierżyńskiego zamordowanych przez hitlerowców, o wileńskim Jidyszlandzie, na czele z żydowskim pisarzem narodowym Chaimem Grade, zdaniem Tomasza Venclovy o wiele lepszym niż przereklamowany noblista Isaac Singer, o wspólnym wuju Maryli Rodowicz i Czesława Niemena czy o skierowanym przez współczesnych cenzorów na półki filmie „Rzeczywistość” wilnianina Antoniego Bohdziewiczza, z muzyką Andrzeja Kurylewicza i z Polą Raksą w jednej z ważniejszych ról. O sprawach wagi najwyższej i całkiem drobnych, które w sumie składają się na genius loci Wilna. Miasta, do którego się nie jeździ, lecz pielgrzymuje, bo to duchowe centrum prawdziwej Polski i prawdziwych Polaków. ©



★★★★★
**STANISŁAW
SŁAWOMIR
NICIEJA**
„WILNO”
**CYKL „KRESOWA
ATLANTYDA.
HISTORIA
I MITOLOGIA MIAST
KRESOWYCH,
TOM XV”**
**WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
OPOLSKIEGO,
OPOLE 2020**



POCZYTANKI

Opowieści zwyczajne

PIOTR GOCIEK

Uprasza się fanów pisarstwa Pawła Huellego, by nie obrażali się za tytuł. W opowiadaniach zawartych w tomie „Talita” nadzwyczajne jest właśnie to, że są zwyczajne. Czyli: porządnie napisane, z pomysłem, z wrażliwością, mają w dodatku początek, środek i koniec, a często sprawiają, że się bardziej zamyślimy. To powinno być normą, to powinna być średnia strefa stanów średnich polskiej literatury, niestety żyjemy w czasach, w których to, co zwyczajnie porządne, wydaje się nadzwyczajne, bo konkurencja krucha. Niech państwo wezmą do ręki dla porównania tom opowiadań noblistki Tokarczuk sprzed paru lat i porównają z Huellem. Wtedy państwo zrozumieją, kto umie pisać, a kto się mizdzy artystycznie. (Nie twierdzę, że Huelle zasługuje na Nobla, ale tym bardziej nigdy nie twierdziłem, że zasługuje na niego Tokarczuk).

Z kolei przeglądając blogosferę, odkryłem, że młodzi czytelnicy piszą o „Talicie” „literatura staroświecka”. Ha, znów więcej nam to mówi o czasach niż o Huellem, coś to za czasy, w których za staroświeckie uważa się to, że są to opowiadania „porządnie napisane, z pomysłem, z wrażliwością, mają w dodatku początek, środek i koniec, a często

sprawiają, że się bardziej zamyślimy” (autocytat zamierzony).

Paweł Huelle ma dobrych nauczycieli i dobre obiekty literackich fascynacji. W „Cas-torpie” przed laty zmagął się z Tomaszem Mannem. Krótkie opowiadanie „Ryfka” to miniaturka, którą mógłby napisać Borges. W innych tekstach dotyczących świata starszych braci w wierze czuć klimat trochę z Alejchem, trochę z Singera. Są i opowieści historyczno-fantastyczne, których centrum staje się klasztor oliwski (urocze, chętnie przeczytałbym osobną książkę z takimi historiami). Jest parę zupełnie uniwersalnych obyczajowych, psychologicznych obserwacji, po których człowiek czuje się lepiej, bo przypominają nam, że świat jest lepszy, gdy bywamy dla siebie bezinteresownie dobrzy. Paradoksalnie najślabsze zdaje mi się opowiadanie tytułowe, przypowieść o miłości, tęsknocie i zmartwychwstaniu, której moc niknie od pisania nadmiernie artystycznego oraz współcześnie modne-go – tu akurat Huelle wpadł

w pułapkę, której uniknął w pozostałych opowiadaniach.

Nie jest to wszystko literatura, która wyważa drzwi i góry przenosi. Ale nawet jeśli przyjmujemy, że mamy do czynienia z popołudniem pisarza, to jest to złote popołudnie. ©©



★★★★★
PAWEŁ HUELLE
„TALITA”
ZNAK 2020

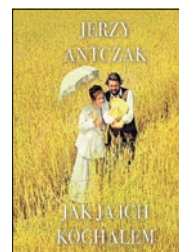
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Tyranobójstwo, terror państwowy, terror jako taktyka powstańcza, terror w służbie ideologii lub religii – obszerny zbiór prac naukowych układających się w dzieje terroryzmu od zelotów i asasy-nów do Al-Kaidy i Państwa Islamskiego.



GÉRARD CHALIAND, ARNAUD BLIN
„HISTORIA
TERRORYZMU”
PIW

Filmowe (i nie tylko) wspomnienia jednego z najlepszych polskich reżyserów XX w., twórcy nominowanych do Oscara „Nocy i dni”. „Niemał wszystko, czym karmiłem swoją sztukę, ma początek na Wołyniu” – pisze Antczak.



JERZY ANTCAK
„JAK JA ICH
KOCHAŁEM”
AXIS MUNDI

Tytuł to cytat z Johna Steinbecka. Ale konkretniej? Broń, polowania, wielkie samochody, dumni i zadziorni obywatele, grzechotniki – jasne. Ale o czym jeszcze trzeba wiedzieć? Bogato ilustrowana opowieść Polaka w podróż.



ARTUR OWCZARSKI
„TEKSAS TO STAN
UMYSŁU”
ZONA ZERO

Czwarta biografia słynnej wokalistki wydana po polsku. I obok „Janis Joplin. W drodze” – najciekawsza. Fanów szczególnie zainteresują listy i pamiętnik bohaterki wykorzystane w tekście. Są i cytaty z wywiadów z rodziną. ©©

poleca Piotr Gociek



HOLLY GEORGE-WARREN
„JANIS. ŻYCIE
I MUZYKA”
CZARNE

KOMIKS TYGODNIA: „BITWA WARSZAWSKA 1920”

Solidna robota: realistyczna opowieść obrazkowa o wydarzeniach sprzed stu lat połączona ze stosownym ładunkiem treści edukacyjnych. Kilkunastostro-nicowy dodatek przybliża najważniejsze postacie historyczne. Kolejny udany owoc współpracy autorów m.in. serii komiksowej „Wilcze tropy”; od dekady kooperujących z Instytutem



KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI, SŁAWOMIR ZAJĄCZKOWSKI
„BITWA
WARSZAWSKA
1920”
IPN

Pamięci Narodowej. IPN jednocześnie wydał także pozycję lżejszą, dla młodszego czytelnika, czyli album Michała Konarskiego i Huberta Ronka „Srebrni na szlakach Bitwy Warszawskiej 1920 r.”. ©©

poleca Piotr Gociek



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Wodecki po francusku

Pochodzący z regionu Vendée w zachodniej Francji François Martineau od dzieciństwie mieszka w Krakowie. Trafił tu w drodze losowania. „W trakcie misji humanitarnej w Afryce 10 lat temu z katolicką fundacją Poinits-Coeur (Domy Serca) zauważyłem, że mam zdolności językowe. Po tej pięknej misji wróciłem do Francji i postanowiłem je właśnie wykorzystać, czyli wybrać

jakikolwiek kraj, pojechać do tego kraju, nauczyć się jego języka i zostać tłumaczem z tego języka na francuski. Taki był plan na początku; widelcem na mapie Europy trafiłem na... Polskę!” – opowiadał w rozmowie dla portalu polskifr.fr.

François Martineau ma zdolności nie tylko językowe, co postanowił nad Wisłą pokazać. Występował m.in. na krakowskim Rynku „dla

przechodniów i dla turystów, ale przede wszystkim dla przyjemności!”. Wziął udział w programie „Mam talent”, do którego zgłosił go jego znajomy. W trakcie pandemii, która odcięła go od publiczności z Rynku, zaczął dawać recitale na balkonie, których najpierw mogli posłuchać sąsiedzi, a później także publiczność internetowa. Teraz François Martineau planuje nagranie płyty z polskimi

przebojami przetłumaczonymi na język francuski.

„W polskim dziedzictwie są perełki i warto eksportować je m.in. w języku francuskim” – mówił na początku listopada w Polskim Radiu. – Niektóre tłumaczenia są już gotowe, niektóre czekają na akceptację autorów lub ich spadkobierców. Pojawiają się klasyki Grzegorza Turnaua, Ewy Demarczyk, ale też Jacka Kaczmarskiego i wielu innych”. Na razie François udostępnił w Internecie dwa nagrania:

„Lubię wracać tam, gdzie byłem” Zbigniewa Wodeckiego i „Nie ma jak u mamy” Wojciecha Młynarskiego.

„Współpracuję z francuskimi poetami, m.in. z moim ojcem. Przygotowuję mu polski tekst razem z dosłownym tłumaczeniem, a on musi wziąć z tego to, co najbardziej wartościowe, i wymyślić formułę w sposób poetycki” – wyjaśniał w Polskim Radiu. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Zwiększ moc

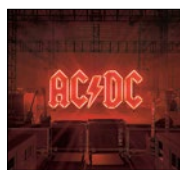
Czterdzieści lat po wydaniu „Back in Black”, który rozszedł się w blisko 30-milionowym nakładzie, poświęconego pamięci zmarłego wokalisty Bona Scotta, grupa AC/DC nagrała płytę w hołdzie gitarzyście Malcolmowi Youngowi, który odszedł trzy lata temu.

Wszystko wskazywało, że album „Rock or Bust” z 2014 r. będzie ostatnim. Po zdiagnozowaniu demencji na emeryturę odszedł Malcolm Young, perkusista Phil Rudd miał kłopoty z prawem, wokalista Brian Johnson stracił słuch, a basista Cliff Williams opuścił grupę po zakończeniu tournée. Jedynie lider, Angus Young, nie cierpiał na żadne przypadłości.

Do ponownego spotkania muzyków doszło na pogrzebie Malcolma,

a w konsekwencji nagrania albumu „Power Up”.

Zespół AC/DC nie tylko nadal brzmi jak AC/DC, lecz także nagrał najlepszy album od trzech dekad. Potężne gitarowe akordy rozbrzmiewają na tle bitewnych rytmów, a Brian Johnson znowu wrzeszczy z wyraźną przyjemnością, a nie z obowiązku. Do tego „Power Up” jest przepełniony prawdziwymi emocjami. To wciąż sprawdzony, wyskokoktanowy rock z bluesowym turbodoładowaniem. Album jest tak udany, gdyż AC/DC nie próbuje żadnych nowych sztuczek. Zespół wsparty przez sprawdzonego producenta Brendana O'Briena wyciska starą formułę tak dokładnie, że nawet pozwala sobie na świński żart w „Money Shot”. ©©



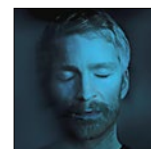
★★★★★
AC/DC
„POWER UP”
SONY



★★★★★
CANTORES MINORES
„30 LAT / YEARS”
MINCANTORES

Z okazji 30-lecia istnienia ukazała

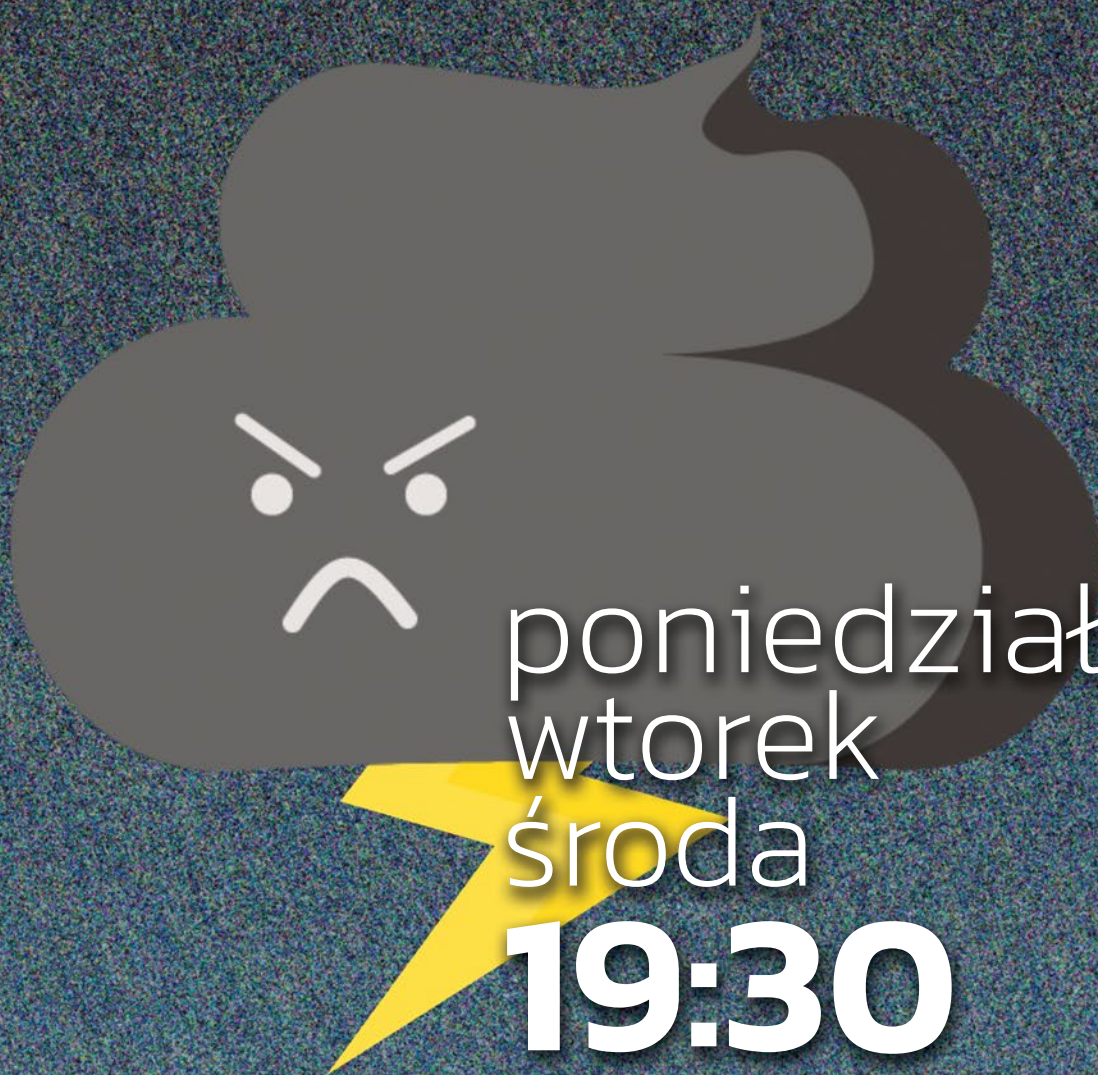
się płyta poświęcona Josephowi Herterowi, założycielowi chóru męskiego. Pierwszą część stanowią współczesne nagrania, drugą archiwalne, zrealizowane jeszcze przez chór chłopięcy. Usłyszymy głównie pieśni religijne z różnych okresów.



★★★★★
ÓLAFUR ARNALDS
„SOME KIND OF PEACE”
DECCA

Neoklasyczny album islandzkiego kompozytora zawiera liryczne utwory oparte na elektrycznie spreprowowanym brzmieniu fortepianu i smyczków. W kilku utworach pojawia się żeński głos. Całość ma tęskny, medytacyjno-uzdrawiający charakter. Na wzniosłe wieczory. ©©

CODZIENNIE BURZA



poniedziałek
wtorek
środa

19:30

zaprasza **Maciej Kozuszek**

Stalinizm recidivus



Krzysztof Masłoń

Telewizyjna Polska ogląda na Canal+ serial „Król” (kadr z tego serialu) anonsowany jako arcydzieło. Podobnego paszkwilu na II Rzeczpospolitą nie pamiętam FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Są tak przewrotni estetycy, że uważają komunizm – najokrutniejszy system społeczny z okrutnych – za... fotogeniczny. Najłatwiej się o tym przekonać, oglądając filmy z okresu nie do końca precyzyjnie nazywanego stalinizmem, z czym jednak są niejakie trudności, bo – z nielicznymi wyjątkami – dziwnie rozplynęły się one w pomroczności dziejowej. A z rozpędu pociągnęły za sobą także inne obrazy.

Z powodów, o których za chwilę, przypomniało mi się właśnie, że cztery lata po polskim Październiku, a siedem lat po śmierci Wodza Przodującej Ludzkości, Józefa Stalina, po powieść Jerzego Putramenta „Rzeczywistość”, przedstawiającą mocno osobisty obraz procesu dziennikarzy „Po Prostu” z 1937 r., w którym sam Putrament był jednym z oskarżonych, sięgnął nestor polskiej kinematografii, Antoni Bohdziewicz. Powstał film, którego dziś niepodobna obejrzyć, ponieważ – jak się zdaje – uznany został za komunistyczną agitkę i jako taką odłożony na najdalszą półkę przepastnych archiwów. Nie zważając na więcej niż interesujące sceny dziejące się na sali sądowej – rzadkie w polskim filmie – i na aktorstwo m.in. Henryka Boukołowskiego, Macieja Maciejewskiego, Leona Pietraszkiewicza, a zwłaszcza Poli Raksy. Tej samej Poli Raksy, za której twarz – co wie w Polsce nawet dziecko – „każdy by się zabił dał”. Na kanale Kino Polska przypominana jest „Beata”, na Polsacie Film „Szatan z siódmej klasy”, „Pancerni” z Marusią

jeśli się kończą w jednym programie, to zaczynają w drugim, tylko „Rzeczywistości” próżno wypatrywać gdziekolwiek.

Na wspomnianym Kanale Polska, predestynowanym jak żaden inny do prezentacji rzadko przypominanych i dawnych filmów krajowej produkcji, gdy zainaugurował nadawanie w 2003 r., można było natknąć się na zupełne kurioza kinematografii polskiej ery komunizmu, że przypomnę tu „Jasne łany” Eugeniusza Cękalskiego z m.in. Kazimierzem Dejmkiem jako aktorem czy „Karierę”, której współscenarzystą był Tadeusz Konwicki, a swoją rękę do tego potworka przyłożył także Wiktor Woroszyński. Podejrzewam, że mało kto pamięta nazwisko głównego bohatera, a raczej antybohatera, „Kariery”, przysłanego z Zachodu szpiega, który bez skutku usiłuje zmontować w Polsce siatkę agenturalną, aż w końcu jak najsłuszniej arestuje go niezawodny Urząd Bezpieczeństwa. Otóż ten wredny typ grany przez Jana Świderskiego nazywa się Karwowski. Na szczęście nie Stefan, lecz Stanisław.

Wszystko to jednak betka w porównaniu z pokazanym w owe pozbawione cenzury lata „Żołnierzem wolności”, dwuczęściowym dziełem Wandy Jakubowskiej o „robotniku i generale”, Karolu Świerczewskim z Józefem Wyszomirskim w roli tytułowej, Jackiem Woszczerowiczem jako Leninem i Gustawem Holoubkiem jako Dzierżyńskim. No, takiego komunistycznego gniota Polska

nigdy wcześniej ani potem nie oglądała. Dlaczego go jednak nie przypominać? Choćby ku przestrodze.

A ta się przyda, telewizyjna Polska ogląda bowiem w te dni na Canal+ serial „Król” anonsowany jako arcydzieło. Rzeczywiście, podobnego paszkwilu na II Rzeczpospolitą nie pamiętam. Jeśli z czymkolwiek miałbym go porównywać, to najwyżej z „Pod gwiazdą frygijską”, drugą częścią „Celulozy” wyreżyserowaną w latach 50. przez Jerzego Kawalerowicza. Szlachetnych komunistów też zwalczała tam brutalna sanacyjna policja, że o falangistach nie wspomnę. Tyle że lesb i gejów w tamtym obrazie nie było i akcja toczyła się raczej na zebraniach komunistycznych jacejek, a nie w burdelach. No ale kanwę literacką do tamtego filmu stworzył Igor Newerly, a nie Szczepan Twardoch.

Dwudziestolecie międzywojenne było błyskiem światła w niemal 200-letniej ciemności zaborczo-okupacyjnej, jaka spowijała naszą ojczyznę, nim odzyskała wolność w 1989 r. A Warszawa lat 1918–1939 była stolicą Polski, nie żadnego Jidyszlandu. Teraz, za sprawą królopodobnych produkcji, dowiadujemy się, że winniśmy wstydzić się za ten czas. Niedoczekanie!

Na koniec przypomnę, co w „Roku 1984” napisał George Orwell: „Kto rządzi przeszłością, w tego rękach jest przyszłość, kto rządzi teraźniejszością, w jego rękach jest przeszłość”. I tylko przeszłość.

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 3



Rosyjska polityka historyczna

– kłamstwo w służbie imperium

- Jak Związek Sowiecki zacierał ślady zbrodni i kneblował krytyków
- Kłamstwo katyńskie – kulisy antypolskiej operacji Nikołaja Burdenki
 - Stosunki polsko-rosyjskie w kremłowskiej propagandzie
- „Dekalog” rosyjskiej polityki historycznej. Co Putin mówi Rosjanom o ich dziejach?



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI





SPIS TREŚCI

51 PROF. MIKOŁAJ IWANOW

MACHINA SOWIECKICH KŁAMSTW

Prawdziwa historia jako nauka w Związku Sowieckim właściwie nie istniała. Rozmowa Piotra Włoczyka z prof. Mikołajem Iwanowem, historykiem z Uniwersytetu Opolskiego, autorem wielu prac na temat historii Związku Sowieckiego.

55 TOMASZ STAŃCZYK

KATYŃSKIE KŁAMSTWO MOSKWY

Sowiecka wersja o wymordowaniu polskich oficerów przez Niemców była podbudowana fałszerstwami dokumentów.

58 MACIEJ PIECZYŃSKI

DZIESIĘĆ WIEKÓW RYWALIZACJI

Polska od tysiąca lat była dla Rosji politycznym i religijnym wrogiem, rywalem, którego należało unicestwić. Była też jednak „oknem na świat”. Oto jak polityka historyczna Kremla

opowiada o dziejach polsko-rosyjskich do czasów pierwszej wojny światowej.

62 MACIEJ PIECZYŃSKI

ŚWIĘTA WOJNA KREMLA

Oblężona twierdza, która od wieków broni się przed agresją Zachodu. A jednocześnie pogromca Hitlera, co samo w sobie zasługuje na aureolę świętości. Tak wygląda przeszłość Rosji z perspektywy kremlowskiej polityki historycznej.

PIOTR WŁÓCZYK: Kiedy dla Związku Sowieckiego zaczęła się druga wojna światowa? Jak początek największego konfliktu w dziejach objaśniała obywatelom sowiecka propaganda?

PROF. MIKOŁAJ IWANOW: W świadomości większości ludzi sowieckich druga wojna światowa rozpoczęła się 22 czerwca 1941 r. Prawie nikt nie kojarzy agresji Związku Sowieckiego na Polskę wspólnie z III Rzeszą jako udziału w drugiej wojnie światowej. 17 września 1939 r. rozpoczął się według sowieckiej historiografii „wyzwolenczy pochód”, mający uwolnić od „polskich panów” bratnie narody Ukraińców i Białorusinów. Ta linia wciąż jest oficjalną wykładnią Kremla. Trzeba jednak pamiętać, że istnieją dwie Rosje: Rosja Putina i Rosja Nawalnego. Są rosyjscy historycy, np. Nikita Pietrow, którzy mówią prawdę i starają się przeciwdziałać oficjalnej, w bardzo wielu fragmentach kompletnie zakłamanej wizji historii.

Nie dotyczy to oczywiście historiografii naukowej, historycy zarówno sowieccy, jak i rosyjscy podają tu prawdziwą datę 1 września 1939 r., ale to dotyczy tylko wojny na Zachodzie. ZSRS został do drugiej wojny światowej „wciągnięty” dopiero 22 czerwca 1941 r. Historiografia sowiecka i dzisiejsza rosyjska nadal twierdzą, że 17 września 1939 r. ZSRS nie przyłączył się do drugiej wojny światowej, tylko cały czas stał z boku.

Dlaczego doszło w takim razie do podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow?

W tym temacie właściwie nic się nie zmieniło. Nadal obowiązuje stara stalinowska koncepcja podpisania układu. Kreml utrzymuje tu od dziesięcioleci konsekwentną linię: Stalin chciał uniknąć wciągnięcia ZSRS do wojny przed czasem. Nie miał rzekomo innego wyjścia wobec niezdecydowania mocarstw zachodnich w sprawie wspólnego frontu przeciw Hitlerowi. To nie Związek Sowiecki zawarł sojusz z Hitlerem, tylko Wielka Brytania i Francja odmówiły współpracy z ZSRS. Zajęcie połowy Polski było więc niejako wymuszone na Stalinie, który w ten sposób chciał ocalić bratnie narody: Ukraińców i Białorusinów. Tym samym agresja stała się tak naprawdę obroną. I taki przekaz wciąż słychać z Kremla.

Z polskiej perspektywy na pewno bardzo bolesne jest to, że także sowiecka wizja powstania warszawskiego jest wciąż żywa w dzisiejszej polityce

Podpisanie traktatu o granicach i przyjaźni przez III Rzeszę i ZSRS

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Z prof. Mikołajem Iwanowem, historykiem specjalizującym się w dziejach Związku Sowieckiego rozmawia Piotr Włoczyk

Machina sowieckich kłamstw



Ofiara wielkiego głodu na Ukrainie, Charków, 1932 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA/DIOZESANARCHIV WIEN

■ historycznej Rosji. Mówią, że Armia Czerwona nie miała żadnych realnych możliwości pomocy powstaniu. Powiedzieć w dzisiejszej Rosji Putina, że w sierpniu / we wrześniu 1944 r. pakt Ribbentrop-Mołotow jakby odżył na dwa miesiące i Armia Czerwona pozwoliła Niemcom na wymordowanie 200 tys. Polaków, jest równoznaczne z próbą oczerniania Rosji...

Chyba najbardziej bolesna dla Polaków jest mimo wszystko sprawa Katynia. A tu Stalin zbudował całą maszynę propagandową.

Na szczęście dziś nie jest w tej kwestii tak źle, jak było za czasów komunizmu. Trudno powiedzieć, co by się stało, gdyby Gorbaczow nie przyznał się do tej zbrodni w imieniu ZSRS, a jego następcy nie byli w związku z tym zmuszeni do potwierdzania tego. Nie jestem pewien, czy dzisiejsza Rosja przyznałaby się do zbrodni katyńskiej.

Dzisiaj Rosja prowadzi niewątpliwie wojnę propagandową przeciwko Polsce i Zachodowi. Zbrodnia katyńska dokonana w czasie trwania drugiej wojny

światowej jest wyraźnym świadectwem zbrodniczego charakteru udziału ZSRS w tej wojnie. Jest ona znaczącym argumentem obalającym sowiecką i rosyjską koncepcję sprawiedliwego charakteru wielkiej wojny ojczyznianej. Stalinowski Związek Sowiecki był takim samym agresorem jak III Rzesza, ponosi on współodpowiedzialność za wybuch tej wojny i za miliony ofiar tego konfliktu.

Do dziś w Rosji szeroko są rozpowszechniane stalinowskie fałszyfikacje na temat zbrodni katyńskiej. Przy stacjach metra w Moskwie cały czas sprzedawane są w wielkich nakładach bulwarowe książki historyczne.

Wśród autorów je piszących gwiazdą jest niejaki Jurij Muchin, który popełnił kilka książek tłumaczących stalinowską „prawdę o Katyniu”. Mam w domu co najmniej 10 takich książek i jest to szokująca lektura. Nie przestaje mnie zadziwiać, że ktoś może wciąż powtarzać najbardziej nawet absurdalne łgarstwa stalinowskich śledczych.

Jakby mało było tego, że w stalinowskim Związku Sowieckim było pod

dostatkiem fachowych, bardzo zdolnych fałszerzy historii, to jeszcze mogli oni liczyć na pożytecznych idiotów za granicą, którzy wspomagali ich propagandę historyczną. Jednym z wielu takich ludzi był Alexander Werth, autor książki „Rosja na wojnie. 1941–45”. Rozdziały, w których pisał o Katyniu i o powstaniu warszawskim, nie powielały może zupełnie wprost sowieckiej propagandy, ale niewiele się od niej różniły. Werth był czołowym „historycznym idiotą”, ale takich ludzi sowiecka Rosja miała na Zachodzie na pęczki.

Kłamstwa Stalina wymierzone były nie tylko we wrogów, np. Polaków. Związek Sowiecki kłamał też choćby na temat prawdziwej liczby własnych strat ludzkich w czasie drugiej wojny światowej. Tuż po wojnie Stalin przekonywał, że ZSRS stracił zaledwie 7 mln ludzi...

To również jest częścią propagandy historycznej w czystej postaci. Jednak trudno się dziwić niechęci Stalina do podania prawdziwych informacji na ten temat. Przed wojną z Niemcami w ZSRS wszem wobec trąbiono o potęgę mi-

litarnej tego kraju. Jak można było nie zwyciężyć szybko w wojnie z Hitlerem, mając osiem razy więcej czołgów, dieśięć razy więcej samolotów i dwa razy więcej żołnierzy? Mówiąc wprost, Stalin krępował się przed własnym narodem i przed światem, więc musiał fałszować historię.

Dlaczego więc ta liczba była stopniowo oficjalnie powiększana, aż osiągnęła niewyobrażalną wręcz wielkość? Dlaczego Kreml nie wybrał najprostszej w tym przypadku drogi, czyli trzymania się pierwszej wersji?

Był to element procesu destalinizacji. Przemówienie Chruszczowa na XX zjeździe było dla wszystkich szokiem. Chruszczow budował swój autorytet na zaprzeczaniu polityce Stalina. To za jego czasów pojawiła się liczba 20 mln sowieckich ofiar drugiej wojny światowej. W latach 80. powiększono tę liczbę o 7 mln. Bardzo poważny, rzetelny rosyjski historyk Mark Sołonin przekonuje, że te 27 mln to prawdziwa liczba zabitych obywateli sowieckich. To liczba trudna do wyobrażenia, ale jeżeli porównamy ją do strat Polski, to perspektywa jest już diametralnie inna. W ZSRS zabity został co dziewiąty obywatel, a w Polsce co szósty...

Jedną z największych zbrodni komunizmu w całych dziejach tej ideologii jest wielki głód na Ukrainie, który według różnych szacunków pochłonął od 6 do nawet 10 mln ofiar. Kiedy ten temat po raz pierwszy pojawił się w oficjalnej debacie?

Już w czasach odwilży Chruszczowa zaczęto o tym wspominać. Pisał o tym trochę Aleksander Sołżenicyn. Wraz z początkiem pierestrojki, kiedy można już było mówić o wszystkim, również „wybuchł” temat głodu na Ukrainie. Jeżeli na 40 mln Ukraińców głód dotknął 30 mln, to tego nie dało się ukryć, choć istniał oczywiście zakaz poruszania tego tematu. Zbrodnia ta była tajemnicą poliszynela, ludzie doskonale o niej wiedzieli. Temat głodu towarzyszył stale społeczeństwu sowieckiemu od rewolucji październikowej.

Czy można w ogóle mówić w kontekście Związku Sowieckiego o historii jako nauce?

Prawdziwa historia jako nauka właściwie nie istniała w ZSRS. Badania historyczne, poczynając od starożytności, były jedną wielką propagandą budowaną jako potencjalne narzędzie indoktrynacji dla władz komunistycznych. Ludziom,

k którzy nigdy nie żyli w Związku Sowieckim, trudno wyobrazić sobie, jak bardzo historia może być zakłamana. Wszystko sprowadzało się do teorii walki klasowej. Dlatego nic dziwnego, że Spartakus był pupilkim sowieckich historyków. Powstała na jego temat masa książek, wierszy...

... a każdy kibic sportowy zna różne spartakusy rozsiane po całej Rosji.

Tak, kluby im. Spartakusa były wszędzie. Kiedy po rewolucji zapadła decyzja, by zlikwidować imiona chrześcijańskie, przed każdym urzędem stanu cywilnego wydawano listę nowych imion, które partia i rząd rekomendują. Spartakus był na pierwszym miejscu, stał się w ten sposób prawdziwą ikoną. Po dziś dzień w Rosji, na Ukrainie i Białorusi wśród starszych ludzi jest bardzo wielu Spartakusów. Popularne były też jednak Elektryny i Wiły (skrót od Władimir Iljicz Lenin).

Jaka była wizja starożytności według historyków realizujących wytyczne Kremla?

Jeżeli chodzi o starożytność, to kluczowa była Grecja. W ZSRS tłumaczono, że najlepsze elementy cywilizacji greckiej przejęło Bizancjum, a stamtąd ten trzon zawędrował prosto do Moskwy. Dzięki temu Rosja nie była państwem, które znajdowało się – jak wskazywałyaby na to geografia – gdzieś na rubieżach znanego wówczas świata, ale była centrum cywilizacji! Mowa oczywiście o unikalnej cywilizacji rosyjskiej. Rosyjska cywilizacja wywodziła się z Grecji, a zachodnia z Rzymu – tak w czasach komunizmu przedstawiano korzenie tego wielkiego geopolitycznego konfliktu.

Komunizm miał być uniwersalistyczny, ale czerwona Moskwa nawiązywała do dawnej kultury i tradycji. Za Lenina było to nie do pomyślenia, ale już za Stalina jak najbardziej.

Lenin był przede wszystkim internacjonalistą. Za Lenina i przez ok. 10 lat po jego śmierci, dopóty, dopóki Stalin nie przejął pełni władzy, uważano, że komunizm w jednym kraju nie ma prawa zwyciężyć. Budowanie go w jednym tylko państwie było postrzegane jako coś, co nie dawało szans na przyszłość – imperialiści, kapitaliści okrzykliby go szczególnie i zadusili. Lenin twierdził, że trzeba wyjść z rewolucją na zewnątrz, nawet napisał pracę o Stanach Zjednoczonych Europy.



Michaił Pokrowski FOT. DOMENA PUBLICZNA

Stalin natomiast nie był już internacjonalistą w sensie ścisłym. Stwierdzał, że skoro eksport rewolucji jest tak trudny, to trzeba się skupić na własnym państwie. Na godłe ZSRS, aż do upadku komunizmu, widniało dumne hasło: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”. Do połowy lat 30. miało to jeszcze jakieś znaczenie,

ale później było to już kompletnie puste hasło. Stalin postawił na nacjonalizm, co faktycznie jest totalnie sprzeczne z komunistyczną ortodoksją. Zaczął budować bardzo pokreconą opowieść o historii Rosji.

W czasie drugiej wojny światowej Stalin-Gruzin stał się największym rosyjskim nacjonalistą. Historia była dla niego narzędziem prowadzenia polityki. Wygłoszony przez niego słynny toast brzmiał: „Wypijmy za najlepszy naród w Związku Sowieckim. Za naród rosyjski, który na swoich plecach uniósł cały ciężar drugiej wojny światowej”. Stalin doszedł do wniosku, że trzeba uprzywilejować Rosjan. Jeżeli za Lenina w rządzie było wielu Żydów, przedstawicieli innych mniejszości narodowych, w tym wielu Polaków, to za Stalina było to nie do pomyślenia. Rosjanie stanowili trzon władzy.

Jak wyglądało w praktyce to przejście od totalnego potępienia caratu do dostrzegania w nim dobrych stron?



Rosyjscy komuniści składają kwiaty przy grobie Stalina, Moskwa, 2009 r.

FOT. RIA NOVOSTI ARCHIVE, IMAGE #535278 / VLADIMIR FEDORENKO / CC-BY-SA 3.0

W Związku Sowieckim pierwszym partyjnym historykiem, który zwalczał tradycyjną rosyjską szkołę historyczną, był Michaił Pokrowski. On pierwszy powiedział, że historia to propaganda, tyle że działająca wstecz. To bardzo znana wypowiedź. Pokrowski opowiadał o Rosji carskiej jako o więzieniu narodów. W sowieckiej polityce historycznej było to pierwsze „przykazanie” – w każdym podręczniku było to wyraźnie wybite. Kiedy jednak Stalin zaczął iść w kierunku rosyjskiego nacjonalizmu, Pokrowski stał się wrogiem ludu... To był szok. Na szczęście dla niego samego zmarł w 1932 r., na początku tej nacjonalistycznej drogi. Nie można go więc było powiesić ani rozstrzelać. Niedługo później Stalin na dobre okrzepł u władzy i zaczął robić swoje „porządki”. A wtedy wszyscy ci, którzy byli uczniami Pokrowskiego, trafili do więzień i w efekcie stracili życie.

W jaki sposób nowa stalinowska szkoła historyczna opowiadała o czasach przedrewolucyjnych?

Rosja carska przyniosła na tereny podbite wyższą kulturę, edukowała narody. Gdyby nie Rosja, to nie wiadomo, co by

się z tymi narodami stało. Gdyby Kaukaz przypadł Turkom, a narody Azji Środkowej stały się koloniami brytyjskimi, spotkałaby je kulturowa zagłada – tak stanowiła nowa wykładnia historyczna. Stalin sam opowiadał, że naród rosyjski cywilizuje inne narody. Carat był oczywiście przedstawiany jako instytucja generalnie zła, ale niektórzy carowie byli pokazywani przez sowieckiego dyktatora jako dobrzy władcy, którzy pozytywnie przysłużyli się rosyjskiemu ludowi. Jednym z nich był m.in. Piotr I, który ucywilizował kraj i zaczął go rozwijać. Carya Katarzyna II również była uważana przez Stalina za mądrą władczynię, która rozwijała kulturę i naukę (założyła w Rosji Akademię Nauk). Stalinowscy historycy tłumaczyli, że gdyby Białorusini i Ukraińcy zostali pod polskim panowaniem, to zupełnie zatraciliby swoją tożsamość. A tak bracia Rosjanie ich uratowali.

Wspomniał pan, że pierestrojka była pod tym względem szokiem – nagle można było mówić prawdę nawet o najgorszych zbrodniach. Ciężko sobie nawet wyobrazić, jak wiele pracy trzeba było włożyć, żeby uratować historię jako naukę po tylu latach komunistycznych porządków.

Gorbaczow zaczynał pierestrojkę, mając nadzieję, że system uda się uratować, jeżeli pozwoli się po prostu na otwartość, która będzie dla społeczeństwa rodzajem wentyla. Gorbaczow prawdopodobnie chciał przeprowadzić wariant chiński. Okazało się jednak, że ZSRS to kompletnie inny kraj, zamieszkiwany przez 150 narodowości. I ta olbrzymia różnorodność go rozbiła od środka. Mimo wielkich nadziei i trwającej ponad dekadę wolności, gdy można było bez większych przeszkód pisać prawdę na temat historii, sytuacja wróciła do „normy”. Czy Rosja jest czerwona, czy prawosławna, tak jak dzisiaj, traktuje historię skrajnie instrumentalnie, jako jedno z narzędzi władzy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Mikołaj Iwanow – jest historykiem z Uniwersytetu Opolskiego, autorem wielu prac na temat historii Związku Sowieckiego. Jego najbardziej znaną książką jest „Zapomniane ludobójstwo. Polacy w państwie Stalina. »Operacja polska« 1937–1938”.



Tomasz Stańczyk

Sowiecka wersja o wymordowaniu polskich oficerów przez Niemców była podbudowana fałszerstwami dokumentów

Katyńskie kłamstwo Moskwy



Polsko-sowiecki układ z 30 lipca 1941 r. przewidywał „amnestię” dla polskich obywateli więzionych w Związku Sowieckim i stworzenie w tym kraju polskiej armii. Do ośrodka formowania armii przybywali niedawni więźniowie, łagiernicy i zesłańcy. Generał Władysław Anders, dowódca armii, szybko się zorientował, że wśród nich jest zaskakująco mało oficerów. Gdzie są więc pozostali? Pytania kierowane przez niego, a także przez ambasadę RP, do władz sowieckich na wszystkich szczeblach spotykały się początkowo z uspokajającym wyjaśnieniem, że z pewnością wszyscy się odnajdą. Był to początek kłamstwa katyńskiego.

W grudniu 1941 r. do Moskwy przyleciał na rozmowy ze Stalinem gen. Władysław Sikorski.

W spotkaniu brał także udział gen. Anders. Polski premier miał wówczas w ręku niekompletną, zestawioną z pamięci tych, którzy byli w trzech obozach, listę ok. 4 tys. oficerów. Powiedział Stalinowi, że nie ma ich ani w kraju, ani w niemieckich oflagach. „Ci ludzie znajdują się tutaj. Nikt z nich nie wrócił” – oświadczył Sikorski.

„To niemożliwe – powiedział Stalin. – Oni uciekli”. „Dokądże mogli uciec?” – spytał Anders. „No, do Mandżurii” – usłyszał. Zabrzmiło to absurdalnie. Gdy Anders powiedział, że są pogłoski o oficerach na Kołymie i Nowej Ziemi, Stalin stwierdził, że na pewno ich zwolniono, tylko jeszcze nie przybyli.

„W miarę, jak czas upływał – wspominał Anders – a nikt z zaginionych się nie odnalazł, początkowe zdziwienie zaczęło się zamieniać w niepokój [...]. Władze sowieckie nie udzieliły żadnej konkretnej odpowiedzi”.

Dlatego generał zaczął poszukiwania oficerów na własną rękę. Wyzначzył do tego zadania Józefa Czapskiego. Był jednym z zaledwie 79 oficerów z obozu w Starobielsku, którzy się odnaleźli. Czapski sądził, że pozostali oficerowie, także z obozów w Kozielsku i Ostaszkowie, są gdzieś w łagrach. Udał się więc do naczelnika GUŁagu, który oświadczył, że w podległych mu obozach nie ma polskich oficerów. Wizyta u gen. Leonida Rajchmana w centrali NKWD też nic nie dała. NKWD-zista powiedział, że polscy oficerowie to nie jego dział. Kłamał. „Ja wiem – wspominał Czapski – że gen. Rajchman od dawna prowadzi dział polski na Łubiance i że nie może nie wiedzieć, co się stało z 15 tysiącami jeńców wojennych”. Po kilku dniach Rajchman

FOT. DOWHENIA PUBLICZNA



Pomnik katyński w Warszawie

FOT. WIKIPEDIA/ALINA ZIENOWICZ

■ zadzwonił do Czapskiego. Powiedział, że materiały dotyczące jeńców zostały wysłane do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych i tam trzeba pytać o oficerów. „Odpowiadam generałowi – relacjonował Czapski – że nasz ambasador zwracał się do tych panów w tej sprawie już nie raz, a osiem razy”.

Bez odpowiedzi pozostawały interwencje ministra spraw zagranicznych Edwarda Raczyńskiego, ambasadorów Stanisława Kota i Tadeusza Romera.

Dopiero kiedy niemieckie radio podało 12 kwietnia 1943 r. informację o odkryciu w Lesie Katyńskim ciał rozstrzelanych oficerów, Moskwa wydała komunikat o tym, co się stało z polskimi jeńcami, choć prawie przez dwa lata odmawiała odpowiedzi. Oficerowie znajdowali się na robotach budowlanych, nie zdążono ich ewakuować na początku wojny z Niemcami i zginęli z ręki „katów faszystowskich”, gdy latem 1941 r. Armia Czerwona wycofała się z rejonu Smoleńska.

Stwierdzenie, że zostali zamordowani przez NKWD, Moskwa kwitowała słowami: „Niemieckie zbiry faszystowskie nie cofają się w tej swojej nowej potwornej bredni przed najbardziej łajdackim i podłym kłamstwem, za pomocą którego usiłują ukryć niesłychane zbrodnie, popełnione, jak to teraz widać jasno, przez nich samych”.

„POMOC HITLEROWSKIM PROWOKATOROM”

17 kwietnia 1943 r. polski rząd na uchodźstwie poinformował, że zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego

Krzyża o wysłanie misji do Katynia, by zbadała na miejscu stan rzeczy, a oznaczać to będzie „wyświetlenie sprawy i ustalenie odpowiedzialności”. Było to pierwsze oświadczenie polskich władz w sprawie zaginionych oficerów. Dotąd światowa opinia nie wiedziała nic o bezskutecznych próbach dowiedzenia się w Moskwie o losie Polaków.

Jan Karski, słynny emisariusz i historyk, uznał to długie milczenie polskiego rządu za ciężki błąd. Światowa opinia uznała, że polski rząd padł ofiarą niemieckiej propagandy. Moskwa natomiast stwierdziła, że zwrócenie się przez polski rząd do MCK o wyjaśnienie zbrodni w Katyniu to „bezpośrednia i jawna pomoc hitlerowskiemu prowokatorom”. Stalin twierdził w depeszach do Churchilla i Roosevelta, że między rządem gen. Sikorskiego a Hitlerem istnieje „kontakt i zмова w prowadzeniu tej wrogiej kampanii”.

Sowiecki dyktator uznał, że jest to znakomity moment, by zerwać stosunki dyplomatyczne z polskim rządem. Churchill – który z pewnością nie miał złudzeń, kto był sprawcą masakry katyńskiej – próbował odwiedzić Stalina od tej decyzji, argumentując, że skorzystają na tym Niemcy. „Propaganda niemiecka wymyśliła tę historię dokładnie po to, by spowodować wyłom w szeregach Narodów Zjednoczonych” – argumentował brytyjski premier. Sowiecki dyktator był nieugięty. Miał już w zanadru polskich komunistów, którym chciał powierzyć rządy w Polsce.

KOMISJA BURDENKI

Słowa o niemieckiej zbrodni w Katyniu Kreml postanowił wzmocnić „dowodami”. Gdy Sowieci zajęli tereny wokół Smoleńska, urządzono propagandowy spektakl. Najpierw postarano się o „świadków”. Zajmowała się tym komisja, której przewodniczył Wsiewołod Mierkułow, szef Ludowego Komisariatu Bezpieczeństwa Państwa, jeden z głównych odpowiedzialnych za zbrodnię katyńską, w 1940 r. zastępca Berii.

„O żadnych rozstrzelaniach w tym czasie [do czerwca 1941 r. – przyp. red.] nie słyszeliśmy” – „zeznała” Polka o nazwisku Czeknis. I nie była jedyna. Przesłuchiowano wielu „grzybiarzy”, którzy

rzekomo chodzili po Lesie Katyńskim, zanim pojawili się tam Niemcy. Co się stało z polskimi oficerami? Kobiety pracujące w willi zajętej przez niemieckich żołnierzy „zauważyły” ruch krytych ciężarówek, Niemców idących z bronią do lasu. Gdy wracali, „sposztrzęły” krew na mundurach niektórych z nich. „Z wszystkiego tego wysnułam wniosek, że Niemcy przywożą na dacie ludzi i ich rozstrzelali”.

Profesor Bazylewski, mianowany przez Niemców zastępcą burmistrza Smoleńska, „zeznał”, że rozmawiał z burmistrzem Mienszaginem o tym, co się stało z polskimi jeńcami. Mienszagin odpowiedział „z ociąganiem i żądając zachowania tajemnicy: Z nimi już skończono. Von Schwetz [wojskowy komendant miasta – przyp. red.] powiedział mi, że wszyscy zostali rozstrzelani, gdzieś tam niedaleko Smoleńska”.

W styczniu 1944 r. sowieckie biuro polityczne powołało komisję specjalną pod przewodnictwem prof. Nikołaja Burdenki. Komisja dokonała m.in. „odkrycia” przy jednych zwłokach modlitewnika z notatką datowaną na 4 kwietnia 1941 r., przy innych niewysłaną kartkę pocztową

datowaną na 20 czerwca 1941 r., list wysłany z Warszawy w grudniu 1940 r. i kilka innych dokumentów z datami późniejszymi niż kwiecień 1940 r. Sowieci zadbali o ściągnięcie do Katynia dziennikarzy z krajów alianckich, którym przedstawiono „świadków” niemieckiej zbrodni i umożliwiono rozmowy z „ekspertami” z komisji Burdenki. Pokazywano im kartkę pocztową z dnia 12 czerwca 1941 r. pisaną

przez polskiego oficera, spreparowano nawet „wzruszający list” Stanisława Kuczyńskiego do żony w Warszawie, oczywiście z 1941 r. Wskazywano, że nie udało się „niemieckim prowokatorom” usunąć rzekomego dowodu hitlerowskiej zbrodni – łusek od niemieckich naboju. Raport komisji Burdenki, zawierający także zeznania „świadków”, został opublikowany w wielu językach i był podstawowym orężem sowieckiej propagandy w kwestii zbrodni katyńskiej.

Kłamstwo katyńskie usiłowali Sowieci „zalegalizować” podczas procesu norymberskiego. Oskarżyli o dokonanie zbrodni sztab niemieckiego 537. Batalionu Robo-



FOT. DOMENA PUBLICZNA

czego dowodzonego przez płk. Arnesa. Przedstawili też świadka, bułgarskiego prof. Marko Markowa, który był jednym z ekspertów badających w 1943 r. groby katyńskie po ich odkryciu przez Niemców. Sterroryzowany profesor zeznał, że zwłoki nie leżały w ziemi przez trzy lata – co wskazywałoby na rok 1940 jako czas popełnienia zbrodni – lecz rok, półtora.

Przed trybunałem w Norymberdze – co było niemiłym zaskoczeniem dla sowieckich prokuratorów – stanął płk Friedrich Ahrens (nie Arnes, jak podawali Sowiet). Rzeczywiście niemiecka jednostka, 537, Pułk Łączności (a nie batalion roboczy), stacjonowała w lesie kатыńskim, oficerowie mieszkali w dawnej willi NKWD, lecz Ahrens objął dowództwo w listopadzie 1941 r., a więc dwa miesiące po dacie zbrodni, jaką przyjmowali sowieccy prokuratorzy (koniec sierpnia, początek września). Nie mieli lub nie próbowali przedstawiać „dowodów”, że niemieccy żołnierze pod dowództwem poprzednika Ahrensa rozstrzelali polskich oficerów.

W wyroku ogłoszonym przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Norymberdze oskarżenie Niemców o zbrodnię przeciwko polskim oficerom zostało całkowicie pominięte. Logiczna konkluzja brzmiała: skoro polskich oficerów nie zamordowali Niemcy, to zrobili to Sowietci. Jednak – jak pisał Adam Basak, autor książki „Historia pewnej mistyfikacji. Zbrodnia kатыńska przed Trybunałem Norymberskim” – trybunał ten przede wszystkim z przyczyn formalnoprawnych nie mógł wypowiadać się ani pośrednio, ani bezpośrednio o winie Rosjan.

CHATYŃ ZAMIAST KATYNIA

Moskwa nie była w stanie doprowadzić do zakazu mówienia o Katyniu w wolnym świecie, uciekała się więc do akcji dezinformacyjnej. Na terenie sowieckiej Białorusi znajdowała się wioska Chatyń. W 1943 r. oddział SS dowodzony przez Oskara Dirlewangera (późniejszego kata ludności Woli podczas powstania warszawskiego) wraz z batalionem policyjnym złożonym z kolaborantów-obywateli sowieckich, w odwecie za śmierć niemieckiego oficera zabitego przez komunistycznych partyzantów, dokonał zbrodni we wsi Chatyń, w której ci partyzanci się zatrzymywali. 149 mieszkańców, kobiety i dzieci także, zapędzono do stodoły, którą podpalamo.

W 1969 r. powstał w Chатыniu „memo-riał” – pomnik ku czci ofiar zbrodni niemieckiej. Chатыń, Kатыń – te nazwy brzmią

bardzo podobnie, po angielsku pisane są jako Khatyn i Katyn. Do Chatynia zapraszano delegacje zagraniczne. Składali tam kwiaty prezydent Richard Nixon i przewodniczący ONZ Javier Pérez de Cuéllar. Na Zachodzie natomiast sowiecka dyplomacja doprowadziła w latach 70. miniego wieku do tego, że pomnik kатыński nie stanął na jednej z ulic Londynu, lecz na cmentarzu, na przedmieściach.

W POLSCE LUDOWEJ

Gdy w 1951 r. zaczęła pracować komisja Kongresu Stanów Zjednoczonych do spraw zbadania zbrodni, w Polsce ukazała się książeczka Bolesława Wójcickiego, „Prawda o Katyniu”, zawierająca same kłamstwa. Po XX Zjeździe KPZR, który oznaczał koniec stalinizmu, Nikita Chruszczow miał zaproponować Władysławowi Gomułce ujawnienie prawdy o zbrodni kатыńskiej. Pierwszy sekretarz KC PZPR rzekomo odmówił w obawie przed wznieceniem antysowieckich nastrojów. Historycy jednak bardzo wątpią, by taka propozycja wyszła od sowieckiego przywódcy. Gomułka był publicznie pytany w przełomowym dla Polski roku 1956 o Kатыń. „Udzielał zawsze takich samych odpowiedzi: sprawę badali Niemcy i znaleźli przekonywujące dowody winy Związku Radzieckiego, potem badał ZSRR i znalazł przekonywujące dowody winy Niemców. I jest jeszcze stanowisko: racja stanu Polski, która wymaga, żeby na ten temat milczeć” – pisał Stanisław

Jaczyński w artykule „Zbrodnia kатыńska w świetle propagandy politycznej Polski Ludowej”. Gomułka mówił też, że nie może się wypowiadać o kwestii winy, gdyż w żadnej z komisji badających na miejscu mord kатыński nie brali udziału Polacy.

Sprawa zbrodni kатыńskiej została skazana na przemilczenie, a czuwała nad tym cenzura. Za negowanie kłamstwa kатыńskiego i mówienie o prawdziwych sprawcach zbrodni można było, szczególnie przed 1956 r., trafić do więzienia.

Oficjalna wersja o niemieckiej odpowiedzialności za wymordowanie oficerów obowiązywała przez wszystkie lata komunistycznej Polski. Gdy latem 1981 r. z inicjatywy społecznej stanął na Powązkach Wojskowych kamienny krzyż z datą 1940 r. i nazwami obozów, został po paru godzinach, w nocy, usunięty przez „nieznanych sprawców”. Na początku grudnia 1981 r. członkowie obywatelskiego komitetu podpisali akt erekcyjny pomnika kатыńskiego, lecz wprowadzony kilka dni później stan wojenny przekreślił możliwość jego realizacji. Natomiast w 1985 r. stanął na Powązkach Wojskowych pomnik upamiętniający oficerów z Katynia jako ofiary niemieckiego faszyzmu. Dopiero w kwietniu 1990 r. Moskwa przyznała, że mord był dziełem NKWD, ale – co charakterystyczne – spośród osób bezpośrednio odpowiedzialnych za zbrodnię wykluczała Stalina. Padły tylko dwa nazwiska: Berii i Mierkułowa.



Obrona ławy Troicko-Siergiejewskiej przed Polakami (1610 r.), obraz Siergieja Miłoradowicza FOT. WIKIPEDIA

Dziesięć wieków rywalizacji



Maciej Pieczyński

Polska od tysiąca lat była dla Rosji politycznym i religijnym wrogiem, rywalem, którego należało unicestwić. Była też jednak „oknem na świat”. Oto jak polityka historyczna Kremla opowiada o dziejach polsko-rosyjskich do pierwszej wojny światowej

Wszystko zaczęło się od sporu granicznego. „Poszedł Włodzimierz ku Lachom i zajął grody ich: Przemyśl, Czerwień i inne grody, które do dziś dnia są pod Rusią” – to wydarzenie pod rokiem 981 odnotował Nestor, mnich monasteru pieczerskiego, na kartach „Powieści lat minionych”, najważniejszego latopisu (kroniki) w dziejach Rusi Kijowskiej. Zapis pochodzi z początku XII w. Wychodzi

więc na to, że pierwszym aktem w dziejach relacji polsko-rosyjskich był konflikt Gniezna z Kijowem o Przemyśl.

Książę Włodzimierz, który zajął Grody Czerwieńskie, znaczy dla Rosjan, Ukraińców i Białorusinów tyle, co dla nas Mieszko I. Te trzy narody wyrosły z jednego korzenia Rusi Kijowskiej. Przyjęta oficjalnie przez Włodzimierza, 12 lat po chrzcie Polski, prawosławna wiara jest do dziś mocnym kulturowym spoiwem łączącym wschodnich Słowian. Wykorzystywanym przez najsilniejszy z tych narodów do prób dominacji nad pozostałymi. Nieprzypadkowo rok po aneksji Krymu Władimir Putin postawił w centrum Moskwy pomnik swojemu wielkiemu imiennikowi. Kijów to „macierz grodów ruskich”. Bez Ukrainy Rosja nie może być regionalnym, wschodniosłowiańskim mocarstwem. Bez nawiązania do Włodzimierzowego chrztu (przyjętego reszta, według jednej z legend, na Krymie) Moskwa nie może być „Trzecim Rzymem”, „katechonem”, centrum moralnego odrodzenia w prawosławiu. Dlatego rosyjska polityka historyczna dąży do uzasadnienia prób uzależnienia Ukrainy

od Kremla, dowodząc na podstawie historii, że przecież Ukraińcy i Rosjanie to jeden naród, a ich „braterstwo” przypieczętowała uгода perejasławska Chmielnickiego z carem Aleksym.

Relacje piastowskiej Polski z Rusią Kijowską miały inny wyraz i inny charakter niż późniejsza geopolityczna wojna na śmierć i życie między Rzeczpospolitą a Moskwą czy Petersburgiem. Wczesne średniowiecze nie знаło jeszcze temperatury ideologicznych religijnych konfliktów wieków późniejszych. Pomimo wielkiej schizmy, przypadającej akurat na pierwsze dziesięciolecia obu państw, ostrość sporu między zachodnim a wschodnim chrześcijaństwem nie wpływała jeszcze tak mocno na wzajemne stosunki. Jak to w średniowieczu konflikty zbrojne między sąsiadami przeplatały się z, brzemiennymi w polityczne skutki, dynastycznymi koligacjami.

Już wówczas wyraźnie były, tak odmienne w obu przypadkach, konsekwencje wyborów cywilizacyjnych dokonanych przez Mieszka i przez Włodzimierza. Przyjęcie chrztu w obrządku łacińskim oznaczało nie tylko wejście do

świata Zachodu, lecz także wyrzeczenie się do pewnego stopnia słowiańskiej tożsamości. Język liturgii był językiem kultury. Nic zatem dziwnego, że dopiero w XVI w. okazało się, „iż Polacy nie gęsi”. Ruś była w tej uprzywilejowanej sytuacji, że językiem liturgicznym wiary, którą przyjęto, nie była dominująca w samym Bizancjum greka, ale język starocerkiewno-słowiański, oparty na jednym z dialektów bułgarsko-macedońskich. Język zrozumiały dla Słowian, dość podobny do staroruskiego, z którym zresztą dość szybko zaczął się mieszać pod piórem pierwszych kijowskich pisarzy. Tym samym Ruś zyskała, w porównaniu z Polską, kulturową samodzielność. Fakt ten jest w rosyjskiej narracji na temat przeszłości niezwykle mocno podkreślany. Z perspektywy kremłowskiej propagandy historycznej Polska jest jedynie „podnóżkiem Zachodu”, mało oryginalnym elementem europejskiej cywilizacji, podczas gdy Rosja jest suwerenną, także pod względem kulturowym, potęgą.

JARZMO CZY ZALEŻNOŚĆ

Rusi, podobnie jak Polski, dotyka choroba polityczna rozbicia feudalnego. Jak zwykle w podobnych przypadkach podzielone państwo nie jest w stanie skutecznie bronić się przed agresją z zewnątrz. W latach 1237–1241 Ruś zostaje zalana przez nawałę tatarsko-mongolską. Rozpoczyna się ponad dwuwiekowy okres niewoli (co ciekawe, dziś, z uwagi na zwrot Moskwy w kierunku ideologii eurazjatyizmu, Tatarzy oceniani są stosunkowo pozytywnie – mówi się o „zależności”, a nie o „jarzmie”). Nie dla wszystkich jednak ziem ruskich. Tatarzy doszli aż pod Legnicę. Nie podporządkowali sobie jednak zachodnich krańców dawnej Rusi Kijowskiej. Przed mongolskim jarzmem uchroniło się księstwo halicko-wołyńskie, czyli współczesna Ukraina Zachodnia. Symboliczny dla dalszych losów tych terenów jest fakt, że książę Danił, który próbował namówić Zachód do antytatarskiej krucjaty, jako jedyny władca w historii Rusi otrzymał od papieża koronę królewską.

Podczas gdy w XIV w. późniejsza Ukraina Zachodnia znalazła się w rękach polskich, na ziemiach, które dziś należą do Białorusi, powstało jedno z największych państw ówczesnej Europy – Wielkie Księstwo Litewskie. Nazwa jest myląca. Etniczni Litwini, jako poganie, stali wówczas na niskim poziomie

cywilizacyjnym – dość napisać, że język litewski pojawił się na piśmie dopiero w XVI w. Co innego Ruś – chrześcijańska, a więc piśmienna już od X w. Państwo to powstało z połączenia litewskiej wojowniczości i ruskiej kultury. Tymczasem na wschodzie mongolskie jarzmo zrzucili książęta moskiewscy, na gruzach azjatyckiego imperium budując swoje własne. Dzisiaj Litwa ma w Rosji równie złą prasę co Polska – małe państewko na granicy pomiędzy Wschodem a Zachodem, aspirujące do roli „psa łańcuchowego”, na komendę Zachodu kásającego Wschód. Ten stereotyp jest szczególnie często powielany dziś, gdy Wilno ramie w ramie z Warszawą wspiera anty-Łukaszewską opozycję. Rosyjska polityka historyczna kreuje wizję, w myśl której właśnie odbudowuje się dawna Rzeczpospolita, w której (Biało)Rusini będą uciskani przez złych Polaków i złych Litwinów.



„Bolesław Chrobry ze Świętoplekiem przy Złotej Bramie w Kijowie”, obraz Jana Matejki z 1884 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Od samego początku, czyli od drugiej połowy XV w., władcom Moskwy przyświecały dwie wielkie idee, które w nieunikniony sposób musiały prowadzić do konfrontacji z Zachodem, czyli z Litwą, a następnie z Polską. Po pierwsze, koncepcja „zbierania ziem ruskich”. Z tej perspektywy Moskwa była prawowitym następcą i dziedzicem dawnego Kijowa.

Drugą ideą była teoria „trzech Rzymów”, wysunięta przez pskowskiego mnicha Filoteusza. Pierwszy Rzym, starożytny, upadł w 476 r. Drugi – Bizancjum, jedyny prawowity „Rzym chrześci-

jański” – upadł w 1453 r., podbity przez islamskich Turków. Zdobywcie Konstantynopola interpretowano jako karę za grzech odstępstwa od wiary prawosławnej. W 1439 r. Bizancjum zgodziło się bowiem na unię florencką, zdradziecko uznając zwierzchność papieża. Cyrograf, podpisany z „łacinnikami”, nie pomógł heretykom. Pozostaje trzeci Rzym – Moskwa, która zresztą, jako jedyne prawosławne państwo, „zdrady florenckiej” nie uznała. Dlatego też, rosnąc w siłę polityczną, Ruś Moskiewska zyskała dodatkową sankcję moralną, ideologiczną, duchową – obrońcy prawosławia.

W XVI w., im bliższy staje się związek Polski z Litwą, tym bardziej realne staje się zagrożenie ze strony Moskwy. Pierwsze bezpośrednie starcie to wojny z Iwanem Groźnym o Inflanty. Pierwszy, uznany oficjalnie przez – pisząc językiem współczesnym – społeczność międzynarodową car Wszechrusi próbował nawet zostać wsłuskim królem podczas pierwszej wolnej elekcji. Dwa wieki mongolskiego jarzma sprawiły, że Moskwa, oderwana od cywilizacji zarówno łacińskiej, jak i bizantyjskiej, uformowała się jako wyizolowana, kulturowa, „oblężona twierdza”, odporna na wpływy z zewnątrz. Do dziś zresztą pokutuje ten autostereotyp. Rosja jest wręcz dumna ze swojej odrębności od Zachodu – polityka historyczna Kremla akcentuje te wątki z przeszłości, które pasują do izolacjonistycznej mentalności. Rosja szczyci się swoim wyjątkowym położeniem między Europą a Azją. Także tradycyjne zamiłowanie do rządów silnej ręki zazwyczaj tłumaczone jest doświadczeniem mongolskiej niewoli. Jak jednak zauważa wybitny mediewista Igor Danilewski, tak naprawdę despotyczne ciągoty cechowały książąt włodzimierskich (i ich potomków moskiewskich) jeszcze przed przybyciem Tatarów. Zwierzchność chana sprawiała jedynie, że ponad władzą miejscowego, ruskiego despoty stał jeszcze jeden despota – tyle że tatarski.

Moskwa nie przeżyła sekularyzacji, renesansu ani reformacji, a średniowiecze trwało tam właściwie aż do końca XVII w. Jednak, nieśmiało jeszcze i głównie militarne, kontakty nawiązane za pierwszego cara z państwem polsko-litewskim sprawiły, że pewne elementy kultury Zachodu zaczęły na Ruś Moskiewską przenikać. Dlatego też obradujący w połowie XVI w. tzw. sobór stogławy poczuł się w obowiązku zaka-



Branka Polaków do armii rosyjskiej w 1863 r., obraz Aleksandra Sochaczewskiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ zać niecných, cudzoziemskich praktyk, takich jak golenie bród.

OKUPACJA KREMLA

Prawdziwa ekspansja polskości zaczęła się w XVII w. To stulecie dla wzajemnych relacji przełomowe – apogeum przewagi „Lacha” nad „Rossem”. Przewagi najpierw politycznej, następnie zaś kulturowej. Szczycimy się, że Polacy jako jedyni w historii zdobyli i utrzymali na dłużej Moskwę. Rosjanie z kolei wspominają, jak niebezpieczna dla ich państwowości była interwencja polska w czasach wielkiej smuty. Okupacja Kremla postrzegana jest jako jedna z pierwszych agresji Zachodu na Rosję.

„Polski naród usługi mi okazał, Rosja zaś niegodna jest mojej łaski, skoro papieskiej wielmożności nie chce się poddać [...]. Rosyjskim narodem gardzę ze swego tronu, i władzę tyrańską rozciągam nad nim niewolą [...]. Panując tutaj, tym się rozweselałem, że Rossom zsyłkę, kaźń i śmierć przynoszę” – ten demoniczny monolog wygłasza Dymitr Samozwaniec ze sceny jako tytułowy, negatywny bohater sztuki wybitnego XVIII-wiecznego pisarza rosyjskiego, Aleksandra Sumarokowa.

Uzurpator ciągnie swoich Bogu ducha winnych rodaków pod „jarzmo papieństwa”. W bogatej twórczości literackiej, opiewającej temat wielkiej smuty, bardzo wyraźny jest nie tylko patriotyczny kontekst obrony przed agresją, lecz także religijny kontekst obrony przed katolicyzacją. To właśnie w tym okresie Polska

staje się w rosyjskiej świadomości już nie tylko rywalem geopolitycznym, lecz także wrogiem duchowym, który chce odebrać ziemię i zniewolić dusze.

Ostatecznie Polaków z Kremla przegoniło pospolite ruszenie, zebrane wspólnymi siłami kupca Minina i księcia Pożarskiego, których pomnik po dziś dzień stoi na pl. Czerwonym – pamięć o ludowym, oddolnym buncie przeciwko zachodniemu najeźdźcy stała się ważnym składnikiem rosyjskiej, a później nawet sowieckiej, tożsamości narodowej. Najważniejszym hasłem, pod jakim „lud rosyjski” rzucił się do walki, było hasło obrony wiary prawosławnej. Ciekawym przykładem, jakie miejsce zajmują wielka smuta i polska okupacja Kremla w rosyjskiej pamięci historycznej, jest film Władimira Chotininienki „Rok 1612”, nakręcony w 2007 r. Polacy są w nim przedstawieni jako krwiożerczy najeźdźcy, pozbawieni jakichkolwiek pozytywnych cech. Przypominają wręcz esesmanów z PRL-owskich filmów historycznych.

Wiek XVII to też jednak wiek „mody na polskość” na carskim dworze. Gdy minęły czasy smuty, a na tronie umocniła się nowa dynastia Romanowów, Moskwa przeszła do ofensywy na Zachodzie. Zbuntowani Kozacy Bohdana Chmielnickiego, po wielu latach wojny z Polską, ostatecznie uznali zwierzchność cara Aleksego Michajłowicza. Tutaj też rozstrzygająca była kwestia wspólnoty nie tyle etnicznej, ile religijnej – Moskwa dawała gwarancję obrony prawosławia

przed propagandą „łacinników”. Ówczesna Ukraina była już jednak kulturowo mocno spolonizowana, co dla Rosji stanowiło ogromne wyzwanie.

Elity moskiewskie doskonale zdawały sobie sprawę z wyższości cywilizacyjnej zachodniego sąsiada. Niezależnie od lęku przed wpływem „papiestwa” XVII-wieczna Rosja zachłysnęła się polską kulturą, za której pośrednictwem mogła poznać też kulturę dalszego Zachodu, bo to właśnie głównie w polskim przekładzie docierały na moskiewską Ruś dzieła literatury europejskiej. Moskwa nadrabiała cywilizacyjne zaległości, poprzez spolonizowaną Ukrainę poznając zachodnie osiągnięcia renesansu i baroku. Biskup czernihowski, Łazar Baranowicz, dwa swoje dzieła wydane po polsku zadedykował synom cara Aleksego.

To właśnie w tym czasie, na podstawie polskich wzorców, pod piórem funkcjonującego na styku polskiej i rosyjskiej kultury mnicha Symeona z Połocka narodziła się nowoczesna poezja rosyjska. W przedmowie wydania swojej wersji „Psałterza Dawidowego” wprost przyznał, że właściwie to kopiował polski wariant „Psałterza”. Moskiewskie elity dobrze znały język zachodniego wroga. Pierwsza moskiewska uczelnia, Akademia Słowiańsko-Grecko-Łacińska, powstała na wzór zachodni. Nauczano w niej języka polskiego na równi z łaciną i greką, co o tyle znamienne, że uczelnia ta miała stać na straży tradycji prawosławnej, przeciwstawiając się penetracji „łacinników”. Wrogość do katolicyzmu

łączyła się więc z przywiązaniem do polskiej, wyższej kultury. O tym jednak można się dowiedzieć głównie z polskich podręczników (także tych wydawanych w głębokim PRL). Rosyjska narracja na temat wzajemnych stosunków raczej pomija te ich momenty, w których to Polska była na wyższym niż Rosja poziomie cywilizacji.

Wszystko zmieniło się, gdy tron objął Piotr Wielki. Mając obsesję na punkcie europeizacji Rosji, szukał wzorców zachodniej cywilizacji dalej – w Niemczech, Holandii. Jego następczynię już otworzyły szeroko drzwi modzie na to, co francuskie. W XVIII w. Polska stała się w świadomości Rosjan „czarną dziurą zacofania”, katolicyzmu, niepoddającego się oświeceniowej sekularyzacji, rozsądnikiem wirusa patriotyzmu. Rosja, przyjmując zachodnią nazwę „Imperium”, zgodnie z zachodnimi tendencjami szermowała hasłem zanoszenia kaganka oświaty niższym cywilizacyjnie ludom, za którego pomocą trudno jednak było uzasadnić podbój Polski, choć próby takie były – w końcu stłumienie konfederacji barskiej tłumaczono właśnie koniecznością „obrony tolerancji religijnej” wobec rzekomo uciśnionych prawosławnych.

POLSKA JAK GRECJA

„Przywróciłam to, co odebrane” – ostatecznie tak Katarzyna Wielka uzasadniła rozbiory Polski. Zajęcie ziem wschodnich miało być końcowym etapem „zbierania ziem ruskich”. Ta narracja nie zmieniła się do dziś. Rozbiory Polski wciąż są traktowane jako sprawiedliwość dziejowa, dzięki której prawosławni bracia Rusini mogli powrócić na ojczyznę łono.

W efekcie wojen napoleońskich zabór poszerzył się o centralną Polskę. Królestwo Polskie było wyrazem zrozumienia Petersburga dla odrębności zachodniego wroga. Rosjanie już wówczas wiedzieli, że jeśli chcą (a chcą!) panować nad Wisłą, to muszą pozostawić Polakom jakąś iluzję samodzielności. Wielu zresztą polskich działaczy zaczęło współpracę z zaborcą, licząc na to, że wciąż stojąca cywilizacyjnie wyżej Polska stanie się dla imperium tym, czym była Grecja dla Rzymu – niesamodzielna, ale kwitnąca enklawą kulturową.

Ostatecznie jednak ten eksperyment się nie powiódł. Jak zauważa prof. Andrzej Nowak, w rosyjskich elitach zwyciężyła antypolska pozycja Nikołaja Karamzina,

pisarza i historyka, który uważał całkowity upadek Polski za przesądzony, nieodwracalny i korzystny dla Rosji. „Buntowniczy i nieszczęśliwy” Polacy, utraciwszy swe imię, znaleźli pokój pod władzą sprzymierzonych mocarstw. Zbuntowali się jednak jeszcze nieraz, nie znajdując zrozumienia nie tylko wśród elity przywódczej (co zrozumiałe) czy prawosławnych konserwatystów (którzy, tak jak Dostojewski, uważali katolicyzm i jego polską forpocztę za wielkie zagrożenie dla rosyjskiego ducha), lecz także wśród liberalnej czy socjalistycznej (rosnących w siłę rewolucyjnych demokratów) opozycji.

Dla tych ostatnich Polacy byli pożyteczni jedynie do walki z caratem, do walki klasowej. Wyrazicielem poglądów, dominujących wśród liberałów, był, uważany za najwybitniejszego rosyjskiego poetę w dziejach, Aleksander Puszkina. Historycy literatury, przedstawiając jego dorobek, zazwyczaj mało uwagi poświęcają „antypolskiej trylogii”, opiewającej zwycięstwo caratu nad powstańcami listopadowymi. „Przybywaj! Zwiąż Cię, święta Ruś! Przybywaj, tłumie obcych gości!... Lecz Polska nie powiedzie was: musicie przejść dziś przez jej kości” – pisał wieszcz w wierszu „Rocznica Borodina”, z radością stwierdzając, że „zmiażdżony bunt przycichł”, a Suworow, kat Pragi (o rzezi jej mieszkańców Puszkina nie wspomina), może być dumny ze swoich następców.

PUSZKIN; ROSJA MUSI BYĆ IMPERIUM

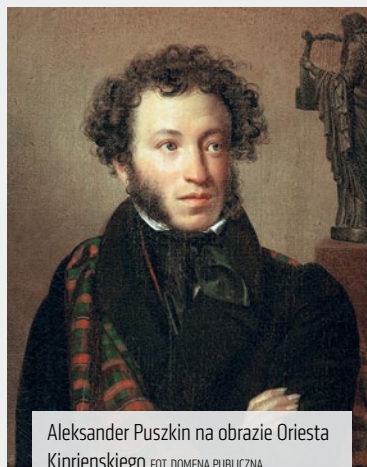
Z kolei w wierszu „Oszczercom Rosji” poeta atakuje zachodnią opinię publiczną za to, że stanęła ona po stronie powstańców, mieszając się tym samym w wewnętrzne sprawy Petersburga: „To Słowian spór, rodzinny spór domowy [...] przesądził dawno los tę starą waśń”. „Sporem domowym”, choć niekoniecznie powołując się wprost na Puszkina, Kreml tłumaczy dziś logikę procesów na obszarze postsowieckim. Dziś „oszczercami Rosji” są zachodni politycy, krytykujący Rosję za działania na Ukrainie czy za próbę podporządkowania Białorusi.

Punkt widzenia Puszkina jest jasny: Polska i Rosja od wieków toczą ze sobą wojny – raz wygrywał „dufny Lach”, innym razem „wierny Ross”. Już samo to przeciwstawienie wiele mówi – Polak od niemal zawsze kojarzy się z dumą, honorem, butą i arogancją, które są zbyt wybujałe jak na prawdziwe jego możliwości, Rosjanie zaś sami siebie widzą jako wiernych synów prawdziwej wiary, której bronią przed zachodnim zepsuciem. Tak czy inaczej ten spór ostatecznie został rozstrzygnięty na korzyść „wiernego Rossa”. Puszkina stawia też alternatywę – albo „się słowiańskie rzeki w rosyjskie

wleją morze”, albo ono „wyschnie”. Rosja musi więc być imperium, żeby istnieć. Wciąż jest to żywe przekonanie na Kremlu, tyle tylko, że „słowiańskie rzeki” zostały zastąpione „wschodniosłowiańskimi rzekami” – Rosja potrzebuje Ukrainy i Białorusi, by być imperium, Polski już niekoniecznie. Polska to rywal, nie potencjalna strefa wpływów.

Temat rosyjskiego morza, zasilanego

słowiańskimi rzekami, był szczególnie aktualny w wieku XIX, gdy w elitach imperium toczył się spór pomiędzy prozachodnimi liberałami a konserwatystami – dominowali ci ostatni, używając słowiańskiej jedności jako argumentu jeszcze zręczniejszego niż zbieranie ziem ruskich. W ten sposób można było uzasadnić również podbój innych niż ruskie słowiańskich ziem. Polacy jednak tej perspektywy przyjąć nie chcieli. Podczas Kongresu Panslawistycznego w 1867 r. inny wybitny poeta rosyjski, Fiodor Tiutczew, orientacji o wiele bardziej konserwatywnej niż Puszkina, wygłosił słynny wiersz „Do Słowian”, którego wymowa ideowa dobrze oddawała stosunek do „kwestii polskiej”, dominujący aż do upadku caratu. Polskę nazwał w nim „Judaszem Słowiańszczyzny”. W tej sprawie niewiele się zmieniło. Wciąż pokutuje w rosyjskiej świadomości żal do Polaków za to, że zdradzili Moskwę, że sprzedali się Zachodowi. A raczej nie tyle żal, ile niezadowolenie, że Polacy nie czują już tej „jedności plemiennej” z Rusią co tysiąc lat temu.



Aleksander Puszkina na obrazie Oriesta Kiprienskiego. FOT. DOMENA PUBLICZNA



Maciej Pieczyński

Oblężona twierdza, która od wieków broni się przed agresją Zachodu. A jednocześnie pogromca Hitlera, co samo w sobie zasługuje na aureolę świętości. Tak wygląda przeszłość Rosji z perspektywy kremlowskiej polityki historycznej

Sakralna metaforyka jest tu w pełni uzasadniona. Rosja, odizolowana od świata zachodniego, nie przeszła szkoły renesansu, sekularyzacji, humanizmu, a racjonalizm dotarł tam w powierzchownej, zinstrumentalizowanej formie w dobie oświeceniowego otwarcia na Europę Zachodnią i nigdy się zbyt głęboko nie zakorzenił. Nawet sowiecki komunizm, szczególnie w epoce Stalina, przypominał religię, ze swoim kultem jednostki wodza, nieprzypadkowo nazywanego „czerwonym carem” – prawosławny Bóg został tylko zastąpiony bożkiem komunizmu.

Pamięć historyczna Rosjan, szczególnie ta oficjalnie krzewiona przez władze, nie jest przedmiotem analizy ani rozliczeń, lecz kultu właśnie. Tyle że jest to bardzo synkretyczna religia. Wśród „świętych” rosyjskiej historii, obok czerwonoarmistów zdobywających Berlin, a także coraz śmielej stawianego na (na razie) mentalnym cokole Stalina jest zamordowany przez komunistów car Mikołaj II, są przywódcy ludowego buntu przeciw Polakom na Kremlu Minin i Pożarski, pogromcy Napoleona, Szwedów, Niemców... Wrogów Rosji, prawdziwych i wyimaginowanych, łączy jedno – są przedstawicielami Zachodu, albo katolickiego, albo protestanckiego, albo laickiego. Ale Zachodu nieprawosławnego.

Nieprzypadkowo jedna z najpopularniejszych pieśni Chóru Aleksandrowa, napisanych ku pokrzepieniu serc czerwonoarmistów jadących na front walki z hitlerowskimi Niemcami, nosi tytuł „Święta wojna”. Wśród określony jest jako „faszystowska ciemna siła”, co też wywołuje religijne skojarzenia. Wielka wojna ojczyzniana to oczywiście najważniejszy temat rosyjskiej polityki historycznej, ale też najgłębiej i najbardziej autentycznie



Parada wojskowa na pl. Czerwonym w 70. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej. FOT. KREMLIN.RU

przeżywane wydarzenie w świadomości zwykłych Rosjan. Uogólniając, można powiedzieć, że dziadkowie połowy z nich byli ofiarami sowieckiego terroru. Jednak już druga połowa może się poszczycić dziadkiem, który pod czerwonym sztandarem zdobywał Berlin, zasługując na miano bohatera walk z faszyzmem. Często był to nawet ten sam dziadek...

Władimir Sołowjow, kremlowski propagandysta, gwiazda państwowej telewizji, spierając się na antenie z ukraińskim dziennikarzem o sowiecką przeszłość, zapewnił, że jest dumny ze swojego dziadka, który zginął w 1943 r., walcząc w szeregach batalionu karnego, a za swoje bohaterstwo został uniewinniony... „I za to mam nienawidzić władzę sowiecką?” – pytał retorycznie Sołowjow. Jego stosunek do ZSRS jest dość reprezentatywny dla proputinowskiej większości rosyjskiego społeczeństwa. Pogląd ten można streścić następują-

co: stalinowskie represje nie są żadną tajemnicą, są godne potępienia, ale to nie zmienia faktu, że to właśnie państwo Stalina pokonało największe zło w historii świata, czyli reżim Hitlera. O jakimkolwiek moralnym zrównaniu tych dwóch dyktatorów nie może być mowy. I to nie tylko z uwagi na państwową propagandę, pielęgnującą pamięć o 9 maja. Taka symetria win automatycznie obniżyłaby wartość krwi przelanej przez wspomnianych już dziadków, których wnukowie wolą pamiętać udział w koalicji antyhitlerowskiej niż sowiecki terror...

„NIEŚMIERTELNY PUŁK”

Jedną z najbardziej oryginalnych form świętowania Dnia Zwycięstwa powstała na gruncie oddolnej inicjatywy. W 2011 r. trzej lokalni dziennikarze z prowincjonalnego Tomska postanowili zorganizować 9 maja marsz, którego uczestnicy nieśli by w milczeniu portrety swoich krewnych,



walczących w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Dziś „nieśmiertelny pułk” stał się akcją ogólnokrajową, mocno popieraną przez władzę. Ulicami Moskwy z portretem dziadka maszeruje sam Putin. „Naród sowiecki położył kres koszmarowi Holocaustu, ocalił świat przed faszyzmem. Nie możemy sobie nawet wyobrazić, co by się stało ze światem, gdyby nie Armia Czerwona” – tymi słowami Putin przemawiał podczas tegorocznych uroczystości rocznicowych, z powodu pandemii wyjątkowo zorganizowanych nie 9 maja, ale pod koniec czerwca.

Rosyjski prezydent stwierdził, że „żołnierzom sowieckim nie była potrzebna ani wojna, ani inne kraje, ani sława, ani zaszczyty. Oni chcieli dobić wroga, odnieść zwycięstwo i wrócić do domu. I zapłacili za wolność Europy ogromną cenę”. Oczywiście w oficjalnej retoryce Kremla nie ma miejsca na uznanie faktu, że „wolność od faszyzmu” przyniosła połowie Europy ko-

munistyczną niewolę. Pod tym względem oficjalna retoryka Kremla niewiele się różni od sowieckiej propagandy.

Jest jednak wciąż granica, której władza nie przekroczyła – w panteonie oficjalnie popieranych przez Kreml bohaterów narodowych nadal nie ma Stalina. Jest jednak w podtekście. I pośrednio, na sztandarach akolitów Kremla. „Stalin jest idolem historii Rosji, niedoścignionym wodzem. Dał nam wspaniałe państwo, wyciągnął cywilizację rosyjską z przepaści, do której stoczyła się po upadku Romanowów” – to opinia Aleksandra Załdostanowa „Chirurg”, lidera motocyklowej grupy Nocne Wilki, osobistego przyjaciela Putina. Nocne Wilki to typowa dla postsowieckiej Rosji czerwono-brunatna mieszanka szowinizmu, imperializmu i uwielbienia dla czynu zbrojnego Armii Czerwonej. Dla ludzi o tego typu zestawie poglądów represje stalinowskie są kwestią drugorzędną. Nawet oni jednak

generalnie nie kwestionują okrucieństw „czerwonego cara”.

Bardzo wyrazisty obraz zmian w oddolnej, społecznej pamięci historycznej Rosjan dają wyniki badań socjologicznych, prowadzonych przez niezależne Centrum Lewady. Szczególnie te przeprowadzone w 2016 r., a więc dwa lata po aneksji Krymu i wybuchu wojny w Donbasie. 76 proc. respondentów uznało wówczas, że Rosjanie powinni być dumni ze swoich imperialnych zdobyczy, a konkretnie – z ziem podbijanych od XV w., włączając w to także Polskę i Finlandię. Tylko 3 proc. uznało, że podboje to powód do wstydu. Te same 3 proc. wstydziło się sowieckiej przeszłości oraz aneksji Krymu. Okres stalinowski przyniósł Rosji więcej dobrego niż złego – z tą tezę zgodziło się aż 40 proc. pytanym. Dla porównania trzy lata po rozpadzie ZSRS, kiedy wciąż jeszcze żywy był patos rozliczeń z poprzednim systemem, podobne przekonanie wyraziło jedynie 18 proc. Dwa lata przed wybuchem wojny na Ukrainie odsetek ten wynosił 27 proc. Jeszcze wyżej oceniany jest sam Stalin – w 2016 r. aż 56 proc. pytanym określiło go mianem postaci, która odegrała pozytywną rolę w historii. W kolejnych badaniach średnio jedna czwarta respondentów skłonna jest usprawiedliwiać stalinowskie represje polityczną koniecznością. O wiele gorzej postrzegani są liderzy, kojarzeni z demokracją i liberalizacją – Michaił Gorbaczow i Borys Jelcyn. Oskarżani są o doprowadzenie do upadku Związku Sowieckiego.

Sentyment do ZSRS wcale jednak nie oznacza tęsknoty za komunizmem. Rosjanie najzwyczajniej chcą być znów imperium. Nieważne – białym czy czerwonym. Celem jest odbudowa potęgi w polityce zagranicznej. Do tego zaś potrzebne są pozytywne wzorce w pamięci narodowej, mity, do których można się odwoływać. „Zwycięstwo nad faszyzmem” idealnie się do tego nadaje, jako największy w dziejach sukces rosyjskiego oręza. Kult tego wydarzenia absolutnie nie stoi jednak w sprzeczności z kultem imperium carów.

AŻ PO BUG

Całe dzieje Rosji, od XV-wiecznych początków Wielkiego Księstwa Moskiewskiego do prezydentury Putina, to jedno wielkie pasmo podbojów, uzasadnianych a to ochroną prawosławia („Moskwa – Trzeci Rzym”), a to ideą zbierania



Chrzest kijowian. Obraz Kławdija Lebediewa FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ ziem ruskich. Tyle że współczesna polityka historyczna Kremla, czerpiąca z bogatych wzorców propagandowych, wypracowywanych na przestrzeni wieków przez kolejnych władców, nie zna pojęcia „podboju”. Rosja zawsze odbierała sąsiadom tylko to, co jej się „uczciwie należało”. Na zachodzie „należne” Rosji ziemie niezmiennie sięgają rzeki Bug, obejmują bowiem cały obszar historycznie zajmowany przez narody wschodniej Słowiańszczyzny.

Białorusini i Ukraińcy niezmiennie traktowani są jako część jednego wielkiego narodu rosyjskiego. Mają prawo do lokalnej specyfiki kulturowej, ale już niekoniecznie do własnego języka, a już na pewno nie do niezależności geopolitycznej. Za każdym razem, gdy Polska próbuje czy to Ukrainę, czy to Białoruś wciągnąć w orbitę wpływów Zachodu, rosyjskie media starają się przekonać swoich „młodszych braci”, że Warszawa chce ich ponownie skolonizować. Ponownie, bo z perspektywy Moskwy Rzeczpospolita była kolonialnym państwem imperialnym, takim samym jak Rosja. Oba mocarstwa walczyły ze sobą o – używając modnego dziś określenia – „pomost bałtycko-czarnomorski”, aż w pewnym momencie zwyciężyło jedno z nich, i tak już zostało. O wszystkim rozstrzygnęła siła. Rosja, przypisując Polsce ciągoty imperialne i chęć odbicia Lwowa, Brześcia czy Grodna, nie tylko stara się skłócić Warszawę z sąsiadami, lecz także w sposób naturalny mierzy geopolitycznego rywala swoją miarą, tak jakby we wzajemnych relacjach tych

dwóch państw nic się nie zmieniło od XVII w. Symptomatyczne, że wspomniany już gwiazdor państwowej telewizji, Władimir Sołowjow, nazwał Swiatłanę Cichanouską nowym Dymitrem Samozwańcem, wynajętym przez Polaków, by zdobyć dla nich Mińsk. A następnie, jak się uda, także Moskwę.

Rosja potrzebuje Ukrainy, aby być imperium. A przynajmniej nie może pozwolić, by Ukraina przeszła na stronę Zachodu. Oprócz oczywistych powodów natury geostrategicznej i ekonomicznej są również powody natury historycznej, ideologicznej i symbolicznej. Nieprzypadkowo w 2015 r. w Moskwie stanął pomnik Włodzimierza Wielkiego, księcia kijowskiego, który przyjął w 988 r. chrzest. Dziedzictwo Rusi Kijowskiej jest wspólne dla wszystkich trzech narodów wschodniosłowiańskich. Kijów to „macierz grodów ruskich”. Od kiedy został zastąpiony w roli symbolicznej stolicy Słowian wschodnich przez Moskwę, jej przywódcy próbują go odzyskać. To perła w koronie „ziem ruskich”, które Rosja od wieków „zbiera”.

Gdy w 2014 r. była przez chwilę nadzieja na podbój zrusyfikowanych ziem południowo-wschodniej Ukrainy, Kreml ożywił na nowo koncepcję Noworosji – tak bowiem były określane te tereny, gdy w XVIII w. zajęła je Katarzyna Wielka. Z ambitnych planów nic nie wyszło.

Została jedynie wstążka św. Jerzego – order z czasów Katarzyny, którego barwy stały się symbolem prorosyjskiego separatyzmu.

Rosjanie od początku argumentowali, że Krym ukraiński nigdy nie był, a kiedy już się stał, to z łaski Nikity Chruszczowa. Półwysep jako mityczna Taurida, wielki kurort i ważny punkt strategiczny w jednym jest bardzo mocno wpisany w rosyjską pamięć. Chruszczow podarował Krym Ukrainie z okazji 400-setnej rocznicy ugody perejaśławskiej. To też niezwykle istotny temat rosyjskiej pamięci historycznej. Podobnie jak w czasach sowieckich także dziś uznanie przez Chmielnickiego zwierzchności cara Wszechrusi przedstawiane jest jako dowód braterstwa obu narodów (z oczywistym starszeństwem jednego z nich).

Rosja próbuje być imperium, utrzymując stan posiadania w regionie. Gdyby jednak uwierzyć medialnej propagandzie Kremla, wiecznie ktoś jej zagraża. To, co Moskwa zdobyła, uczciwie jej się należy. Rosyjskojęzycznych mieszkańców Donbasu i Krymu broni ona na tej samej zasadzie, na jakiej we wrześniu 1939 r.

wyzwoliła Białorusinów i Ukraińców spod władzy polskich panów i uchroniła przed przyjściem faszyzmu... Mińsk w walce z opozycją wspiera, by uchronić prawosławnych braci przed imperialnymi zakusami Polaków i Litwinów, którym najpewniej marzy się nowa unia lubelska, a i zapewne unia brzeska.



Sowiecki znaczek z 1946 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

WRÓG Z ZACHODU

Moskwa jest więc tak naprawdę „obłężoną twierdzą”, która nie atakuje, lecz się broni. Przed czym? Cała historia Rosji to pasmo heroicznych walk z ekspansją szeroko rozumianego Zachodu. Wszystko zaczęło się od ekspansji katolików i Polaków, którzy nie tylko chcieli podbić Moskwę, lecz także ją duchowo zniewolić, podporządkowując papieżowi, pozbawiać prawosławnego charakteru. Chociaż święto, ustanowione na pamiątkę przepędzenia Polaków z Kremla, nie zyskało większej popularności i wbrew intencjom nie przyćmiło przypadającej w podobnym czasie rocznicy rewolucji październikowej, pozostaje ono specyficznym świętem, łączącym Rosjan o różnych poglądach – od liberalnych do szowinistycznych – pod sztandarem

pamięci o oddolnej, obywatelskiej wręcz inicjatywie, jaką było powstanie ludowe przeciw okupantom.

Dokładnie dwa stulecia później znów przyszła wielka agresja z Zachodu – tym razem Napoleon. Znów obcy najazd wywołał poruszenie patriotyczne, a do walki stanął mityczny „lud rosyjski”, z patosem przedstawiony jako podmiot historii w Tołstojowskiej „Wojnie i pokoju”. To była pierwsza wielka wojna ojczyzniana – nie na darmo właśnie do niej nawiązano podczas drugiej wojny światowej. Nie ma to znaczenia, że Napoleon napadł na imperialną, carską Rosję, a Hitler na komunistyczny Związek Sowiecki. W obu przypadkach niewinna, pokojowo nastawiona Rosja musiała bronić się przed najazdem zachodniego agresora, do walki z którym ochoczo stanął lud.

Pomiędzy dwiema wojnami ojczyznianymi był jeszcze „pochód Ententy”, jak nazwał Stalin agresję Piłsudskiego na Rosję Sowiecką. Tak, agresję – do dziś rosyjscy publicyści i historycy przypisują Polsce właśnie winę za rozpętanie wojny 1920 r. Z ich perspektywy to Piłsudski pierwszy rzucił kamieniem, urządzając wyprawę na „macierz grodów ruskich”. A 20 lat później Polacy dostali za swoje – Stalin w Katyniu „pomścił” jeńców sowieckich, którzy według kremlowskiej propagandy zostali celowo doprowadzeni do śmierci w „obozach koncentracyjnych”. Ta rosyjska akcja propagandowa określana bywa często „Anty-Katyniem”. Wiele o niezmiennych zasadach bezwzględnej w swej istocie rosyjskiej polityki historycznej mówi to, że kłamstwo o polskim ludobójstwie na czerwoarmistach polecił wykreować „liberalny demokrat” Gorbaczow, chcąc w ten sposób zmniejszyć efekt przyznania się do zbrodni katyńskiej. Pomimo oficjalnych przeprosin, pomimo że zbrodnie komunistyczne jako takie nie są w Rosji tematem tabu, polskie ofiary wciąż są tam umniejszane. W 2011 r. w sondażu dla Lewady aż 24 proc. Rosjan przypisało winę za Katyń Niemcom – to wiele mówi o skuteczności sowieckiej jeszcze propagandy. Z kolei sojusz z Hitlerem traktowany jest jako taktyczna konieczność – wobec wrogości Zachodu „obłożona czerwona twierdza” musiała jakoś zabezpieczyć swoje interesy...

Wart uwagi jest jeszcze jeden wątek wielowiekowej „obrony” Moskwy przed Zachodem. Rosyjska telewizja państwowa zrealizowała jakiś czas temu film



Władimir Putin składa wieniec przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Moskwie, 2017 r.

FOT. KREMLIN.RU

dokumentalny o Aleksandrze Newskim. Prawosławny święty, wielki książę włodzimierski, zasłynął zwycięskimi walkami ze Szwedami i z Niemcami. Nic dziwnego, że stał się bohaterem sowieckiej popkultury czasów stalinizmu, kiedy to był poręcznym narzędziem w propagandowej walce z Hitlerem. Współczesna propaganda naświetla jednak jego żywot z jeszcze innej strony. Aleksander panował w początkach niewoli tatarsko-mongolskiej. Uznawał zwierzchność chana. W rosyjskim dokumencie jest za to wręcz chwalony. Był wybitnym mężem stanu – słusznie bił się z Zachodem i ulegał woli Wschodu. Dla Rusi – z dzisiejszej perspektywy – lepiej było bowiem ulec Tatarom niż Niemcom czy Szwedom. Niemcy i Szwedzi chcieli nawrócić prawosławnych Rusinów na katolicyzm i podporządkować ich papieżowi. Tatarzy natomiast byli okrutnikami, barbarzyńcami, ale – jako wyznawcy prymitywnych kultów szamańskich – praktykowali tolerancję religijną, nie zamierzali nawracać podbitych ludów. Używając zrozumiałej dla polskiego czytelnika analogii – Wschód chciał tylko zniewolić ciało, Zachód zaś – ciało i dusze Rusinów.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na zmianę terminologii w rosyjskiej historiografii. W podręcznikach sowieckich, a więc w czasach, gdy niezależnie od konfrontacji z Zachodem zakodowane w komunistycznym postrzeganiu świata chorobliwe dążenie do cywilizacyjnego postępu nakazywało wstydić się azjatyckiej spuścizny, okres tatarski

określano jako „igo” („jarzmo”). Dzisiaj, gdy w rosyjskiej elicie władzy dominuje wizja eurazjatycka, a państwo coraz śmielej zwraca się ku Wschodowi, specyficzna poprawność polityczna nakazuje raczej mówienie o „tatarsko-mongolskiej zależności”...

Nie byłoby tych wszystkich koncepcji i kodów pamięci, gdyby nie silna ręka przywódcy. Pozycja Putina nie tylko jest silna mocą jego konkretnych działań, takich jak aneksja Krymu, lecz także jest ugruntowywana poprzez nawiązanie do wielkich postaci z przeszłości. Nawet prezydent Rosji nie może wprost wychwalać pod niebiosa autokratycznych władców, którzy szczególnie w świadomości zachodniej opinii publicznej zapisali się jako wielcy zbrodniarze. Putina wyręczają w tym jego wyznawcy. Mówiąc to, co najpewniej Putin myśli, ale czego nie wypada mu powiedzieć na głos. Kilka lat temu w Orle stanął pomnik Iwana Groźnego. Z woli mieszkańców jakoby. Gubernator obwodu orłowskiego, Wadim Potomski, tak uzasadniał tę inicjatywę: „W naszym kraju było trzech wielkich przywódców: Iwan Groźny, Piotr Pierwszy i Józef Stalin”. Ta „święta trójca” zajmuje poczesne miejsce w rosyjskiej pamięci. A jeśli ktoś z nich najmniej pasuje do Putinowskiej Rosji, to zapewne Piotr Pierwszy. Nie z powodu okrucieństwa, ale dlatego, że próbował – na siłę, po trupach, powierzchownie – otworzyć dla Rosji okno na Europę. Dziś to okno raczej się zamyka.



Andrzej Nowak

Laozi namówiony przez jednego z uczniów zdecydował się, już jako starzec, by jego nauka została spisana. Tak miała powstać niewątpliwie jedna z najbardziej fascynujących i wpływających na kolejne pokolenia ksiąg w historii ludzkości

Nasza myśl o polityce wywodzi się z kręgu śródziemnomorskiego, z tego, co nazywamy tradycją klasyczną, przede wszystkim grecką i rzymską, a potem po prostu europejską. Jednak mniej więcej w tym samym czasie, gdy nastąpił prawdziwy „big-bang”, wielki wybuch ludzkiej autorefleksji w starożytnej Grecji, w wiekach VI–III przed Chrystusem, osobne źródło wnikliwego namysłu nad kondycją społeczną człowieka i nad jego politycznym bytowaniem pojawia się także w Chinach. [...]

Nawet w dzisiejszej kulturze masowej stykamy się z nazwiskiem Lao Tsy (Lao Che, według najnowszej transkrypcji Laozi), oznaczającym Starego Mędrca czy też Mistrza. O jego życiu wiemy bardzo niewiele. Przyjmuje się, że żył w VI w. przed Chrystusem. Wiemy, że nie chciał nauczać w sposób, który da się przekazać przez pokolenia, czyli na piśmie. Według tradycji pracował w państwowym archiwum dynastii Czou (Zhou), ale pisarzem nie był. Dopiero namówiony przez jednego z uczniów zdecydował się, już jako starzec, by jego nauka została spisana. Tak miała powstać niewątpliwie jedna z najbardziej fascynujących i wpływających na kolejne pokolenia ksiąg w historii ludzkości: „Daodejing”, czyli Księga drogi (dao) i cnoty (de). Obecnie wielu badaczy chińskiej kultury wątpi nawet w historyczność istnienia Laoziego i twierdzi, że przypisywane mu dzieło jest późniejszą (z IV–III w. przed Chr.) kompilacją wielu autorów. Niezależnie od tych wątpliwości warto do owego dzieła zajrzeć.

ODWIECZNE PODEJŚCIA DO RZECZYWISTOŚCI

Czym jest dao? Niektórzy tłumaczą to jako „pierwszą zasadę”, „pryncypium”, inni



FOT. DORCZYNIA PUBLICZNA

– jako „drogę”. Bardzo trudno uchwycić jednoznacznie w językach europejskich sens tego kluczowego pojęcia. Nie jest to systematyczny traktat, bardziej są to aforystyczne uwagi, a jednak dają one wgląd w wiele bardzo interesujących zjawisk. Idąca śladem tych uwag „szkoła” w myśli chińskiej została określona właśnie od tytułowego znaku księgi Lao Zi – taoizmem.

Naukę Laoziego charakteryzują pewne założenia, które odnajdujemy także we współczesnym myśleniu. Ot, choćby kluczowa dla dao zasada niedziałania (wu wei). Odnajdujemy jej echa w niektórych uzasadnieniach rządów liberalnych: laissez faire – pozwolić, by robiło się samo (to jest bez wpływu władzy), nie ingerować, nie przeszkadzać; „niewidzialna ręka rynku”, o której mówił Adam Smith w XVIII w.

my się tylko w pewnego rodzaju rywalizację, która prowadzi donikąd, natura rzeczy zawsze bowiem okazuje się silniejsza.

„Im więcej wydaje się zakazów w świecie, tym bardziej ubożeje lud. Im więcej ogłasza się praw i poleceń, tym więcej jest złodziei i rabusiów”. Choremu społeczeństwu potrzebny jest tylko spokój. Tylko przez niedziałanie można wyprowadzić państwo z chaosu. Należy zatem płynąć z prądem, a nie pod prąd. Płynąć w głównym nurcie... Należy zginać się pod siłą wiatru i nie dać mu się złamać zbyt silnym oporem. „Przez niepodkreślanie zasług ludzie powstrzymywani są od rywalizacji. Przez niecenienie tego, co trudne do zdobycia, ludzie powstrzymywani są od kradzieży. Przez nierozważanie tego, czego się pożąda, serce pozostaje spokojne”.

nego arbitra? „Gdzie są słowa, będzie niezgoda”.

Tylko co zostaje, kiedy zrezygnujemy z racjonalnej argumentacji? Czy nie zatriumfuje prawo silniejszego? Czy z tej nauki wynika jakakolwiek praktyczna lekcja polityczna poza konformizmem? Laozi radzi, żeby kraj nie był zbyt duży, żeby nie miał żadnych ambicji na arenie międzynarodowej. Najlepiej też, żeby był odseparowany od innych krajów, ponieważ, gdy zaczynamy porównywać się z innymi, rosną w nas właśnie niezdrowe ambicje – chcemy być tacy jak inni albo nawet lepsi, mocniejsi. 80. aforyzm księgi dao brzmi tak: „W małym, słabo zaludnionym kraju nawet najwydajniejsze urządzenia mechaniczne nie znajdują zastosowania. Niech ludzie pamiętają o śmierci i powstrzymują się od dalekich podróży. Łodzie i powozy, broń i maszyny wojenne niech nadal istnieją, lecz niech nie będzie okazji do ich używania ani pokazywania. Niech ludzie wrócą do kontaktowania się za pomocą węzłów na sznurach. Pilnuj, by byli zadowoleni ze strawy, odzienia i domu oraz by nie odzwyczajali się od prostego życia. Choć w sąsiedztwie może być inny kraj, położony w zasięgu wzroku tak blisko, że będzie z niego dochodziło gdakanie kur i szczekanie psów, nie będzie między nimi ruchu, a oba ludy przez całe życie nie będą miały ze sobą nic wspólnego”.

[...] Ten sam obraz odnajdziemy w radach, które pod adresem Polaków, konfederatów barskich, sformułuje ponad dwa tysiące lat później Jan Jakub Rousseau w „Uwagach o rządzie polskim”, jednym ze swoich najważniejszych traktatów politycznych. Napisze on właśnie, żeby Polacy niczego nie zmieniali w swoich ustawach politycznych, żeby nie starali się patrzeć na Europę, która ówczesnie, pod wpływem oświecenia, bardzo szybko się zmienia, zaczyna przekształcać swoje stosunki polityczne w rodzaj wyścigu ekonomiczno-politycznego: kto szybciej rozwinie swój przemysł, armię. Rousseau mówi: jeżeli wejdziecie w ten wyścig, to, owszem, będą o was pisać, będą was chwalić, ale ostatecznie przekształcicie samych siebie w sposób, który można nazwać utratą własnej duszy, własnej tożsamości. Staniecie się uczestnikami czegoś, co można by w dzisiejszym języku nazwać wyścigiem szczurów. Wspominam o tym już tutaj, by pokazać pewien nurt myśli ludzkiej, który biegnie poprzez wieki i niesie ze sobą nie tylko ów swoisty

Chińskie źródła politycznej refleksji

– załatwi za nas wszystko sama... Nie chcę przez to zasugerować, że Adam Smith, XVIII-wieczni leseferyści czy współcześni politycy III RP, tacy jak Leszek Balcerowicz, Janusz Korwin-Mikke czy Donald Tusk, zaczytywali się w księdze dao. Chcę tylko wskazać, jak pewne próby nakreślenia najważniejszego podejścia do rzeczywistości mogą być odwieczne i jak powtarzane są w praktyce, choćby nieświadomie, po dziś dzień. Podstawowym hasłem Laoziego jest niewpływanie na rzeczywistość – niech ona płynie swoim torem, bo zasadniczo i tak niczego w niej nie zmienimy. Jeżeli będziemy próbowali, to narazimy się tylko na frustrację, bo nasze wysiłki ostatecznie i tak zostaną zniweczone przez innych, przez czas, przez naturę, przez dao. Wda-

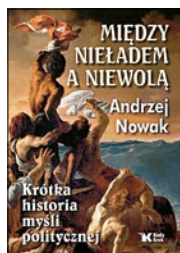
Nie jest to, jak widać, tylko nauka, która prowadzić może w stronę swoistego rozumianego liberalizmu. Wydaje się także, a może przede wszystkim zachęta do tej postawy, jaką w naszej cywilizacji określa się mianem anarchizmu. Laozi i pierwszy krzewiciel jego nauki, żyjący w IV w. przed Chr. Zhuangzi (autor traktatu „Prawdziwa księga południowego kwiatu”) rozwijają myśl, iż prawo stanowione pociąga za sobą przekroczenia i łamanie praw. Dobre rządzenie nie powinno polegać na narzucaniu norm ani na wyborze czy kompromisie między normami, ale na pozbyciu się norm w ogóle. Zawsze bowiem, kiedy pojawia się norma, zaczyna się spór. Kto go rozstrzygnie? Kogo uznamy za bezstron-

liberalny leseferyzm, lecz także – jakby sprzeczny z nim – prymitywny izolacjonizm, w którym niedziałanie (rządu) ma zapewnić spokój od niepotrzebnej rywalizacji i naśladownictwa. Zapoczątkował i ten wątek Laozi, ale przecież powtarza się on wielokrotnie, kiedy pojawia się ktoś z programem zmian czy reform. Czyż wszelkie zmiany nie przynoszą tylko niepotrzebnych napięć, ryzyka? Najlepiej, żeby wszystko pozostało po staremu, żeby wszystko płynęło z prądem.

Pojawia się tutaj także dodatkowe założenie polityczne. Amerykański sinolog z Harvardu, Benjamin Schwartz, interpretuje je w ten sposób: skoro państwo ma mieć charakter nie tylko pokojowy, lecz także wyrzekać się wzmocnienia swoich sił, które pozwoliłyby mu wytrzymać rywalizację z sąsiadami, to może właśnie dlatego uzyskać ochronę większych mocarstw – ponieważ im nie zagraża, pozwala im się prowadzić. I tu jednak warto przypomnieć doświadczenie praktyczne z XVIII w.: w Rzeczypospolitej sarmacy entuzjaści Jana Jakuba Rousseau, tacy jak hetman Seweryn Rzewuski czy współtworzący z nim targowicę Szczepny Potocki, byli pewni, że tak właśnie Rzeczpospolita, dopóki nie będzie się modernizować, zwiększać swoich sił zbrojnych, a będzie zachowywać swoją kulturową autarkię (swoistość), dopóty pozostanie pod ochroną sąsiednich imperiów. Zwłaszcza dobroczynnej Rosji. Czy mieli rację?

WYGODNE ŻYCIE BARANKÓW

[...] Płynąć z prądem natury, która miała twarz Moskwy – tak, przypomnijmy, radzili nam jeszcze blisko dwa wieki później „realiści” z PZPR. Każda zmiana, każda rewolucja solidarnościowa, z aż po tylekroć wysmiewaną „polityką wstawania z kolan”, przypisywaną rządowi PiS, przynosiła wedle tej interpretacji tylko nieszczęścia i frustracje. Tego rodzaju argumenty odwołujące się do myśli pierwszy raz sformułowanej przez Laoziego wrócić jeszcze nieraz. Po co wykazywać jakieżś ambicje równoprawności wobec silniejszych (np. w stosunku do Niemiec czy Francji w Unii Europejskiej), przekonywano: lepiej utrzymać ten stan podporządkowania, który jest. Im mniej będziemy robili, im bardziej będziemy



ANDRZEJ NOWAK
„MIĘDZY
NIEŁADEM
A NIEWOLĄ”.
KRÓTKA
HISTORIA MYŚLI
POLITYCZNEJ”
BIAŁY KRUK
2020

ulegali instynktowi natury: że nie oplaca się przeciwstawiać temu, co od nas silniejsze – tym łatwiej, lepiej, wygodniej będzie nam się żyło. Może wtedy lew czy niedźwiedź zostawi nas, baranki, w spokoju. Albo może nas zjeść, lepiej więc go nie prowokować. Tak jest z samą naturą: nie buntujemy się przeciw niej!

To, oczywiście, bardzo uproszczona lekcja myśli Laoziego, ale obawiam się, że tego rodzaju nawiązania do niej mogą właśnie pojawiać się w praktyce najczęściej. Dao wskazuje generalnie, że sens

życia człowieka polega raczej na odehraniu od niepotrzebnych emocji, które niesie ze sobą życie polityczne. W nim nic ważnego ani nic dobrego nas nie czeka, gdyż najważniejszym celem człowieka jest osiągnięcie spokoju. To w spokoju radujemy się szczęściem, tymczasem polityka nigdy nam spokoju nie da. Taką mądrością doskonale można wesprzeć znane hasło: budujmy mosty, nie róbmy polityki. Polityka przynosi przecież niepokój, konflikt. A gdy gdzieś pojawią się jakieś zamieszania, wtedy zamknijmy się w domu. W ten sposób zwycięży naczelna zasada taoizmu – zasada niedziałania. „Władanie wielkim królestwem jest jak smażenie małych rybek. [...] Gdyby tylko władca i jego ludzie powstrzymali się od krzywdzenia siebie nawzajem, to całe dobro świata zgromadziłoby się w królestwie”... Tak głosi 60. fragment księgi dao. I brzmi to bardzo atrakcyjnie. Cały problem ujawnia tryb warunkowy: „gdyby”. Jak to osiągnąć, tę łatwość „smażenia małych rybek” – tego Stary Mistrz już nie wyjaśnia.

PUSTE SERCA, PEŁNE BRZUCHY

Nieraz dostrzegamy praktyczną mądrość zasady niedziałania, kiedy widzimy psującą rzeczywistość, nadmierną gorączkę reformatorską, która rodzi zbyt wiele projektów zmiany i nie przynosi niczego dobrego. Wtedy hasło Laoziego wydaje się rzeczywiście ozdrowieńcze. Warto jednak zobaczyć to hasło w ramach szerszej wizji niepolitycznej (czy postpolitycznej) polityki, jaką wyklada księga dao. Można je streścić w tych słowach: „Władca sprawując rządy, opróżnia serca, a napełnia brzuchy, osłabia wolę, a wzmacnia kości. Zabiega stale,

aby lud niczego nie wiedział i niczego nie pożywał. Ci natomiast, którzy wiedzą, aby nie śmieli działać. Kiedy uprawia się niedziałanie, wówczas są dobre rządy”. To jest ideał postpolitycznej władzy. Jakaś władza jednak tutaj jest. Choć ukryta, to skuteczna. Skuteczna – bo ukryta. Nie dyskutująca z poddanymi, tylko ich usypiająca – dla ich dobra, dla świętego spokoju. Oczywiście nie wszystkie brzuchy udaje się napełnić, ale na pewno wiele serc można opróżnić oraz osłabić wolę. Niejedne znane nam z najnowszych czasów rządy z całą pewnością zabiegały też wytrwale o to, żeby „lud nie wiedział i niczego nie pożywał. Ci natomiast, co wiedzą, aby nie śmieli działać”.

Ktoś może powiedzieć, że jest to ideał rządu państwa minimum, które się wycofuje. Ale tak nie jest, ponieważ Laozi proponuje, żeby rząd świadomie tak kształtował umysły ludzi, tak w nie ingerował, żeby je opróżniać z wszelkich ambicji, emocji. Jednak, pomimo głoszonej jednocześnie zasady niedziałania, rząd „taoistyczny” najwidoczniej zakłada ingerowanie w ludzkie życie, by niepostrzeżenie obojętnością, ubezwłasnowolnić, poddawać cichej terapii. Można w tym dojrzeć także najgłębszy fundament wzoru życia, jaki dyktują dziś najpotężniejsze komunikatory niewidzialnej władzy: opróżnić serce człowieka z ambicji i emocji, które może dyktować coś więcej niż brzechy (lub – podbrzusze) i skupić uwagę na „wzmocnieniu kości”, czyli pogoni na taśmie nowoczesnej siłowni za „wieczną” młodością i „figurą”. Pogoni prowadzącej oczywiście donikąd. Wystudzić emocje, bo wtedy zbliżymy się do spokoju, wtedy nie będziemy rzucali się sobie do gardeł, nie będziemy się ze sobą kłócili. Przemienimy nasze życie (może trochę na podobieństwo przodującej pod tym względem współczesnej Europy?) w spokojny przedsięwzięcie do cmentarza, pogodny dom przedpogrzebowy, w szpital z „Lotu nad kukułczym gniazdem” – tylko bez żadnych buntowników. Księga dao podkreśla tę istotną radę: władza powinna być niewidzialna. Nie powinniśmy w ogóle wiedzieć, my, szczęśliwi pacjenci, kto nami rządzi: „Najlepszym władcą jest ten, którego istnienia ludzie nawet nie zauważają; drugim jest ten, którego kochają i szanują; trzecim jest władca, którego się boją; ostatnim jest ten, którym gardzą i któremu się przeciwstawiają”.



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

JUŻ W GRUDNIU NIEZWYKŁY KONCERT „GINTROWSKI A JEDNAK COŚ PO NAS ZOSTANIE...”

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



eprasa.pl 65b11aff79

Wyobraźmy sobie następującą sytuację. Oto w dużym mieście powstają innowacyjne sklepy z branży obuwniczej, spożywczej i AGD. Mają całkowicie nowy pomysł na biznes i realizują go tak umiejętnie, że klienci walą drzwiami i oknami. Oferta cały czas jest wzbogacana, urozmaicana, powiększana i wkrótce inne sklepy z tych branż nie wytrzymują konkurencji. Plajtują. W końcu rzecz wygląda tak, że już tylko gdzieś tam pozostały małe, zapyziałe sklepiki z ograniczonym asortymentem obuwniczym, spożywczym i AGD, nie najwyższej jakości i przestarzałym, a jeśli chce się kupić coś porządnego i trwałego oraz nowoczesnego, to trzeba pójść do potentatów.

Jest tylko jeden problem – w którymś momencie te trzy sieci wprowadzają regulacje pozwalające im odmówić obsługi w zasadzie dowolnego klienta. Teoretycznie i oficjalnie chodzi o klientów awanturujących się, ale doświadczenie wskazuje, że tak naprawdę nie ma tu reguły. Podobno sklepy wypracowały algorytm, który wgrany do komputera sterującego siecią systemu rozpoznawania twarzy pozwala przy wejściu zatrzymać tych klientów, którzy według menedżerów sklepów mają skłonności do agresji i mogą się zacząć awanturować w nieokreślonej przyszłości – choćby dotychczas nigdy na nikogo nawet głosu nie podnieśli.

Jest zatem tak, że jakaś część klientów nie bardzo ma gdzie robić zakupy, bo ochrona zatrzymuje ich przy wejściu lub wyrzuca ze sklepu, nie tłumacząc, dlaczego to robi. Po czym wywiesza ich zdjęcia w gablocie z napisem: „Tych klientów nie obsługujemy” – jak w filmie „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”. Kiedy zaś ci klienci zaczynają się skarżyć na dyskryminację, słyszą, że przecież jest wolny rynek i prywatne sieci handlowe mogą sobie wprowadzać zasady, jakie chcą.

OLIGOPOL W SIECIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH

Ta przypowieść nie jest idealnie skonstruowana, gdyż na rynkach takich jak sprzedaż detaliczna obuwia, artykułów spożywczych czy sprzętu AGD trudno wyobrazić sobie powstanie oligopolu – bo o nim właśnie mowa. Oligopol to sytuacja tylko trochę lepsza niż monopol – rynek jest podzielony między zaledwie kilku wielkich graczy, którym łatwo jest



Łukasz Warzecha

Giganci zarządzający sieciami społecznościowymi otwarcie pokazują, że nie są neutralni. Polski rząd lub UE powinny więc na nich wymusić choćby jasne kryteria moderowania treści

Trzymający sieć

dogadać się między sobą i wprowadzić nieuczciwe reguły gry. Zjawiska monopolizacji i oligopolizacji jako swego rodzaju nowotwory wolnego rynku są znane od dawna i również wolnorynkowcy godzą się, że powinny być zwalczane za pomocą prawa i instytucji.

Tymczasem właśnie oligopol pojawił się na globalnym rynku mediów społecznościowych. Grają w nim takie potęgi jak Google (właściciel YouTube), Facebook (wraz z przyległościami takimi jak Instagram) czy Twitter. Takiego układu nie przewidzieli klasycy gospodarki wolnorynkowej. Po pierwsze, jest to oligopol o zasięgu niemalże idealnie globalnym (z pewnymi wyjątkami takimi jak Chiny, częściowo Rosja czy, co oczywiste, Korea Północna). Po drugie, nie dotyczy produkcji jakiegoś towaru czy „zwykłej” usługi, ale sprawy fundamentalnej dla samego funkcjonowania państw i społeczeństw, czyli informacji (ze wszystkimi jej aspektami, w tym np. sterowaniem nastrojami społecznymi). Po trzecie, z powodu arcyskomplikowanej sytuacji prawnej, gdy główna siedziba pod-

miotów mieści się w innym państwie, a podleganie prawu miejscowemu jest przedmiotem sporów, możliwości ograniczenia oligopolu są małe. Ani Hayek, ani Mises takiego układu nie mogli sobie wyobrazić, żyli bowiem w erze przedinternetowej.

Wbrew temu, co twierdzą niektórzy – na ogół nastawieni przeciw wolnemu rynkowi, ale w tej jednej sprawie akurat się na niego powołujący – w przypadku nieformalnej zмовy internetowych gigantów nie można ot, tak sobie pójść w inne miejsce albo założyć sobie własnego YouTube’a. Dla zasięgów, jakie dziś generują YouTube czy Facebook, nie ma globalnej ani nawet regionalnej konkurencji. Nawet lokalne alternatywy mają specyficzny charakter i są ograniczone w zasadzie do jednego rynku, tak jak rosyjskie VKontakte (ma w Polsce swoich użytkowników, ale jest marginesem) czy chińskie RenRen (w Chinach Facebook jest formalnie zablokowany). W dodatku na korzyść największych działa ścisła integracja z dwoma mobilnymi systemami operacyjnymi, które dzielą między siebie

niemal cały rynek: Androidem (prawie 73 proc. rynku) i iOS Apple'a (26,5 proc.).

BRAMY DO INFORMACJI

Niektórzy powiedzą, że mówimy o moderacji treści, inni – że już o cenzurze. Faktem jest, że od lat w ramach oligopolu mediów społecznościowych nakłada się na siebie kilka uwarunkowań i ściera się kilka koncepcji. Jedną z nich, która niestety przegrywa na poziomie rządów i organizacji międzynarodowych, lecz także u znacznej części użytkowników oraz w samych firmach internetowych, to model całkowitej lub niemal całkowitej neutralności. Platformy takie jak YT, Twitter czy Facebook są często porównywane do bram prowadzących na agorę informacji czy poglądów. Zwolennicy koncepcji neutralności – do których się zaliczam – uważają, że albo nie powinno być przy nich żadnego odzwierciedlenia, albo jeśli już jakiś miałby tam stać, to powinien wyłapywać wyłącznie tych, którzy niewątpliwie łamią prawo. Czyli godzimy się na moderację i usuwanie treści jedynie wówczas, gdy są to treści na przykład otwierające nawoływanie do przemocy. Każde inne podejście – twierdzą zwolennicy neutralności – musi prowadzić do arbitralnej oceny treści ze strony „odzwierciedlenia”. Niektórzy z nich uważają, że interwencja powinna następować dopiero po orzeczeniu sądu.

Ten spór jednak frakcja neutralności chyba już przegrała. Raz – dlatego, że już dawno temu pojawiły się wezwania i naciski, aby właściciele platform aktywniej włączyli się w proces moderacji (lub, jak chcą niektórzy, cenzury), a ci pod politycznym naciskiem posłuchali. Dwa – ponieważ sami cyfrowi giganci nie są całkowicie neutralni światopoglądowo i wywodzą się właściwie bez wyjątku z lewicowo-liberalnego establishmentu informacyjnego.

Krytycy aktywnej roli platform wskazują na zagrożenia z nią związane. Pierwsze z nich to niemal całkowity brak przejrzystości. Owszem, każdy użytkownik musi najpierw zaakceptować regulamin platformy, ale ten jest, po pierwsze, zwykle bardzo długi, po drugie – pełen ogólników i pojemnych kryteriów, po trzecie – odwołuje się zwykle do prawa innego niż krajowe, po czwarte – jako się rzekło, wyboru w zasadzie nie ma lub jest bardzo ograniczony.

Użytkownicy, których filmy, wpisy lub całe konta są usuwane, nie dostają w tej sprawie żadnego wyjaśnienia. To spotkało dopiero co Janusza Korwin-Mikkego, któ-

remu Facebook bez wyjaśnienia zlikwidował fanpage z rekordową liczbą niemal 800 tys. sympatyków.

Sam doświadczam tego na mniejszą skalę, prowadząc kanał na YouTube. Po przesłaniu filmu tajemnicze algorytmy sprawdzają, czy film ten może zarabiać na reklamach. Wielokrotnie zdarzało się, że mimo iż w przesłanym przeze mnie filmie nie było żadnych brutalnych scen, wulgarnego języka ani – jasna rzecz – nawoływania do nienawiści, film był automatycznie demonetyzowany, czyli blokowano możliwość wyświetlania w nim reklam, a zatem i zarabiania na nich. Od tej automatycznej decyzji można się odwołać, prosząc o sprawdzenie filmu przez człowieka, jednak trwa to kilkadziesiąt godzin, w trakcie których film zalicza już większość swoich odtworzeń, więc nawet jeśli decyzja zostaje cofnięta, to na takim filmie i tak się już niewiele zarabia. Bywa też, że decyzja zostaje podtrzymana, ale nigdy nie zobaczymy wyjaśnienia dlaczego, poza ogólnikowym stwierdzeniem, że „nie spełnia kryteriów”. Twórcy pozostają zatem domysły.

Inaczej do sprawy podchodzi choćby polskie Allegro. Tam, jeśli dochodzi do „moderacji” (czyli usunięcia jakiegoś towaru ze sprzedaży), przyczyny są zawsze wyjaśnione sprzedającemu. Jak tłumaczyła podczas niedawnej debaty Klubu Jagiellońskiego o moderacji internetowych treści Joanna Gęga z Allegro, portal traktuje takie postępowanie również jako akcję edukacyjną, skierowaną do sprzedających. Ma to na pewno większy sens niż demonetyzowanie czy usuwanie kont bez wyjaśnienia. Wciąż jednak budzi kontrowersje.

Czy na przykład na Allegro powinno być sprzedawane „Mein Kampf”? To klasyczny przykład. Przecież portal nie jest w stanie przeniknąć intencji sprzedającego ani kupującego. Książka Adolfa Hitlera była wielokrotnie legalnie wydawana po wojnie, a chcieć ją kupić może choćby politolog w celach naukowych, mając do idei narodowego socjalizmu całkowicie krytyczne nastawienie. Może ją oczywiście kupić również neonazista. Tylko czy rola portalu sprzedażowego jest bawienie się w tym przypadku w detektywa?

ZMIERZCH NEUTRALNOŚCI

Przez długi czas najbardziej neutralnym medium społecznościowym był Twitter i zapewne dlatego na swój główny kanał komunikacji wybrał go ponad cztery lata temu Donald Trump. To się jednak

również skończyło, bo wskutek nacisków Twitter uruchomił coś w rodzaju cenzury, oczywiście także uznaniowej. Wprowadzono na przykład komunikaty, które zachęcają do przeczytania tekstu przed jego podaniem dalej – co akurat głupie nie jest. Zaczęto jednak również dodawać do tweetów – w tym samego Trumpa – swoiste „wyjaśnienia”. Na przykład gdy 27 października Trump zatweetował: „Ogromne problemy i nieścisłości w systemie głosowania korespondencyjnego w całych Stanach. Ostateczne podliczenie musi być dokonane do 3 listopada”, Twitter wkrótce tego tweeta domyślnie ukrył i zastąpił etykietką (również po polsku): „Ten tweet zawiera treści, które mogą wzbudzać kontrowersje lub wprowadzać w błąd w kwestiach dotyczących udziału w wyborach lub innej procedurze obywatelskiej”. I nie był to jedyny taki przypadek. Pytanie, jaki jest sens takich działań poza arbitralną złośliwością wobec polityka. Przecież tweet jest nadal dostępny – wystarczy kliknąć „pokaż”.

Tego typu „moderacja” ma dotyczyć również choćby treści związanych z epidemią koronawirusa i ze szczepieniami. A tu już wkraczamy na bardzo grząski grunt, bo przecież debata nad szczepionką na SARS-CoV-2 jest już deformowana poprzez kwalifikowanie racjonalnych sceptyków jako „folarzy” i antyszczepionkowców.

Skoro model neutralności przegrał i skoro oligopol jest raczej nie do przełamania w przewidywalnej przyszłości (trudno sobie wyobrazić, żeby nad Wisłą powstała jakaś sensowna wersja rodzimego Facebooka – to kwestia niewystarczającej głębokości rynku, o możliwościach technologicznych w starciu z gigantem nie mówiąc) – minimum, którego powinniśmy oczekiwać, to wymuszenie przez nasz rząd lub przez UE wprowadzenia przynajmniej dwóch mechanizmów.

Po pierwsze, przejrzystości kryteriów moderowania czy cenzurowania treści wraz z wyczerpującą informacją dla właściciela konta i wcześniejszym jasnym ostrzeżeniem. Po drugie, możliwości odwołania, i to najlepiej do organu zewnętrznego. Nad tym, jakiego typu to miałyby być organ, przez kogo powoływany i jak umocowany, trwają w kręgach organizacji pozarządowych zażarte dyskusje.

Jedno jest pewne – jeśli platformom pozostawi się całkowicie wolną rękę, to za jakiś czas internetowa wolność będzie już tylko wspomnieniem.



Piotr Zychowicz

W wyniku fatalnych błędów politycznych Japończycy uratowali Związek Sowiecki. I zgubili własną ojczyznę

7 grudnia 1941 r. Stany Zjednoczone poniosły największą klęskę w swoich dotychczasowych dziejach. Flota wojenna Cesarstwa Japonii – zachowując całkowitą ciszę radiową – podpłynęła niepostrzeżenie pod Hawaje. O świcie z lotniskowców wystartowało 350 samolotów, głównie drapieżnych myśliwców Zero.

Na krótko przed godz. 8 samoloty z czerwonymi kołami na skrzydłach nadleciały nad port Pearl Harbor. Grad bomb i torped posypał się na stojące na redzie okręty amerykańskiej Floty Pacyfiku. Zaskoczenie było totalne, a uderzenie miażdżące. W słuchawkach skośnookich pilotów rozległy się triumfalne okrzyki: „Tora! Tora! Tora!”.

Potężne pancerniki, krążowniki i niszczyciele szły na dno. Była to prawdziwa apokalipsa. Japońskim lotnikom udało się zniszczyć amerykańskie samoloty stojące na hawajskich pasach startowych. Tego dnia poległo 2,5 tys. marynarzy, lotników i żołnierzy US Army.

Atak na Pearl Harbor wywołał szok. Pierwszy oszałamiający sukces dzielnych Japończyków nie mógł bowiem zmienić miażdżącej różnicy potencjałów. W zgodnej opinii obserwatorów Japończycy porwali się z motyką na słońce. Jak pisał amerykański autor John Toland – państwo wielkości Kalifornii zaatakowało 10-krotnie potężniejszego przeciwnika. Stany Zjednoczone były największą potęgą ówczesnego świata, o wprost nieograniczonym potencjale gospodarczym i demograficznym.

Mało tego, Japonia jednocześnie zaatakowała Wielką Brytanię i Holandię! A od 1937 r. była zaangażowana w wyczerpującą, angażującą olbrzymie siły i nakłady konflikt z Chinami. Kraj Kwitnącej Wiśni znalazł się więc w stanie wojny na cztery fronty.

Nie trzeba być geniuszem strategii, żeby zrozumieć, że taki krok był całkowitym szaleństwem i musiał się skończyć dla Cesarstwa Japonii katastrofą. Starciem na proch tego państwa. Pytanie brzmi więc, dlaczego Japończycy – znani ze swojej



Jak Japonia popełniła harakiri

wysublimowanej dyplomacji, rozwagi i ostrożności – porwali się na takie szaleństwo? Dlaczego postanowili popełnić narodowe seppuku?

Truizmem będzie napisać, że pokładali zbyt dużą ufność we własne siły i zlekceważyli siły przeciwnika. Wypływało to m.in. z doświadczenia wojny z Rosją z lat 1904–1905. Wówczas Japonia również, przynajmniej w teorii, była dużo słabsza niż nieprzyjacielskie mocarstwo – imperium Romanowów.

Atak z zaskoczenia na rosyjską flotę w Port Arthur i kilka kolejnych błyskawicznych oraz druzgoczących ciosów rzuciły jednak Rosję na kolana. Petersburg musiał uznać swoją porażkę i zgodzić się na zawarcie pokoju. Dawid utarł nosa Goliatowi, Japonia awansowała do elitarnego klubu światowych mocarstw.

Różnica polegała jednak na tym, że Rosja w 1904 r. była imperium chylącym się ku upadkowi. Państwem, które trawił czerw wewnętrzny rozkład. Stany Zjednoczone w 1941 r. znajdowały się zaś w locie wznoszącym. Amerykanie byli na drodze do osiągnięcia statusu światowego supermocarstwa i globalnej dominacji.

Prześledźmy zatem drogę, która doprowadziła Japonię i Stany Zjednoczone do Pearl Harbor.

POLITYKA JAPONII

Cesarstwo Japonii w pierwszych dekadach XX w. przeżywało boom demograficzny, którego skutkiem było przeludnienie wysp macierzystych. W oszałamiającym

tempie rósł również potencjał gospodarczy kraju. To wywołało naturalne dążenie do ekspansji, której celem było zdobycie surowców i rynków zbytu.

Japonia, która przeszła gwałtowny proces modernizacji, wzorowała się na europejskich mocarstwach kolonialnych. Zasadniczy dylemat, przed którym stali mężowie stanu z Tokio, sprowadzał się jednak do pytania, w którą stronę skierować ekspansję. Zdania były podzielone, ścierały się ze sobą dwie koncepcje.

Według pierwszej kierunkiem ekspansji powinna być sowiecka Syberia. Według drugiej – Azja Południowo-Wschodnia kontrolowana przez Brytyjczyków, Francuzów, Holendrów i Amerykanów.

O ile pierwszą politykę można nazwać antysowiecką, o tyle drugą wypadałoby określić mianem antykolonialnej. Sukces Japończyków w ekspansji na południe oznaczałby bowiem wyparcie wpływów białego człowieka z Dalekiego Wschodu. Zgodnie z zamysłem zwolenników tego kierunku zamiast imperium kolonialnego powstałaby Strefa Wspólnego Dobrobytu Wielkiej Azji Wschodniej. Oczywiście pod przewodnictwem Tokio.

W latach 30. wszyscy – na czele z Józefem Stalinem – byli przekonani, że Japonia będzie realizowała strategię numer jeden. Czołowi mężowie stanu z Tokio uważali bowiem, że największym zagrożeniem dla Azji jest ekspansja komunizmu. Sowieckie bombowce strategiczne stacjonowały tuż za miedzą, we Władywostoku.

„Większość polityków japońskich oraz tak zwana frakcja drogi cesarskiej (Kōdōha) – pisze prof. Jakub Polit w znakomitej książce »Japońska polityka zagraniczna« – uważała starcie z ZSRS za praktycznie nieuchronne”.

Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem był więc atak Japonii, Niemiec i innych europejskich sojuszników na sowieckie imperium. W 1936 r. Japonia podpisała pakt antykominternowski z III Rzeszą. W latach 1938 i 1939 wybuchły krwawe walki między japońską Armią Kwantuńską a Armią Czerwoną.

Sytuacja zmieniła się o 180 stopni 23 sierpnia 1939 r., gdy w Moskwie podpisany został pakt Ribbentrop-Mołotow. Hitler dogadał się ze Stalinem. Dla Japończyków to był szok. Cała dotychczasowa koncepcja strategiczna posypała się jak domek z kart.

Pakt podpisany w Moskwie miał oczywiście kolosalny wpływ na debatę toczącą się w japońskim obozie władzy. Akcje zwolenników uderzenia na Syberię i wspólnego z Niemcami ataku na bolszewików gwałtownie poszły w dół. A akcje zwolenników zwrotu na południe (nan-shin) pospyły w górę.

Szczególnie że Wielka Brytania, Francja oraz Holandia wkrótce znalazły się w tarapatkach. Dwa ostatnie państwa zostały pobite przez Wehrmacht i znalazły się pod okupacją. Brytyjczycy zostali zaś zepchnięci na wyspy i desperacko bronili się przed zaciekłymi atakami Luftwaffe.

W Tokio uznano, że nadarza się znakomita okazja do uderzenia na Azję Południowo-Wschodnią. Znajdujące się w krytycznej sytuacji imperia kolonialne nie będą bowiem w stanie bronić swoich egzotycznych dominiów. Teraz albo nigdy!

Skutkiem takiego myślenia były dwa układy międzynarodowe o doniosłych konsekwencjach dla Japonii, Azji i całego świata. Pierwszym było podpisanie przez Japonię 27 września 1940 r. paktu trzech z Niemcami i Włochami. Drugim – podpisanie 17 kwietnia 1941 r. układu o nieagresji ze Związkiem Sowieckim.

Oba te kroki należy uznać za katastrofalne błędy cesarskiej dyplomacji. Oba też stały ze sobą w jaskrawej sprzeczności. Jedyną formą współpracy wojskowej, jaką Japonia mogła podjąć z Niemcami i Włochami, była bowiem wspólna walka ze Związkiem Sowieckim. Tę zaś wykluczał pakt zawarty ze Stalinem!

Natomiast w walce z Brytyjczykami, Holendrami i Amerykanami na Pacyfiku

siły zbrojne III Rzeszy i Włoch nie mogły udzielić Japończykom żadnej realnej pomocy.

Według szefa japońskiej dyplomacji Yōsuke Matsuoki pakt trzech miał odstraszyć Stany Zjednoczone od angażowania się na Pacyfiku. Zaangażowanie takie oznaczałoby bowiem automatyczny konflikt z Niemcami i Włochami. Trudno o większą pomyłkę w ocenie sytuacji!

„Dla Franklina Delano Roosevelta – pisze prof. Jakub Polit – sojusz trzech okazał się istnym darem niebios. Pomógł przekonać jego rodaków, optujących dotąd twardo za izolacjonizmem i pacyfizmem, że znajdują się na celowniku mocarstw totalitarnych i muszą się sposobić do wojny. Japonia z własnej woli dołączyła do Niemiec i Włoch, postrzeganych już w Białym Domu jako główny przeciwnik”.

Na tym, żeby Japonia skierowała swoją ekspansję na Południe i uwikłała się w wyczerpującą wojnę totalną ze Stanami Zjednoczonymi, najbardziej zależało oczywiście Stalinowi. Sowiecki dyktator przez całe lata 30. żył bowiem w psychozie wojny na dwa fronty. Jednocześnie ataku Niemiec i Japonii. Trudno więc się dziwić, że gdy groźba ta zniknęła, był wniebowzięty. Stalin chciał, aby Japonia wykrawiała się w zmaganiach z Chinami, Wielką Brytanią, ze Stanami Zjednoczonymi i z Holandią. W ten sposób zniszczona zostałaby bowiem największa bariera dla ekspansji komunizmu na Daleki Wschód.

Właśnie tak należy tłumaczyć euforię, w jakiej znajdował się Stalin, gdy japoński minister spraw zagranicznych Yōsuke Matsuoka w kwietniu 1941 r. przybył do Moskwy, by podpisać pakt o nieagresji. Kapitałny opis tej sceny opublikował John Toland w książce „Wschodzące Słońce. Schyłek i upadek Cesarstwa Japonii”:

„Na ekstrawaganckim, uroczystym przyjęciu Stalin był tak wyraźnie zachwycony biegiem zdarzeń, że osobiście przynosił Japończykom talerze z daniami, obejmował ich, całował i tańczył naokoło jak tresowany niedźwiedź. »Banzai dla Jego Cesarskiej Mości!« – brzmiał jego pierwszy toast.

– Jest pan Azjata – stwierdził Stalin.

– Tak samo jak ja.

– Wszyscyśmy Azjaci. Wypijmy za Azjatów!”.

Moment, w którym Japonia zrezygnowała z ekspansji na Syberię i zwróciła swoje oczy na Południe, był jednym z naj-



JAKUB POLIT
„JAPONSKA
POLITYKA
ZAGRANICZNA
1895-1945”
ARCA 2015

piękniejszych dni w życiu Stalina. Zaledwie dwa miesiące później – 22 czerwca 1941 r. – rozpoczęła się operacja „Barbarossa”. Pancerne dywizje Wehrmachtu zdemolowały Armię Czerwoną i jak taran parły na Moskwę. Los bolszewizmu zawisł na włosku. Nietrudno się domyślić, co by się stało, gdyby na wschodzie ruszyła japońska Armia Kwantuńska.

Matsuoka gwałtownie domagał się ataku na Związek Sowiecki. Niestety armia i flota postawiły swoje weto. Cesarscy

generałowie uważali, że Niemcy sami poradzą sobie z bolszewikami, „śliwka dojrzeje na drzewie i wpadnie w japońskie ręce”. Tą sliwką była oczywiście Syberia. Ostateczna decyzja o nieatakowaniu Sowietów zapadła 1–2 lipca 1941 r.

„Nikt z uczestników tej narady – dowodzi prof. Polit – nie był świadom, że była ona może najistotniejszą decyzją drugiej wojny światowej. Jej uczestnicy uratowali Związek Sowiecki przed nieuchronną katastrofą, ściągnęli zaś ją na własny kraj. Matsuoka, polityk dość nieszczególny, okazał trafny instynkt polityczny.

Z dzisiejszej perspektywy jest oczywiście, że połączona niemiecko-japońska akcja zdruzgotałaby doszczętnie Armię Czerwoną w ciągu kilku miesięcy – miesiące, w trakcie których zbrojną interwencją USA byłaby nie do pomyślenia. Zamiast zaatakować tradycyjnego wroga, nad którym zwycięstwo byłoby trudne, acz możliwe, przywódcy japońscy postanowili rzucić wyzwanie mocarstwu, któremu nawet połączone siły wszystkich istniejących na świecie potęg dać by rady nie mogli”.

Zwrot na południe oznaczał bowiem automatyczny konflikt z USA.

POLITYKA AMERYKI

To, jak genezę wojny na Pacyfiku przedstawia amerykańska propaganda, znamy wszyscy. Podstępni Azjaci z czarnymi podniebieniami zaatakowali znieścacka sympatycznych, Bogu ducha winnych kowbojów. Nas oczywiście jednak propaganda nie interesuje. Interesują nas fakty. A te nie pozostawiają wątpliwości, że Ameryka w procesie eskalacji, który doprowadził do Pearl Harbor, odegrała kolosalną rolę.

USA kierowały i kierują się zasadą równowagi sił. Czyli starają się nie dopuścić, by jakieś państwo osiągnęło rolę regionalnego hegemonu w Europie lub Azji. Widzą w tym bowiem poważne zagrożenie dla

■ swoich interesów i globalnej dominacji. Jeżeli kandydat do takiej hegemonii się pojawia, wówczas Ameryka próbuje go powstrzymać. A gdy to się nie udaje, Ameryka go niszczy.

„Wraz z końcem pierwszej wojny światowej – pisze prof. John Mearsheimer w książce »Tragizm polityki mocarstw« – Amerykanie doszli do wniosku, że Japonia stała się zbyt potężna, i podjęli działania na rzecz przywrócenia równowagi. Kontrola nad Chinami, południowo-wschodnią Azją, Koreą i Mandżurią uczyniłaby Japonię hegemonem znacznej części kontynentu azjatyckiego. Stany Zjednoczone były zdecydowane temu zapobiec”.

Amerykanie zaczęli wywierać na Japonczyków „bezprecedensową presję gospodarczą i dyplomatyczną”. W październiku 1939 r. przesunęli Flotę Pacyfiku z portów w Kalifornii na Hawaje. Rok później Kongres USA przyznał Chińczykom pożyczkę w wysokości 100 mln dol. Przekazał im również 100 nowoczesnych myśliwców „Tomahawk”. Pilotowali je Amerykanie, którzy toczyli boje z pilotami japońskimi.

Najbardziej groźne dla Japonii były jednak sankcje gospodarcze. W latach 1940–1941 Waszyngton wprowadził wiele drastycznych obostrzeń handlowych. Zamroził aktywa japońskie w USA i wprowadził embargo na eksport do Japonii rudy żelaza, stali i ropy naftowej.

Był to cios wręcz druzgoczący. Niektórzy historycy uważają, że de facto równał się z wypowiedzeniem wojny. Japońska flota i armia zużywały 12 tys. ton ropy dziennie. W dniu, w którym wyczerpałyby się niewielkie rezerwy paliwowe cesarstwa, Japonia zostałaby rzucona na kolana bez jednego wystrzału. Byłaby zdana na łaskę i niełaskę USA.

Japonia czuła się więc przyparta do muru, zagnana w kąt. Amerykanie zażądali od Japończyków kapitulacji. Natychmiastowego wycofania się z Chin, Indochin oraz zapewne Mandżurii. To zaś oznaczałoby porzucenie przez Tokio marzenia o hegemonii i zredukowanie Japonii do roli państwa drugorzędnego. Cofnięcie wszystkiego, co udało się wywalczyć od 1904 r.

„Waszyngton pozostawił Japończykom wybór – pisał prof. Mearsheimer – albo zrezygnują z aspiracji mocarstwowych po dobroci, albo zostaną do tego zmuszeni wojną”.

Wszystkie kompromisowe propozycje Japończyków zostały przez Amerykanów odrzucone. Stany Zjednoczone wyraźnie

lekceważyły Japonię i jej determinację. Uważały, że wystarczy tupnąć nogą, żeby zmusić ją do uległości.

„Japoński kurs na agresję był nieuniknionym efektem starań Zachodu na rzecz wyeliminowania Japonii jako rywala gospodarczego – pisał John Toland. – Amerykanie nie mieli obaw wobec Japonii jako przeciwnika militarnego i upajali się opowieściami o nieudolności synów Nipponu.

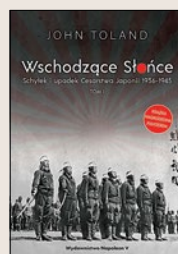
Szydzono też powszechnie z japońskiego lotnictwa, jego pilotów uważano za niezdatych do okularów, budzących raczej pustą śmiech niż grozę. Być może to właśnie poczucie wyższości podświadomie kusiło niektórych amerykańskich przywódców, łącznie z Rooseveltem, by doprowadzić Japończyków do granic cierpliwości”.

Swoją politykę Amerykanie – jak to Amerykanie – próbowali ubrać w szaty moralnej walki o dobro, demokrację i sprawiedliwość. Zgodnie z tą wykładnią USA próbowały powstrzymać drapieżną satrapię, która podbijała kolejne narody Azji i bezwzględnie traktowała ich przedstawicieli. Tę amerykańską hipokryzję obnażył minister Matsuoka. „Japonia przeżywa ekspansję – dowodził. – A które państwo w dobie ekspansji nie było uciążliwe dla sąsiadów? Zapytajcie Indian czy Meksykanów, jak potwornie uciążliwe były dawno temu młode Stany Zjednoczone”.

Japończycy wytykali więc Waszyngtonowi zasadę podwójnych standardów. Zgodnie z doktryną Monroe’a Stany Zjednoczone interweniowały zbrojnie, gdy czuły, że ich interesy na Karaibach są zagrożone. Nie miały również nic przeciwko istnieniu azjatyckiego imperium kolonialnego Wielkiej Brytanii. Tych samych praw odmawiały zaś Japonii.

Według Tolanda w amerykańskim myśleniu o Japonii było sporo rasizmu. Wielu Amerykanów w XX w. miało obsesję „żółtego zagrożenia”. Na przykład „San Francisco Chronicle” pytał, „czy nad światem zapanują wysokiej jakości rasy białe, czy niskiej jakości rasy orientalne”.

Rację miał jednak adm. Isoroku Yamamoto – najwybitniejszy japoński dowódca, strateg i geniusz wojny morskiej – który wskazywał, że Tokio musi zagryźć zęby i przełknąć gorzką pigułkę. Konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi należało uniknąć za wszelką cenę. Była to bowiem sprawa życia i śmierci.



JOHN TOLAND
„WSCHODZĄCE
SŁOŃCE. SCHYLEK
I UPADEK
CESARSTWA
JAPONII”
NAPOLEON V 2019

15 września 1941 r. Yamamoto odbył naradę z ministrem marynarki Koshirō Oikawą i innymi wysokimi rangą oficerami Floty Cesarskiej. Admirał w trakcie rozmowy – jak obrazowo opisał to Jakub Polit – wyciągnął z neseseru zestaw tabel ukazujących „straszną prawdę”.

Amerykanie dysponowali pięciokrotną przewagą w produkcji stali, 10-krotną w wydobywaniu węgla i 80-krotną w produkcji

samochodów. 80 proc. materiałów, które były konieczne dla Japonii do prowadzenia wojny, pochodziło z terytoriów kontrolowanych przez Amerykanów i Brytyjczyków. W tej sytuacji – przekonywał Yamamoto – walka ze Stanami Zjednoczonymi musi się skończyć katastrofą. Tokio – ostrzegał – zostanie „wypalone do korzeni”.

Niestety, bojowo nastawieni nacjonaliści, którzy rozdawali karty na szczytach władzy, uznali to ostrzeżenie za czarnowidztwo. Podobnie jak Józef Beck wierzyli, że fortuna sprzyja odważnym. To nieprawda. Fortuna zawsze sprzyja temu, kto ma silniejszą gospodarkę i potężniejszą armię. Słynny japoński duch bojowy (Yamato-damashii) nie mógł zrównoważyć miazdzącej przewagi USA.

Yamamoto nie został więc przez swoich rodaków wysłuchany. Tragedię japońskągo admirała pogłębiało to, że sam miał poprowadzić japońską flotę do walki, o której wiedział, że jest z góry skazana na klęskę...

Japońscy przywódcy uznali, że zaspokojenie żądań wysuwanych przez Amerykanów godzi w honor narodowy Japonii i doprowadzi do upadku cesarstwa. Lepiej więc iść na wojnę, nawet jeżeli szansa zwycięstwa wynosi 1 do miliona, niż dobrowolnie położyć głowę pod amerykański topór. Paradoks polegał więc na tym, że Waszyngton chciał zmusić Japonię do ustępstw, a sprowokował ją do szaleńczego ataku.

7 grudnia 1941 r. flota wojenna Cesarstwa Japonii – zachowując całkowitą ciszę radiową – podpełnęła niepostrzeżenie pod Hawaje... Japonia wkroczyła na drogę ku samodestrukcji. Mimo że Japończycy wykorzystali element zaskoczenia i odnieśli wiele zwycięstw nad Ameryką i Wielką Brytanią, w dłuższej perspektywie nie mieli szans na sukces.

„Cud” wojny japońsko-rosyjskiej z lat 1904–1905 nie mógł się już powtórzyć. Dawid z Goliatem może bowiem wygrać tylko raz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

Spotkanie z Canarisem

Stanisław Cat-Mackiewicz napisał kiedyś, że naród polski jest narodem dzielnych kobiet. Książka Jerzego Rostkowskiego „Piękne i niebezpieczne” w pełnej rozciągłości potwierdza tę opinię. Jej bohaterkami są arystokratki, które podczas drugiej wojny światowej służyły w polskich służbach wywiadowczych.

Dlaczego arystokratki trafiały do wywiadu? Bo miały do tego znakomite predyspozycje. Znały języki, świetnie czuły się za granicą i na salonach. Posiadały rozległe znajomości i kontakty w całej Europie. Cechował je patriotyzm, ale miały również – odziedziczony po rycerskich przodkach – pociąg do ryzyka i przygody. Były więc naturalnymi i idealnymi kandydatkami na szpiegów.

Jedną z bohaterek książki jest Klementyna Maria Mańkowska z domu Czarkowska-Golejewska herbu Awdaniec. Jak pisze Jerzy Rostkowski, była kobietą „najczystszej, najbardziej błękitnej krwi, spokrewnioną z najznaczniejszymi rodami Polski”. W 1939 r. Niemcy zaofero- wali jej wyjazd do Włoch. Gdy odmówiła, wywłaszczyli ją z majątku w Winnej Górze.



★★★★★
JERZY ROSTKOWSKI
„PIĘKNE
I NIEBEZPIECZNE.
ARYSTOKRATKI
POLSKIEGO
WYWIADU”
REBIS

Mankowska przeniosła się do Warszawy, gdzie poznała szefa podziemnej organizacji wywiadowczej „Muszkietierowie” – inż. Stefana Witkowskiego. Przystąpiła do konspiracji. Została przeszkolona jako łączniczka, a potem została niezwykle skutecznym wywiadowcą. Jeździła niemal po całej Europie, m.in. do Marsylii, Paryża i Berlina.

Mañkowska nawiązała kontrakty z niemieckimi oficerami, dzięki czemu pozyskiwała tajne informacje. Abwehra chętnie podjęła grę. Mañkowska stała się podwójną agentką. Oficjalnie pracowała dla Abwehry, ale nadal pozostała w strukturach „Muszkietarów”. Niemcy planowali ją wysłać do Londynu. Ostatecznie, wskutek weta gestapo, z wyjazdu nic nie wyszło. Polka trafiła do Lizbony.

Kontakt z Mańkowską nawiązał sam szef Abwehry, Wilhelm Canaris. Nastawiony antyhitlerowsko admirał uratował Polkę przed aresztowaniem przez gestapo. To tylko zarys niesamowitych przygód Mańkowskiej. Skomplikowanej gry wywiadów, w którą została wciągnięta piękna polska arystokratka. ©©



SŁAWOMIR KOPER

Pierwsza dyktatura

Piłsudski z Sosnkowskim przyjechali do Warszawy specjalnym pociągami z Berlina rankiem 10 listopada 1918 r. Władze niemieckie zachowały ścisłą tajemnicę – o powrocie Komendanta wiedziało zaledwie kilka osób. Na peronie na Piłsudskiego oczekiwali: książę Zdzisław Lubomirski (członek Rady Regencyjnej powołanej na miejsce Tymczasowej Rady Stanu) oraz szef miejscowego POW Adam Koc. Z wydarzenia nie zachowała się niestety żadna dokumentacja fotograficzna, a reprodukowane w wielu wydawnictwach zdjęcie Piłsudskiego z Sosnkowskim, otoczonych tłumem warszawiaków, pochodzi z rzeczywistości z 12 grudnia 1916 r.

Państwa centralne ostatecznie przegrały wojnę – w Niemczech wybuchła rewolucja, Austro-Węgry rozpadały się na państwa narodowe. W Krakowie od dwóch tygodni funkcjonowała namiastka polskiego rządu (Polska Komisja Likwidacyjna), w Lublinie, trzy dni przed przyjazdem Piłsudskiego, powołano Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej pod przewodnictwem Daszyńskiego. W Paryżu działał (uznawany przez aliantów) Komitet Narodowy Polski z Romanem Dmowskim na czele. Sytuacja w kraju była daleka od stabilizacji. W miastach stacjonowały garnizony niemieckie i austriackie, we Lwowie trwały ciężkie walki z Ukraińcami, Litwini aspirowali do Wilna. Armie państw

centralnych okupowały Białoruś, Litwę i Ukrainę, odgradzając ziemie polskie od rosyjskiej rewolucji.

Piłsudski niemal natychmiast przejął władzę – Rada Regencyjna przekazała mu swoje uprawnienia, po czym dokonała samorozwiązania. Rząd lubelski oddał się do dyspozycji Komendanta – Piłsudski wydawał się jedynym człowiekiem zdolnym do opanowania sytuacji.

Na wstępie Komendant unormował sprawę rządu Daszyńskiego. Uznał gabinet za zbyt radykalny jak na potrzeby chwili, wobec czego nowym premierem został socjalista Jędrzej Moraczewski. 29 listopada 1918 r. przyszły marszałek objął władzę w kraju jako Tymczasowy Naczelnik Państwa i w jego rękach znalazła się władza, jakiej nikt w Polsce nie posiadał od czasów Jagiellonów. Wprawdzie jego dekrety wymagały kontrasygnaty odpowiedniego ministra, ale w sytuacji, gdy członkowie gabinetu byli przez niego powoływani i przed nim odpowiedzialni, miało to znaczenie wyłącznie formalne. Czasy były bowiem niepewne i wymagały dyktatorskiej władzy. Polska potrzebowała siły zbrojnej, a nie dyskusji politycznych. W Wielkopolsce trwało powstanie, przyszłość Lwowa i Wilna była nieokreślona, nie istniała żadna wyznaczona granica państwa. Kraj czekała wojna, a bez dyktatora zwycięstwo było niemożliwe. Warto o tym pamiętać... © ©

Orbita pokryta siecią chińskich satelitów. Chińska stacja kosmiczna. Lądowanie na Księżycu. To tylko niektóre z ambitnych planów rządu w Pekinie, które zostały ujawnione w najnowszym raporcie dla Pentagonu dotyczącym chińskiego programu kosmicznego. Lektura 130 stron dokumentu przyprawia o zawrót głowy. Przedsięwzięcia, których podjęło się Państwo Środka, wydają się jak wyjęte z filmu science fiction, ale kroki ku ich realizacji już zostały podjęte. Pentagon wprost pisze o nowym polu rywalizacji amerykańsko-chińskiej, które tym razem wychodzi poza granice kuli ziemskiej.

CHIŃCZYCY NA KSIĘŻYCU

We wrześniu Chiny ujawniły, że pracują nad nową rakietą, która mogłaby wysłać astronautów na Księżyc. Pojazd startowy został zaprezentowany na Chińskiej Konferencji Kosmicznej w Fuzhou we wschodnich Chinach. Jego masa przy starcie wyniesie ok. 2,2 tys. ton (prawie trzykrotnie więcej niż obecnie największa chińska raketa Long March 5) i będzie w stanie wysłać na Srebrny Glob 25-tonowy statek kosmiczny.

Nowa raketa została zaprojektowana w Chińskiej Akademii Technologii Pojazdów Startowych (CALT) w Pekinie. Będzie ona miała trzy stopnie o średnicy pięciu metrów, w stylu podobnym do dwóch amerykańskich rakiet: Delta IV Heavy United Launch Alliance i Falcon Heavy SpaceX. Nienazwana jak dotąd raketa mierzy 87 m długości. Chiny nie ogłosiły jeszcze daty lotu testowego ani potencjalnego lądowania na Księżycu.

– Rozpoczęła się nowa fala podboju Księżyca. Międzynarodowe projekty współpracy w załogowej eksploracji tego satelity przeplatają się i wpływają na siebie nawzajem. To nowy etap w historii – powiedział w chińskiej telewizji CCTV Zhou Yanfei, zastępca generalnego projektanta chińskiego programu lotów kosmicznych. – Potrzebujemy nowego statku kosmicznego, aby mieć możliwość dotarcia na Księżyc i podróży z powrotem. Jednak zdolności transportowe naszych rakiet Long March wciąż nie są w stanie sprostać tym wymaganiom. Obecnie nasze statki kosmiczne Shenzhou, dobrze funkcjonujące na niskiej orbicie okołoziemskiej, również nie są przygotowane do lądowania na Księżycu. Stoi zatem przed nami wiele wyzwań – podsumował Zhou.

Chińskie wojny gwiazdne



Maria Kądzlewska

Chińska Agencja Kosmiczna nigdy wcześniej nie rozwijała się tak prężnie. Jak Pekin przygotowuje się na podbój kosmosu?

Jak przyznaje Zhou, Chińczycy pracują również nad wieloma nowymi rakietami, aby zmodernizować starsze modele, które wykorzystują paliwo hipergoliczne, charakteryzujące się wysoką toksycznością. Największym technologicznym wyzwaniem dla chińskich inżynierów jest stworzenie rakiet, która może wylądować i zostać wystrzelona ponownie, jak SpaceX Falcon 9. Z rządowymi projektami rywalizuje coraz ambitniejszy sektor komercyjny, który obejmuje firmy takie jak iSpace i Landspace. Opracowują one własne pojazdy, aby konkurować o kontrakty z państwowymi placówkami.

NA ORBICIE ROBI SIĘ TŁOCZNO

15 września Chiny wystrzeliły rakietę typu Long March 11 z platformy oceanicznej na Morzu Żółtym, z powodzeniem wysyłając na orbitę dziewięć satelitów. Po raz pierwszy Pekin wykorzystał do tego celu nowe obiekty portowe w Haiyang we wschodnich Chinach. Tym samym Państwo Środka stało się trzecim krajem po Stanach Zjednoczonych i Rosji, który przeprowadził morski start rakiet kosmicznych.

Sześć z nich to satelity obrazujące, które skanują powierzchnię Ziemi. Są one zdolne do wyświetlania obrazów przedstawiających obiekty nawet jedno-metrowe. Chińczycy będą w takim razie w stanie dojrzeć, w jakim kolorze jest szlafrok, w którym rano wychodzimy na balkon. Ostatnie trzy to satelity wideo. Będą one udostępniać obraz platformie Bilibili oraz państwowemu nadawcy CCTV. Materiały zdobyte przez satelity mają być wykorzystywane w celach popularnonaukowych.

To jednak nie koniec. Celem Chińskiej Agencji Kosmicznej jest stworzenie we współpracy z największymi chińskimi firmami konstelacji 138 komercyjnych satelitów obserwujących Ziemię, zdolnych do zobrazowania dowolnego miejsca na naszym globie od pięciu do siedmiu razy dziennie. Wtedy Chińczycy będą wiedzieć nie tylko, w jakim kolorze jest nasz szlafrok, lecz także jak często wyszliśmy na balkon w ciągu doby.

W chińskich mediach ta misja jest opisywana jako przełom w projekcie kosmicznym. „Wystrzelenie satelitów



Start największej obecnie chińskiej rakiety Long March 5

FOT. LUO YUNFEI/CHINA NEWS SERVICE/GETTY IMAGES

z morza to ważny krok, który podjęliśmy w budowie morskiego systemu wyrzutni rakiet. Budowa morskich platform startowych poszerzy obszary startów statków kosmicznych, poprawi ich wydajność i sprawi, że nasze statki kosmiczne będą bardziej elastyczne i bezpieczniejsze” – skomentował dla państwowych mediów CCTV Li Zongli, dyrektor Taiyuan Satellite Launch Center.

Chiny utworzyły port kosmiczny w mieście Haiyang w prowincji Shandong, aby ułatwić przygotowanie startów rakietowych i stworzyć cały kosmiczny klaster przemysłowy. Centrum, które jest wciąż w fazie rozwoju, obejmie badania kosmiczne, ale także produkcję rakiet, satelitów i statków. „Po ukończeniu centrum będzie w stanie produkować rocznie 20 rakiet nośnych na paliwo stałe. Nasz plan zakłada, że do końca przyszłego roku cały obszar startowy będzie w pełni funkcjonalny” – skomentował Gao Zhongqian, zastępca burmistrza Haiyang, dla chińskiej telewizji CCTV. Celem zakładu w Haiyang jest produk-

cja rakiet również na paliwo ciekłe, ale to na razie wciąż wymyka się możliwościom chińskiej technologii.

STACJA KOSMICZNA

W ubiegłym miesiącu Chińska Agencja Kosmiczna (CMSA), która działa pod skrzydłami Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, ogłosiła, że pierwszy moduł chińskiej stacji kosmicznej, nazwany „Tianhe”, przeszedł ostateczny przegląd. Z najnowszego raportu „SpaceNews” wiemy też, że CMSA dokonało już wyboru astronautów do udziału w nadchodzącym projekcie. Spośród 2,5 tys. kandydatów wybrano 18 – siedmiu pilotów, siedmiu inżynierów lotów kosmicznych i czterech specjalistów od załadunku. Wśród nich znajduje się jedna kobieta. To pierwszy raz, kiedy rekrutacja była otwarta dla cywili.

Zgodnie z planami rządowymi Chińczycy zaczną budować swoją pierwszą załogową stację kosmiczną w 2021 r. Oznacza to, że jeszcze w tym roku Long March 5B umieści główny moduł stacji na orbicie. Następnie będą do niego dosyłane

inne komponenty. W efekcie astronauty zostaną przewiezieni do głównego modułu w celu złożenia stacji. Zgodnie z informacjami Chińskiej Akademii Technologii Kosmicznej stacja wielomodułowa, nazwana Tiangong (Niebiański Pałac), będzie składać się z trzech komponentów, modułu podstawowego połączonego z dwoma laboratoriami kosmicznymi i będzie ważyć ponad 90 ton.

Wszystkie te działania wpisują się w deklarowaną politykę obronną Pekinu, która ma na celu ochronę interesów bezpieczeństwa Chin w przestrzeni kosmicznej, przestrzeni elektromagnetycznej i cyberprzestrzeni. „Pekin poświęcił znaczne środki na rozwój wszystkich aspektów swojego programu kosmicznego, od wojskowych zastosowań kosmicznych do zastosowań cywilnych, takich jak generujące zyski przedsięwzięcia naukowe i eksploracja kosmosu” – czytamy w raporcie dla Pentagonu.

REAKCJA USA

W odpowiedzi na śmiałe plany Chińczyków Pentagon wzywa do zwiększenia nakładów finansowych dla NASA. „Ponieważ Pekin stara się przyciągnąć międzynarodowych partnerów do wspierania własnych celów eksploracji kosmosu i poszerzania wpływów, Stany Zjednoczone muszą utrzymać swoją obecność na niskiej orbicie okołoziemskiej, sprowadzić amerykańskich astronautów z powrotem na Księżyc, wyznaczyć przyszłą ścieżkę eksploracji Marsa oraz utrzymywać stałe zaangażowanie w misje kosmiczne” – czytamy w raporcie.

Republikanie w Kongresie już poparli program zakładający ponowne lądowanie na Księżycu amerykańskiej załogi do 2024 r. Pentagon sformułował również zalecenia dotyczące komercyjnej polityki kosmicznej, takie jak uchwalenie ustawy American Space Commerce Free Enterprise Act w celu zreformowania niektórych przepisów dotyczących przestrzeni komercyjnej, aby „zapewnić stabilne i atrakcyjne środowisko dla prywatnych inwestycji i operacji amerykańskich firm kosmicznych”. Pentagon poparł również plany przyjęcia prawodawstwa dotyczącego zarządzania ruchem kosmicznym. Z pewnością dla amerykańsko-chińska wojna handlowa zaczyna przybierać nowe odsony. My możemy się jedynie uważnie temu przyglądać.



ojczyzny. Tajski władca rządzi bowiem swym państwem z Bawarii.

NOBLIWY POPRZEDNIK

Rama X liczy sobie 68 lat i zasiada na tronie od roku 2016, kiedy to zmarł jego ojciec – Bhumibol Adulyadej, czyli Rama IX. Tajlandia jest monarchią konstytucyjną, na której czele stoją władcy z dynastii Chakri. Jak dotąd nad Tajami panowało 10 królów wywodzących się z tego rodu. Przez większą część XX w. i półtorej pierwszej dekady kolejnego stulecia korona spoczywała na skroniach Bhumibola. Sprawując urząd przez 70 lat, zapisał się w dziejach jako najdłużej panujący monarcha świata, bijąc na głowę dotychczasowych rekordzistów w tej materii, takich jak cesarz Franciszek Józef I (68 lat), królowa Wiktoria (63) czy z czasów nam bliższych – japoński cesarz Hirohito (także 63 lata).

Pełen taktu i dostojeństwa Rama IX był kochany przez swoich poddanych postrzegających go jako ucieleśnienie narodowego ducha i gwarant stabilności ojczyzny. Nawet dokonujący puczków wojskowych generałowie uznawali jego autorytet. Część owych przewrotów zorganizowano zresztą pod hasłem obrony monarchii. Mimo skłonności władcy do udzielania poparcia kolejnym juntom nikt nie mówił o nim złego słowa. I to bynajmniej nie dlatego, że w Tajlandii za krytykę członków rodziny królewskiej (w skład której wlicza się też jej zwierzęta domowe) grozi do 15 lat więzienia. Charyzmatyczny Rama IX potrafił po prostu wywoływać ciepłe uczucia w sercach poddanych. Jego syn nie odziedziczył tej umiejętności.

Jeszcze będąc następcą tronu, jedyny syn Bhumibola dał się poznać jako człowiek, z którego psychiką ewidentnie nie wszystko jest w porządku. Jest to tym smutniejsze, że początkowo zapowiadał się całkiem dobrze. Może pochwalić się dwoma licencjatami i licencją pilota. Służył w tajskiej armii, biorąc udział w walkach przeciw komunistycznej partyzantce. Ufundował sieć szpitali, interesował się rozwojem rolnictwa. W pewnym momencie coraz więcej czasu zaczął spędzać w Niemczech. Możliwe, że przeprowadzkę wymógł na nim ojciec, obawiający się wybuchu skandalu obyczajowego, bo nawet w kraju o ostrej cenzurze pewne rzeczy trudno ukryć.

Kaligula z Tajlandii



Łukasz Czarnecki

Maha Vajiralongkorn Rama X – król Tajlandii – porównywany bywa do Henryka VIII. Bardziej adekwatne jest jednak przywołanie Kaliguli. Ostatnie protesty wskazują, że Tajowie zaczynają powoli mieć dość swojego „oryginalnego” monarchy

Od roku 2006 nad Tajlandią wisi jakieś fatum. W ciągu zaledwie 14 lat kraj stał się sceną dwóch puczków wojskowych i raz za razem wstrząsają nim kryzysy polityczne, które wyprowadzają na ulice tłumy demonstrantów. Protestujące frakcje mienia się wszystkimi barwami – Bangkok paraliżowały już zarówno „żółte”, jak i „czerwone koszule”. Gorąco jest także tej jesieni – w tajskiej stolicy odbywają się prodemokratyczne manifestacje. Wśród wysuwanych żądań jest m.in. ograniczenie władzy monarszej przy równoczesnym powrocie króla do

Porównałem Vajiralongkorna do Kali-guli. Postać szalonego rzymskiego cesarza pojawiła się tu nieprzypadkowo. Jak wiadomo, uczynił on senatorem swego ukochanego konia. Rama X ma na koncie podobny wybryk. Jeszcze jako następca tronu mianował marszałkiem lotnictwa niejakiego Fufu. W sprawie tej nie byłoby może nic niezwykłego, gdyby nie to, że świeżo upieczony marszałek był... pudłem.

Na nominacji się nie skończyło, bo piesek otrzymał też uszyty na miarę mundur. Amerykański ambasador w Tajlandii – Ralph L. Boyce – donosił swemu rządowi w depeszy ujawnionej później przez portal WikiLeaks, że w trakcie oficjalnego przyjęcia na cześć następcy tronu, w którym brało udział 600 gości, Fufu wskoczył na stół i biegał między nakryciami, wsadzając pysk do kieliszków i szklanek biesiadników. Z kolei w roku 2009 w sieci pojawiło się nagranie wideo, na którym książę Vajiralongkorn świętował urodziny ulubionego marszałka w towarzystwie ówczesnej żony i służby. I tu znów diabeł tkwi w szczegółach, bo pikanterii całemu nagraniu dodawało to, że księżna ubrana była wyłącznie w stringi.

Na dzielnego Fufu spadłoby zapewne jeszcze więcej zaszczytów po intronizacji jego pana, niestety, biedny piesek jej nie doczekał i zdechł w roku 2015. Zropaczony następca tronu zorganizował czterodniowe uroczystości pogrzebowe.

KARUZELA Z MAŁŻONKAMI

Osobnym tematem jest życie osobiste Ramy X. Przez sypialnię tajskiego monarchy przewijały się całe tabuny kobiet, w tym cztery żony (albo i pięć, w zależności od tego, jak liczyć). W Tajlandii krąży plotki o jego nieślubnych dzieciach. A także powtarzana szeptem, lecz popularna pogłoska, że Vajiralongkorn w czasie swych seksualnych przygód zaraził się wirusem HIV.

Pierwszą małżonką Ramy X była jego krewniaczka – księżniczka Soamsawali Kitiyakara, z którą wziął ślub w roku 1977. Związek nie był udany, a już dwa lata później ówczesny następca tronu wdał się w romans z niepełnoletnią początkującą aktorką – Yuvadhida Polprasert. To, czego nie znajdował w małżeńskim łożu, Vajiralongkorn rekompensował sobie z kochanką, czego owocem były narodziny pięciorga dzieci. W końcu tajski książę wziął rozwód

z żoną i stanął w 1994 r. na ślubnym kobiercu z wieloletnią metresą.

Małżeńska idylla trwała zaledwie dwa lata, bo w roku 1996 Yuvadhida uciekła wraz z czterema synami do Wielkiej Brytanii. Rozsierdzony małżonek pokrył wówczas zewnętrzne ściany pałacu w Bangkoku plakatami, na których ze szczegółami opisywał domniemaną zdradę małżonki, która przyprawić miała mu rogi z marszałkiem lotnictwa (ale nie z Fufu, zoofilia to jednak za dużo nawet jak na standardy otoczenia Ramy X). Ostatecznie sprawa zakończyła się rozwodem i wydziedziczeniem czterech młodych książąt. Dzisiaj niedoszła królowa Tajów mieszka w USA.

Trzecią żoną była pochodząca z ludu Sriramsi Suwadee, z którą ówczesny następca tronu wziął ślub w roku 2001. Towarzyszyła małżonkowi przez 13 lat i to właśnie ona wystąpiła prawie nago na słynnym przyjęciu urodzinowym książęcego pudła. W roku 2014 doszło jednak do rozwodu, a Sriramsi dostała na odchodne 5,5 mld dol. Mniejsze szczęście mieli jej rodzice, którzy zostali aresztowani i skazani na więzienie.

Skoro już mówimy o tym, że Rama X jest seryjnym rozwodnikiem, warto dodać, że każdorazowo tajski sąd orzekający o anulowaniu małżeństwa winnymi rozpadu związku ogłasza partnerki Vajiralongkorna. Czy oznacza to, że tajlandzkiego władcę ciągle wykorzystują złe kobiety? Bynajmniej – po prostu jego były żony nie mają żadnej możliwości obrony. Jeśli złożyłyby jakiegokolwiek zeznania przeciw małżonkowi, zostałyby skazane na długoletnie więzienie za obrazę majestatu.

W roku 2019 Rama X wziął ślub z byłą stewardesą – Suthidą Tidjai, którą przy okazji promował na stopień generała lotnictwa. Żeby było zabawniej, zaledwie dwa miesiące później członkini gwardii królewskiej – Niramon Ounprom – została wyniesiona do rangi oficjalnej Królewskiej Konkubiny, czyli de facto drugiej małżonki monarchy. Był to szok dla społeczeństwa, gdyż poligamii nie praktykowano na dworze od przeszło wieku. Nastąpiła dziwaczna sytuacja, kiedy w czasie oficjalnych uroczystości państwowych Ramie X towarzyszyły dwie współmałżonki. Trójkąt nie przetrwał jednak zbyt długo, bo zaledwie do października 2019 r., kiedy Niramon została wygnana z pałacu i wtrącona do lochu. Oficjalnym powo-

dem popadnięcia w niełaskę było snucie intryg przeciw królowej w celu zagarnięcia jej tytułu. Jednak we wrześniu tego roku upadła konkubina została uwolniona i dołączyła do przebywającego w Niemczech Vajiralongkorna.

HORROR HAREMU

Jednak nawet połączone siły żony i konkubiny nie są w stanie w pełni zaspokoić chuci tajskiego monarchy. Dlatego u jego boku stale przebywa harem. Wieści, które czasem wydostają się poza ściany królewskiego babinca, są szokujące. Wiosną tego roku w ramach dziennikarskiego śledztwa zebrał je australijski reporter – Andrew MacGregor Marshall. Jeśli wierzyć źródłom, do których dotarł, to część nałożnic jest faszerowana narkotykami, a następnie umieszczana w tzw. pokoju przyjemności, gdzie ich bezwładne ciała są gwałcone przez Ramę X. Kobiety żyją w warunkach podobnych do sekty, a ich królewski kochanek znęca się nad nimi na różne sposoby. Głównym źródłem seksualnych niewolnic są szeregi armii, a zwłaszcza tajskie lotnictwo, w strukturach którego istnieje oddział specjalny złożony wyłącznie z młodych dziewczyn.

Nie ma się zatem czemu dziwić, że od lipca mimo trwającej pandemii na ulice Bangkoku raz z razem wychodzą kolejni demonstranci krzyczący, że kraj nie jest prywatnym folwarkiem Vajiralongkorna. Protestujący skierowali pismo do niemieckiej ambasady, wzywające rząd Angeli Merkel do uznania ich króla za persona non grata. Sami Niemcy też mają już dość swego dziwnego gościa i zapowiedzieli zbadanie, czy przypadkiem swymi rządami na odległość nie łamie prawa międzynarodowego.

Na razie jednak nic nie wskazuje na to, by Rama X został przywołany przez swych poddanych do porządku. Możliwe, że tajski władca powolutku demontuje ustrój Tajlandii, dążąc do przywrócenia monarchii absolutnej. Niepokój budzą zwłaszcza tajemnice zaginięcia krytyków reżimu, z których część znajdowano później martwych. Protestujący na ulicach Bangkoku wykazują się niebywałą odwagą. Niestety, jedynym ustępstwem dokonany wobec nich przez dwór było oficjalne przyjęcie skierowanego do króla listu z postulatami reform. Czy jednak Rama X przeczytał go w zaciszu swego haremu? Wątpliwe.



PANDEMIA NA BOGATO

Podczas pandemii przedsiębiorcy wpadają w tarapaty. Jest to jednak znakomity czas dla innego rodzaju przedsiębiorczości – tej niezbyt legalnej. Siedmiu mężczyzn w USA usłyszało właśnie zarzuty w sprawie gigantycznych wyłudzeń. Złożyli co najmniej 80 fałszywych wniosków w ramach federalnego programu wsparcia dla firm dotkniętych pandemią. W ten sposób uzyskali ok. 16 mln dol. Pieniądze wydawali na luksusowe dobra, m.in. samochody Porsche i Lamborghini.

FOT. ADIBE STOCK

CISZA JAK TA, COVID-OWA

W Japonii, po pobiciu dziennego rekordu liczby zakażonych (2191), premier kraju zaapelował do rodaków. Przytoczył opinię ekspertów, według których istnieje ryzyko zakażeń przy zbiorowym żywieniu. Dlatego japoński szef rządu Yoshihide Suga zasugerował rodakom, by nosili maski także podczas posiłków i w czasie rozmów przy jedzeniu.

KORONAWIRUS SKRACA PICIE

Na wiosnę Szwedzi uznali, że najlepszą strategią jest chorować i umierać, co zaowocowało największą liczbą zgonów na COVID-19 per capita. Teraz, ponieważ wskaźniki zachorowań się pogarszają, rząd zmienił podejście i zamiast zaleceń wprowadza pewne restrykcje. Właśnie bada możliwości nowych zakazów. Wśród planowanych jest... zamykanie barów i restauracji po godz. 22.30. Gdyż, jak wiadomo, napić się i ścisnąć mogą tylko klienci po godz. 22.30, przed tą godziną przychodzą tylko nieawanturujący się.

ODŚNIEŻANIE TRUPAMI

W Irkucku, w Rosji, zamrożoną autostradę posypano piaskiem. Okazało się, że wraz z piaskiem sypano tam fragmenty ludzkich kości, czaszek. Media zaalarmowali lokalni samorządowcy. Wszystko wskazuje na to, że firma wynajęta do utrzymywania drogi krałła piasek i akurat wybierała go z miejsc masowych grobów, gdzie pochowano ofiary rewolucji październikowej z lat 1917–1922. Prace na drodze zostały wstrzymane, firmę zajęła się prokuratura.

MNIEJ DZIECI, WIĘCEJ PSÓW

Niepokojące obserwacje z Tajwanu. Spadająca liczba urodzeń spowodowała, że liczba zwierząt trzymanyh w domach zaczęła już przewyższać liczbę dzieci w wieku do 15 lat. W związku z tym dość łatwo na ulicy spotkać parę z wózkiem, w którym siedzi pies, niż parę z noworodkiem. Rynek wózków dla zwierząt przez dekadę wzrósł tam pięciokrotnie. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

W poszukiwaniu wolności

Organizacja Noyb oskarżyła Facebook i Google, że po wejściu w życie przepisów RODO ich serwisy wymuszają na użytkownikach zgody na akceptację przetwarzania danych, strasząc zablokowaniem dostępu do usług. Zdaniem oskarżycieli taka praktyka to zaprzeczenie ducha RODO – poinformowały Wirtualne-media.pl. Facebook za występowanie z pozycji siły krytykowany jest nie tylko przez tych, którzy chcieliby zachować przed Zuckerbergiem choć odrobinę prywatności, lecz także przez osoby, które mają dość facebookowych cenzorów, których zachowanie może przywołać na myśl mroczne czasy komunizmu.

Miliony Amerykanów, którzy nie zgadzają się na cenzurę, porzucają więc serwisy, takie jak Facebook czy Twitter, i szukają aplikacji oferujących wolność słowa. Jedną z nich ma być Parler, którego nazwa pochodzi od francuskiego czasownika „mówić”. Nowa platforma jest niemal wolna od ingerencji cenzorów: usuwane są tylko groźby kierowane pod adresem innych użytkowników oraz posty dotyczące działalności sprzecznej z prawem.

Dzięki temu w tygodniu wyborów prezydenckich w USA aplikacja Parler była najczęściej pobieraną ze sklepu Apple oraz drugą w kolejności ze sklepu Google Play. Serwis, założony w roku 2018 przez Johna

Matzego i Jareda Thomsona, na początku listopada podwoił liczbę użytkowników i ma ich już ponad 10 mln. Osoby, które cenią swoją prywatność i/lub mają dość facebookowych cenzorów, mogą też skorzystać np. z platformy MeWe, której hasło brzmi „Twoje życie prywatne jest #Not4Sale” i która ma już ponad 9 mln użytkowników. Sporo, choć Facebooka nadal używa aż 2,6 mld (!) osób.

Sam Donald Trump ma jednak 70 mln fanów. Jeśli więc przeniesie się do serwisu konkurencyjnego dla Twittera lub założy własny, to w jego ślady mogą podążyć miliony prawicowych internautów. Nie tylko w USA. ©

Pora na arbitraż plus

Sądownictwo gospodarcze w Polsce jakie jest, każdy widzi. Kto chociaż raz się z nim zetknął, ten wie, że lepiej nie mieć z nim do czynienia ponownie. To potężna bariera rozwojowa dla naszego kraju, z którą praktycznie od początku transformacji nie udało się zbyt wiele zrobić. A prawda

wyroki mają taką samą moc jak orzeczenie sądu powszechnego. Może on orzekać w większości spraw gospodarczych. Strony mogą się umówić, że w razie zaistnienia między nimi sporu, to właśnie sąd polubowny będzie uprawnionym do jego rozstrzygnięcia. Przy czym należy określić, jaki to będzie

trafić powinna w ręce wysokiej klasy ekspertów. Poza tym mamy prawo oczekiwać, że wyrok zapadnie szybciej niż w sądzie powszechnym, zyskujemy zatem coś bardzo istotnego, a mianowicie czas.

Wadą sądownictwa arbitrażowego są koszty. Najczęściej są one uzależnione od wartości przedmiotu sporu. W grę wchodzi przeważnie kwoty na poziomie kilkudziesięciu/kilkuset tysięcy złotych. A to stawki dla licznych, szczególnie mniejszych firm nieosiągalne. To sprawia, że o arbitrażu myśli niewielu przedsiębiorców, a nawet jeśli myślą, to szybko zniechęcają ich podane wyżej sumy. Nie jest jednak tak, że tej trudności nie można rozwiązać. Tutaj powinno się zaangażować państwo, tworząc np. specjalny budżet grantowy, z którego współfinansowane byłyby sądy arbitrażowe. Jeśli zatem dana organizacja ma taki sąd i chce rozwijać jego działalność, to mogłaby się o takie dofinansowanie ubiegać. Część wydatków musiałyby pokryć zainteresowane strony, niemniej przy partycypacji państwa można by je wydatnie obniżyć.

Myślę, że wskazany wyżej kierunek warto wziąć pod uwagę. Przy odrobinie dobrej woli po stronie środowiska przedsiębiorców oraz instytucji państwowych wypracować można rozwiązanie korzystne i stosunkowo niedrogi. Może przyszła już pora na arbitraż plus? Oby coś się w tym temacie zmieniło.

*Autor jest prezesem
Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl*



Piotr Hofman, prezes Rady
Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

jest taka, że bez sprawnego, szybkiego i profesjonalnego sądownictwa gospodarczego nie będzie trwałych fundamentów wzrostu ekonomicznego.

Oczekiwanie na wyrok, nawet w prostej zdawałoby się sprawie, trwa u nas latami. Pierwsza instancja, potem druga i potem jakże często, znowu pierwsza, gdzie wszystko zaczyna się od nowa. Czas mija, a sprawiedliwości ani widu, ani słychu. To przykra rzeczywistość. Tyle diagnoza. Teraz pora zastanowić się nad lekiem na tę przewlekłą chorobę.

Jedną z propozycji, które są na stole, jest arbitraż, czyli sądownictwo polubowne. Mówimy tutaj o podmiocie, który nie jest sądem powszechnym, ale jego

sąd i w jakich wypadkach ma on prawo do wydawania wyroku w razie zaistnienia konfliktu. Sprawy te reguluje specjalna umowa, w której zainteresowani określają te kwestie.

Takie rozwiązanie daje zaangażowanym stronom określone korzyści. Kluczową cechą sądów arbitrażowych jest to, że powinni tam zasiadać specjaliści z danej dziedziny. Warto przy tym zaznaczyć, że nie muszą to być sami prawnicy, lecz mogą być także przedstawiciele innych dziedzin. Można sobie zatem wyobrazić, że znajdują się w jego składzie biegli rewidenci, znawcy zarządzania czy wyróżniający się wiedzą o danej branży lub sektorze. Innymi słowy sprawa



Boom na gry z Polski



Jacek Przybylski

Już w zeszłym roku dochody ze sprzedaży gier, polskiego hitu eksportowego, przekroczyły 2,1 mld zł. W roku 2020 ich twórcy chcą znacznie pobić ten wynik. Sprzedaży gier mocno sprzyjają pandemia i rewolucja sprzętowa, czyli listopadowe premiery nowych konsol: PlayStation 5 oraz Xbox Series X

Mało jest polskich produktów, o których jeszcze przed ich debiutem mówi cały świat. Tymczasem gracze w USA, Azji czy Ameryce Południowej odliczają dni do premiery „Cyberpunka 2077”. Kilkakrotne przekładanie premiery produktu polskiego studia nie tylko urosło w niektórych kręgach do rangi tragedii narodowej, lecz także spowodowało, że twórcy gry otrzymali tak wiele gróźb śmierci z różnych regionów świata,

Na premierę „Cyberpunka” czekają miliony graczy na całym świecie

FOT. EMANUELE CREMASCHI/GETTY IMAGES

bowiem 1,2 mld zł, co oznacza, że tytuł ten będzie jedną z najdroższych gier w historii światowych produkcji tego typu. Zdaniem analityków ma też potencjał, aby stać się najbardziej dochodowym tytułem w historii światowego przemysłu gier wideo.

DRUGA JAPONIA

CD Projekt planuje również wykonać to, że jej produkt stał się jedną z najbardziej wyczekiwanych gier na świecie – pierwsze demo tego tytułu polskie studio pokazało już w roku 2018, więc gra osiągnęła rozgłos bez wydawania kroci na promocję.

Polska spółka nawiązała więc współpracę z firmą OnePlus, której efektem jest limitowana edycja smartfona OnePlus 8T. Jego design inspirowany był grą „Cyberpunk 2077”. Niestety, w tygodniu oddawania tego wydania „Do Rzeczy” do druku wyceniony na równowartość 2,5 tys. zł smartfon dla fanów „Cyberpunka” był dostępny jedynie w Chinach. Być może w grudniu zadebiutuje również nad Wisłą.

Z pewnością zaś grudniowa premiera gry może być jednym z najważniejszych wydarzeń czwartego kwartału nie tylko w świecie rozrywki, lecz także w świecie biznesu: CD Projekt ma największy udział w indeksie WIG20 i jest wyjątkowo lubiany przez drobnych inwestorów. Według prognoz analityków DM BOŚ w tym roku polskie studio zarobi w sumie 2,223 mld zł, a w roku 2021 będzie to 1,822 mld zł.

Debiut „Cyberpunka” może przyciągnąć jeszcze więcej inwestorów do branży, która i tak nie może narzekać na brak zainteresowania. Na warszawskiej giełdzie notowanych jest już ponad 40 spółek twórców gier – więcej tego typu spółek można znaleźć tylko na giełdzie papierów wartościowych w Tokio. Najwyżej wycenianą z nich jest CD Projekt (jej kapitalizacja wynosi ponad 35,525 mld zł i nadal przekracza wartość takich rodowych klejnotów Skarbu Państwa jak PKN Orlen czy PZU).

W pierwszej trójce producentów gier na warszawskiej giełdzie są też Ten Square Games oraz PlayWay.

PANDEMIA I REWOLUCJA

Tradycyjne przedświąteczne żniwa w tym roku powinny być rekordowe ze względu na długo wyczekiwane premiery nowych konsol. 19 listopada zadebiutowało PlayStation 5 z ośmiordzenio-

wym procesorem Ryzen Zen 2, 16 GB szybkiej pamięci GDDR6, ultraszybkim dyskiem SSD, czytnikiem Blu-ray (lub w wersji bez żadnego napędu), poprawionym dźwiękiem oraz możliwością grania w rozdzielczości wynoszącej nawet 4320 pikseli. Nowością kolejnej edycji japońskiej konsoli jest także nowa generacja kontrolerów DualSense, w których klasyczne vibracje zastąpiła technologia haptyczna. Dzięki niej gracz będzie mógł odróżnić, czy kierowany przez niego bohater biegnie po betonie, czy np. przedziera się przez ciemne, grząskie trzęsawiska.

10 listopada premierę miała również konsola Xbox Series X. Nową edycję gadżetu od amerykańskiego Microsoftu wyróżnia m.in. szybkość ładowania gier (dzięki dyskowi SSD) czy rozdzielczość 4K przy zachowaniu 120 klatek na sekundę.

W dniu premiery nowych konsol do sprzedaży trafiły już nowe lub odświeżone polskie tytuły.

Wśród tytułów startowych nowego Xboxa X oraz PlayStation 5 była m.in. gra „Observer: System Redux”, mroczny thriller polskiego Bloober Team. Notowane na warszawskiej giełdzie polskie studio szykuje też debiut na nowych konsolach gry „The Medium”, której premierę przesunięto na 28 stycznia 2021 r. Tytuł, w którym gracz wciela się w kobietę komunikującą się z duchami, to jednocześnie najdroższa produkcja Bloober Team – jej stworzenie według prezesa Piotra Babeno kosztowało ponad 30 mln zł (budżet „Observer: System Redux” zamknął się poniżej 10 mln zł).

W zeszłym tygodniu studio CD Projekt pokazało, jak „Cyberpunk 2077” wygląda na konsolach Xbox One X i Xbox Series X. W grę – którą można już też zamawiać w przedsprzedaży – będzie też można grać na PlayStation oraz tradycyjnych komputerach PC. Według prognoz analityków sprzedaż „Cyberpunka” w ciągu 12 miesięcy od premiery przekroczy 25 mln, a być może – m.in. dzięki pandemii koronawirusa – nawet 35 mln kopii.

Sektor gamingu na całym świecie, w tym w Polsce, znacząco wspierają także pandemia COVID-19 i towarzyszące jej lockdowny. W świecie zamkniętych kin, pustych sal koncertowych i stadionów piłkarskich przerobionych na szpitale gry wideo stały się ulubioną, a do tego dostępną i taną rozrywką. Polscy producenci gier w wielu krajach odnotowali więc ogromny skok sprzedaży bez

iz Andrzej Zawadzki, starszy projektant gry, napisał na Twitterze: „Wysyłanie gróźb śmierci do deweloperów jest zupełnie nieakceptowalne i po prostu złe. Jesteśmy ludźmi, tak jak wy”.

Najnowszy produkt CD Projekt, który ma wreszcie zadebiutować 10 grudnia 2020 r., budzi ogromne nadzieje również wśród inwestorów. Sądząc po wydatkach na produkcję, jest na co czekać. Łączny budżet „Cyberpunka” – według analityków Domu Maklerskiego BOŚ – wyniósł

■ wydawania dodatkowych pieniędzy na reklamę czy marketing.

CD Projekt, twórca m.in. popularnego „Wiedźmina”, zarobił w pierwszym półroczu 2020 r. 146,8 mln zł zysku netto w porównaniu z 51,5 mln zł osiągniętymi w analogicznym okresie 2019 r. (wzrost w ujęciu rok do roku wyniósł więc aż 185 proc.). Spółka Ten Square Games w październiku pochwaliła się wzrostem przychodów w trzecim kwartale 2020 r. do 177,8 mln zł ze 68,1 mln zł w trzecim kwartale roku 2019. 92 proc. przychodów przyniosła spółce gra „Fishing Clash”, czyli nowoczesny symulator wędkarski. 11 bit studios w ciągu dziewięciu miesięcy 2020 r. wypracowało 68,2 ml zł przychodów (37,9 proc. więcej niż w analogicznym okresie 2019 r.). Wynikami błysnęła również spółka PlayWay, która tylko w drugim kwartale 2020 r. odnotowała 66,6 mln zł przychodów. 90 proc. polskich podmiotów z branży gamedev (video game development) funkcjonuje jednak poza GPW. Zaliczają się do nich na przykład Huuuge Games i Techland, czyli druga i trzecia największa firma w branży. Nienotowane firmy generują zaś 45 proc. przychodów całego sektora.

MILIARDY GODZIN TRANSMISJI

Kolejne rządowe restrykcje, np. zamknięcie szkół, napędziły nie tylko sprzedaż poszczególnych tytułów gier, lecz także serwisów streamingowych czy platform typu Twitch.tv służących do transmisji gier komputerowych. Jak zauważyli na początku listopada analitycy Polskiego Instytutu Ekonomicznego, III kwartał obecnego roku był rekordowy dla branży, widzowie obejrzeliby bowiem łącznie aż 7,5 mld (!) godzin transmisji e-gier. Analitycy PTE spodziewają się utrzymania „korzystnego dla branży trendu także w kolejnych kwartałach” – zdalna edukacja pozwala bowiem uczniom na jednoczesne słuchanie nauczyciela w jednym oknie i oglądanie streamu z gier w drugim.

Niewykluczone, że części uczniów taka strategia wyjdzie na dobre. E-sport również błyskawicznie się rozwija i pozwala najlepszym graczom na zarabianie na turniejach setek tysięcy dolarów (a do wygranych z turniejów doliczyć trzeba jeszcze kontrakty reklamowe i sponsorские nie tylko od producentów sprzętu komputerowego, lecz także np. od gigantów z branży odzieżowej).

Najlepsi gracze niczym profesjonalni tradycyjni sportowcy ćwiczą po sześć-

osiem godzin dziennie i podobnie jak zapaleni amatorzy regularnie inwestują w nowy sprzęt, wymieniając m.in. procesory, dyski, karty graficzne etc.

HOLLYWOOD POKONANY

Z raportu „The game industry of Poland” wynika, że Polska zajmuje siódme miejsce na globalnym rynku gier. W naszym kraju gry produkuje obecnie ponad 440 firm, które zatrudniają 9,7 tys. osób.

– Polskie gry mają coraz większy rozmach i jak przystało na przedsiębiorstwa na hollywoodzką miarę, zatrudniają coraz więcej specjalistów z różnych branż. W sektorze gamingowym pracę znajdują więc nie tylko programiści i deweloperzy, lecz także designerzy, graficy, scenarzyści czy twórcy muzyki – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy” Sławomir Biedermann, ekspert z Departamentu Wsparcia Przedsiębiorczości PARP. – W Polsce przybywa też specjalizujących się w branży gamingowej marketingowców, a także biur prawnych, które zajmują się głównie kwestiami praw autorskich i konkretnymi przepisami związanymi z gamingiem – dodaje Biedermann.

Większość zespołów jest niewielka, 40 proc. firm zatrudnia od 6 do 16 osób, ale są też studia, które zatrudniają powyżej 200 pracowników.

Samych graczy jest w Polsce ok. 16 mln (generują oni rynek wart 596 mln dol.), a ich liczba na całym świecie szacowana jest na ponad 2 mld! Co roku na rynek ten trafia ok. 480 nowych polskich produkcji. Z opublikowanego we wrześniu przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości raportu „The game industry of Poland” wynika także, że tylko w 2019 r. dochody ze sprzedaży polskich gier przekroczyły 2,1 mld zł, a 96 proc. przychodów branży stanowi eksport. Wynika to z dużej globalizacji rynku gier, którego wartość w 2020 r. ma według prognoz firmy Newzoo wzrosnąć o 9,3 proc. do 159,3 mld dol. W roku 2023 wartość globalnego rynku gier może zaś przekroczyć 200 mld dol.

Aby łatwiej można było wyobrazić sobie taką kwotę, przychody z gier wideo szacowane są na trzykrotność tego, ile pozwala zarobić światowa produkcja filmowa. Dane dotyczące sprzedaży gier zawstydzają także wszelkie gwiazdy muzyki – globalna branża muzyczna przynosi bowiem rocznie niecałe 20 mld dol. A np. gra „Grand Theft Auto V” swój pierwszy miliard dolarów zarobiła już

w ciągu pierwszych trzech dni sprzedaży, a łącznie gra, której wyprodukowanie kosztowało 265 mln dol., sprzedała się w ponad 100 mln egzemplarzy i przyniosła twórcom już ponad 6 mld dol. przychodów. Twórcy gier nauczyli się też znakomicie zarabiać na tytułach, w które można grać za darmo. Rekordzistka – darmowa gra akcji „Fortnite” ze stajni Epic Games – zarobiła w 2019 r. 1,8 mld dol.

Nie będzie więc dużym zaskoczeniem to, że przez ostatnie 10 lat branża gier wideo zarobiła więcej niż Hollywood i branża muzyczna razem wzięte.

TWÓRCY MIGRUJĄ DO POLSKI

Szybki wzrost zysków ze sprzedaży przynoszą nie tylko konsole, lecz także gry mobilne na telefonach, które przeszły bardzo długą drogę od czasu słynnego „Snake’a” na komórkach Nokii. Wartość rynku gier mobilnych do końca przyszłego roku powinna stanowić już ok. 60 proc. całego rynku. Spodziewana wartość globalnych przychodów z gier mobilnych ma wzrosnąć w tym roku o 13 proc. – do 77,2 mld dol.

To doskonała wiadomość dla polskiej branży gamedev. Studia nad Wisłą tworzą bowiem coraz bardziej rozbudowane tytuły. „Polską specjalnością są także symulatory czy gry wykorzystujące fotogrametrię, czyli technikę zajmującą się odtwarzaniem kształtów, rozmiarów i wzajemnego położenia obiektów w terenie na podstawie zdjęć” – zauważyli autorzy raportu. W 2019 r. najwięcej z nich ukazało się na Nintendo Switch (133, w porównaniu z 69 w 2018 r.) i na PC (99, czyli o jedną mniej niż w 2018 r.). Na fanów VR czekały 33 gry. Polscy producenci wydali 25 gier na Xbox One i 23 na PlayStation 4 oraz po ok. 100 na każdej z dwóch platform mobilnych. Dzięki inwestycjom w różne typy gier polska branża gamedev odnotowuje wzrosty wynoszące ok. 30 proc. rocznie.

– W swoim raporcie chcieliśmy pokazać, że polska branża gamingowa to już nie tylko CD Projekt, lecz także wiele innych firm, które prężnie się rozwijają i które są już rozpoznawalne – mówi „Do Rzeczy” Sławomir Biedermann z PARP. – Warto zauważyć, że niemal wszystkie firmy mają polskich właścicieli. W Polsce okazuje to rozwoju widzi coraz więcej międzynarodowych deweloperów, którzy przenoszą się do naszego kraju. Są wśród nich twórcy z Rumunii, Bułgarii, ale też np. z Norwegii – dodaje Sławomir Biedermann.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

Retransmisja wręczenia nagród
na dorzeczy.pl
niedziela 29.11, od godz. 20

Relacja z gali w najbliższym
numerze tygodnika „Do Rzeczy”.
Zapraszamy.

WSPÓŁORGANIZATORZY



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY

PROJEKT ZREALIZOWANY
WE WSPÓŁPRACY Z NARODOWYM
CENTRUM KULTURY

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY, DZIEDZICTWA
NARODOWEGO I SPORTU



IM. WACŁAWA FELCZAKA

MECENAS



PARTNER
STRATEGICZNY



PARTNERZY



KGHM
POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 65b11aff79



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Weto w lipcu byłoby lepsze?

Kto się mylił, a kto miał rację, gdy po lipcowym szczycie UE premier Morawiecki z emfazą obwieszczał zwycięstwo Polski w negocjacjach nad unijnym budżetem i Funduszem Odbudowy, a jego adwersarze – także ze Zjednoczonej Prawicy – przestrzegali, że niestety nie ma powodów do radości? Wskazywali, że wywalczone miliardy euro szybko mogą się okazać gruszkami na wierzbie, zależnymi od widzimisię możnych z Brukseli, Berlina i Paryża, którzy podczas szczytu sprawili sobie poręczną pałkę, uzależniając ich wypłatę od „przestrzegania praworządności” – rzecz jasna takiej, jaką oni ją widzą. Kto więc się mylił, a kto miał rację, gdy zarzucano wówczas szefowi rządu, że powinien był skorzystać z groźby weta, a on twierdził, że dużo skuteczniejszą bronią są „zdolności negocjacyjne, budowania koalicji i przekonywania”, a użycie weta porównał do „strzelenia sobie w łeb”?

Jak znam życie, a zwłaszcza „życie polityków”, czyli zdolność, a jeszcze bardziej skłonność polityków do publicznej autorefleksji, obie strony sporu po wsze czasy będą zapewniać, że miały wtedy rację, choć gołym okiem widać, jak jest. I czego pierwszym znakiem było oświadczenie złożone przez szefa PiS Jarosława Kaczyńskiego, który w połowie października, na łamach „GPC” wprost zagroził: „Nie damy się terroryzować pieniędzmi. Weto. Non possumus”. A następnymi znakami były kolejne, utrzymane w tym samym tonie deklaracje,

w tym Solidarnej Polski, która zachęcała do weta już w lipcu.

Niemal z tych deklaracji padło także po tym, gdy nieco złagodzone w projekcie UE zapis wiążący wypłatę unijnych pieniędzy z „przestrzeganiem praworządności” – czemu trudno się dziwić, w końcu polscy politycy nie od dziś znają metody działania eurokratów. W przypływie szczerości raz jeszcze odsłonił je zresztą w wywiadzie dla „Business Insider” Marek Prawda, przedstawiciel Komisji Europejskiej w Polsce, oznajmiając: „Nawet osłabiona kwestia praworządności będzie miała jedną wielką zaletę. Po prostu powstanie i będzie mogła być udoskonalana w przyszłości. Kolejne małe kroki przybliżą nas do automatycznego mechanizmu, który będzie zakładać, że nieprzestrzeganie wyroków Trybunału Sprawiedliwości UE spotka się z utratą dostępu do środków unijnych”.

Na postawione na wstępie pytanie, kto po lipcowym szczycie UE miał rację, a kto się mylił, odpowiedzi udzielił niedawno – chcąc nie chcąc – sam premier Morawiecki, wetując w imieniu Polski budżet UE na lata 2021–2027, jeśli wypłaty miałyby być związane z „przestrzeganiem praworządności”. Teraz nasuwa się kolejne pytanie: Czy doszłoby do tego, to znaczy – czy musiałyby dojść do tego weta, gdyby Polska ostro zagroziła wetem już w lipcu? Nie godząc się wtedy na wprowadzenie do unijnych dokumentów zapisów o wiązaniu wypłat z kasy UE z „przestrzeganiem praworządności”. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Radziejewscy 365 lat później

Jest rok 1655. W Sienkiewiczowskim „Potopie” Wittenberg, wódz naczelny wkraczających właśnie do Wielkopolski wojsk szwedzkich, rozmawia z otyłym człowiekiem, przybranym „w kapeluszu z piórem i jasną peruką spadającą na ramiona”.

– Wasza miłość upewniaz mnie – rzekł [Wittenberg] – że z tymi siłami można złamać wojska stojące pod Ujściem?

Człowiek w jasnej peruce uśmiechnął się i rzekł:

– Wasza miłość zupełnie może polegać na mych słowach, za które głową ręczę gotowym. Gdyby pod Ujściem

Sienkiewicz już w dalszej części „Trylogii” nie wspomina.

Warto zwrócić uwagę, że w cytowanej scenie Radziejewski powiada o szwedzkich siłach: „nasze”. To oczywiście tylko jeden z niezliczonych przykładów, kiedy Polacy upatrywali realizacji własnego interesu albo – trzeba przyznać – realizacji interesu Rzeczypospolitej w obcej interwencji. Ba, taka szczerza intencja przyświecała nawet pewnej części uczestników konfederacji targowickiej. Może i samemu królowi Stanisławowi Augustowi. A jednak skutki niemal zawsze były opłakane, zaś obca siła na ogół umiała wystrychnąć nas bezlitośnie na dudka. Nie-szczęśny Konrad Mazowiecki sprowadzający do polski rycerzy Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie stał się w tym względzie postacią symboliczną.

A jednak wszystkie nauki idą w las. Batalia o powiązanie unijnych funduszy z praworządnością jest klasycznym powtórzeniem historii. Władza, którą można krytykować za niezliczone jej działania, daje pretekst do wmieszania się siły zewnętrznej, a opozycja chwytając się tej możliwości, sądząc, że skorzysta, a może nawet – założmy – że pomaga w ten sposób Polsce. Nic bardziej mylnego – to otwarcie drzwi dla arbitralnej zewnętrznej interwencji. Kłómy się, szarpmy, bijmy – ale tu, u nas, sami ze sobą, bez udziału Wittenbergów czy zakonu szpitalników. Może pewne rzeczy po prostu muszą się wydarzać wciąż na nowo. ©©

**Kłómy się,
szarpmy, bijmy
– ale tu, u nas, sami
ze sobą, bez udziału
Wittenbergów
czy zakonu
szpitalników**

były wojska regularne i którykolwiek z hetmanów, tedybym pierwszy radził nie kwapić się i poczekać, aż jego królewska moc z całą armią nadciągnie; ale przeciw pospolitemu ruszeniu i tym panom wielkopolskim siły nasze aż nadto wystarczą.

Otyłym człowiekiem jest jeden z najsłynniejszych zdrajców w dziejach Rzeczypospolitej, Hieronim Radziejewski. Postać skądinąd biograficznie fascynująca, bo po szwedzkim najeździe odzyskał łaski dworu i pozostał wierny królowi nawet w czasie rokoszu Lubomirskiego. O tym jednak



TEST „DO RZECZY”: MICROSOFT SURFACE BOOK 3

Fantastyczny dotykowy wyświetlacz, bardzo dobra klawiatura oraz niezły czas pracy na baterii – to największe zalety luksusowej hybrydy typu dwa w jednym amerykańskiej firmy Microsoft.

Bardzo starannie zaprojektowany i wykonany Surface Book 3 to z założenia potężna maszyna. Konwertowalny laptop oferowany jest w wersji z ekranem 13,5 oraz 15,6 cala (wersja testowana), procesor i5 lub i7 10. generacji, a także z różną ilością RAM-u (maksymalnie 32 GB) oraz wielkością dysku twardego (maksymalnie to 2 TB). W zestawie jest też karta graficzna Nvidia GeForce GTX. Jak na tablet taka konfiguracja brzmi rewelacyjnie (jak na laptopa już nie aż tak bardzo, ale wciąż jest niezłe).

Podobać mogą się: niewielka waga (1,8 kg), możliwość ustawienia laptopa w trybie namiotu lub odpięcia wyświetlacza i stosunkowo szybkiego (2–3 s) przejścia na tryb tabletu (wówczas waga gadżetu spada do zaledwie 0,8 kg). Na pochwałę zasługują także niezwykle komfortowa w użytkowaniu podświetlana klawiatura, a także fantastyczny dotykowy wyświetlacz o rozdzielczości 3240 x 2460 pikseli (4K) w modelu 15-calowym (lub 3000 x 2000 pikseli w modelu 13-calowym). Kolory są świetne, kontrast super. Plusem jest także wysoka maksymalna jasność, która wynosi nieco ponad 400 nitów.

Imponujący jest także deklarowany czas pracy na baterii. Według producenta w modelu

15-calowym wynosi on aż 17,5 godziny. W realnym użytkowaniu czas ten to ok. 12–15 godzin, czyli też bardzo przyzwoicie. A także liczba dostępnych portów (dwa USB 3.1 typu A, USB 3.1 typu C, gniazdo jack 3,5 mm, a także pełnowymiarowy czytnik kart SDXC). Przydatne jest także Wi-Fi szóstej generacji, która zwiększa prędkość przesyłu danych, a także oznacza lepszy zasięg.

Wady? Szkoda, że nawet w najdroższej wersji procesor jest maksymalnie czterordzeniowy (konkurencja oferuje sześć- lub nawet ośmiorzeniowe procesory, przez co urządzenie bardziej nadaje się np. dla zapalonych graczy). Poza tym przydałby się czytnik linii papilarnych (kamera do rozpoznawania twarzy nie zawsze działa niezawodnie). Po sprzęcie za tak ogromne pieniądze można by również oczekiwać lepiej grających głośników (nieźle nadają się do wideokonferencji lub nawet do obejrzenia filmu, ale do odtwarzania dobrej muzyki trzeba już podłączyć coś innego). Żałuję także, że żaden z portów nie obsługuje technologii Thunderbolt 3.

Mimo tych minusów Surface Book 3 powinien zadowolić nie tylko odbiorców multimediów, lecz także wielu architektów, fotografów oraz wiele osób zajmujących się obróbką grafiki lub materiałów wideo, które szukają alternatywy dla laptopów Della czy produktów z jabłkiem w logo. Niestety, jest bardzo drogi. Koszt zakupu tego modelu zaczyna się od 8379 zł. Testowany egzemplarz z 15-calowym wyświetlaczem, 32 GB pamięci RAM oraz dyskiem 512 GB SSD kosztuje aż 17 959 zł. ©©

Jacek Przybylski

OSOBISTY OCZYSZCZACZ POWIETRZA BRANSOLETKA PAWŁOWA



LG PuriCare, czyli maska od LG wyposażona w dwa wysokowydajne filtry HEPA H13 oraz sterowane specjalnymi czujnikami wentylatory, weszła już do sprzedaży. Według producenta mobilne urządzenie pomaga w walce z zanieczyszczeniem powietrza, a także z alergenami, bakte-

riami oraz wirusami. Skuteczność filtracji ma wynosić ponoć aż 99,97 proc. Akumulator o pojemności 820 mAh ma wystarczyć na cztery–osiem godzin pracy (w zależności od włączonego trybu, a do wyboru są: prędkość niska, średnia i wysoka). Produkt zadebiutował już w Azji, gdzie kosztuje ok. 600 zł. W Polsce ma się pojawić w styczniu 2021 r. Cena nad Wisłą będzie zapewne wyższa niż w Azji, ale w dobie pandemii gadżet i tak może okazać się bestsellerem.

Pavlok 3 – tak nazywa się gadżet, który przez twórców reklamowany jest jako osobisty trener, ułatwiający oduczenie się złych nawyków. Noszona na nadgarstku bransoletka karci swego właściciela (dźwiękiem, wibrowaniem lub impulsem elektrycznym), gdy ten zje kolejny kebab, odpali papierosa, weźmie się do obgryzania paznokci lub spędzi cały dzień na oglądaniu Instagrama. Urządzenie współpracuje z pakietem dedykowanych aplikacji w smartfonie (stąd dzięki danym GPS wie np., że znów zajrzeliśmy do fast foodu). Według producenta wystarczy kilka dni z bransoletką pod napięciem, aby nauczyć się dokonywania mądrych wyborów. Gadżet nie tylko ma monitorować własne zwyczaje, lecz także kontrolować sen i delikatnie z niego wybudzać (na szczęście nie prądem, lecz za pomocą wibracji). To już trzecia edycja tego urządzenia, co oznacza, że klientów raczej nie brakuje. Gadżet kosztuje 99 dol., czyli równowartość ok. 380 zł. Dostawy mają ruszyć w styczniu. ©©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRACOWNIE



Joanna Bojańczyk

Turnusy milczenia to coraz bardziej poszukiwany sposób na pozbycie się zamętu cywilizacji. „Wspaniały czas i dobre doświadczenie”, „W milczeniu odnajduję kontakt ze sobą” – mówią uczestnicy takich programów

Musi pani w domu odetchnąć z ulgą, kiedy nie ma już tej muzyki? – spytałam sprzedawczynię w dużej sieci handlowej, gdzie disco płynie z głośników non stop. Spojrzała na mnie zdziwiona, jakby nie rozumiejąc pytania. – Ja w ogóle tego nie słyszę. Jestem przyzwyczajona – odpowiedziała.

Nie śmiałabym biegających w lesie joggerów okablowanych słuchawkami zapytać, czy nie woleliby posłuchać ptaków czy szumu drzew. Pomyśleliby, że zwariowałam.

Większość ludzi żyje w hałasie od rana do wieczora. Cisza byłaby dla nich nie do zniesienia.

Dźwiękami atakują media, sklepy, przestrzenie publiczne. Ruch pojazdów, klaksony, karetki pogotowia, odgłosy budowy. W pomieszczeniach szumią komputery, klimatyzatory, open space'y z ich przyciszonym, lecz nieustannym szumem. Wiertarka w mieszkaniu sąsiadów, nocna impreza u innych. Od wszechobecnego zanieczyszczenia sensorycznego nie ma ucieczki.

A mimo to w lesie nakłada się na uszy słuchawki z muzyką. Dlaczego? Czy po to, żeby nie narażać się na dojmujący brak dźwięku? Czy są miejsca na świecie, w których można znaleźć ciszę, dobro coraz trudniej dostępne? Coraz bardziej poszukiwanym sposobem na oczyszczenie się z zamętu cywilizacji stały się ostatnio wczasy milczenia. Milczeć przez tydzień, dwa tygodnie, milczeć w grupie. To skok na głęboką wodę. Ale chętni są. Nawet coraz więcej.

Dzisiaj, kiedy celebryci dyktują młodym ludziom zachowania, Instagram pełen jest zwierzeń, jaką cudowną kuracją dla ciała i umysłu był dla nich post od gadania. Zaznali go top modelka Gisele Bündchen, aktorka Emma Watson, nawet francuski



pisarz Emmanuel Carrère. Potrafili przez 8 godzin dziennie i 10 dni wytrzymać w milczeniu. Nie za karę, lecz praktykując starożytną buddyjską technikę oczyszczającą umysł i prowadzącą do iluminacji. „Jedź, módl się i kochaj” – to z kolei formuła, którą wybrała aktorka Julia Roberts.

OCZYSZCZENIE

U nas z możliwości wyciszenia można skorzystać głównie w klasztorach. Na turnusy wyciszenia zaprasza pokamedulski klasztor w Wigrach, wspaniale położony nad jeziorem. Przez cały rok są tam organizowane rekolekcje: dla narzeczonych, małżeństw, seniorów. Sanus per silentium – przez ciszę do zdrowia. Życie na nich zwalnia – rytm jest taki jak ponad 300 lat temu, kiedy nad Wigrami byli jeszcze kameduli. Przebodźcowani, zdenerwowani, wypaleni pobędą w klasztornych murach parę dni bez telefonu, telewizji i Internetu. Odkryją siebie na nowo, uspokoją się. Można mieszkać w klasztorze lub w domkach pustelników. Prawdziwy chillout.

– Klasztor Benedyktynów w Tyńcu, najstarszy istniejący klasztor w Polsce,

nadal wypełniający cele, dla których 1000 lat temu powstał, jest wciąż miejscem, gdzie ludzie przychodzą, aby odnaleźć podstawowe wartości i odkryć na nowo wartość spotkania: z dziedzictwem historii, kulturą, pięknem krajobrazu, ale też z własną przeszłością, z drugim człowiekiem, a ostatecznie z samym Bogiem – to słowa o Szymona Hiżyckiego, opata tynieckiego.

Pięknie położony na wapiennym wzgórzu 13 km od Krakowa Tyńiec oferuje kilkudniowe pobyty. Plan dnia: o godz. 6 jutrznia, o 6.30 msza konwentualna, 7.30 – śniadanie, 12.50 – modlitwa południowa, 13 – obiad, 17 – nieszpory i kolacja. Dzień kończy wigilia, godzina czytań. Posiłki odbywają się w całkowitym milczeniu. Czas między nimi goście tynieccy wypełniają lekturą, medytacją, modlitwą. Mnisi prowadzą także warsztaty i seminaria.

Nie wszystkie spotkania dotyczą bezpośrednio religii, ale nawet te, które przekazują wiedzę świecką, służą temu, by naprowadzić w stronę wewnętrznego spokoju i harmonii.



Klasztor w Tyńcu oferuje kilkudniowe pobyty. W planie dnia są modlitwy i medytacja FOT. ADOBE STOCK

Prowadzi to także do konkretnych rozwiązań życiowych. Jak się to zrobi solidnie, są owoce. Ale nie jest to łatwe. To mocne doświadczenie. Niektórzy nie wytrzymują, uciekają. I mimo pozorów rodzą się więzi między ludźmi. Ale trzeba tu przyjechać samemu, bez znajomych, przyjaciół.

OTWIERANIE ŚWIADOMOŚCI

O ile na turnusach wyciszeniowych organizowanych przez instytucje religijne w programie są modlitwa, spowiedź, msze, o tyle w świeckich ofertach chyloutowych chodzi głównie o medytację. Na obóz jogi można pojechać w różne miejsca w Polsce, lecz niekoniecznie będzie to pobyt milczący. Są również kursy medytacji, „praktycznej ścieżki otwierania świadomości”, jak definiuje to oferta jednego z portali. Może to być mindfulness, tantra, joga czy inna praktyka duchowa. Można również spróbować jednej z najstarszych indyjskich technik medytacyjnych, vipassany. „Widzieć rzeczy takimi, jakimi one rzeczywiście są”. Organizatorzy kursów opisują tę technikę jako „proces samooczyszczania poprzez samoobserwację”. Obserwowanie oddechu służy koncentracji.

– Moje pierwsze doświadczenie z milczeniem i ciszą było bardzo oczyszczające – opowiada Marta Grabowska, która brała udział w turnusie „Sztuka ciszy” prowadzonym przez Art of Living oraz w seansie odosobnienia Vipassana Meditation.

Osoba, która prowadziła to odosobnienie, pomogła mi przejść przez najtrudniejszy czas. Myślę, że bez niej to byłoby moje pierwsze i ostatnie spotkanie z ciszą. To pierwsze trwało siedem dni. Gdy ostatniego dnia prowadząca powiedziała, że już możemy rozmawiać, w mojej głowie wybrzmiało tylko jedno zdanie: „Już? Chciałabym jeszcze”.

W milczeniu odnajduję kontakt ze sobą. Nabieram dystansu do swoich myśli, decyzji, przekonań.

Wiele z nich nie przeszło próby ciszy. W niej słychać to, co kryje się między słowami. Docierają do mnie prawdziwe intencje moich działań, emocje kryjące się za różnymi potrzebami.

Milczenie jest jak lampa sceniczna, która podświetla bohatera monodramu. Nie da się nie widzieć rzeczy takimi, jakimi są, gdy przestajemy je zagadywać, tłumaczyć, analizować. Gdy przestajemy próbować zamknąć świat w słowach. Milczenie jest dla mnie czystym doświadczeniem tego, co jest, takim, jakie jest. Nie jest tylko nie-

mówieniem. Jest także powstrzymywaniem się od reakcji na bodźce zewnętrzne.

W czasie 10-dniowego odosobnienia nie korzystaliśmy z telefonów, książek, mediów właśnie po to, aby w pełni doświadczyć ciszy, niedziałania, nierozpraszczenia uwagi na to, co poza nami. Cisza jest stanem umysłu. Zatrzymaniem w teraźniejszości, zanurzeniem w sobie. Jest resetem od nadmiaru bodźców. Wnosi do mojego życia spokój, jasność umysłu i wizję dalszego działania. Obecnie, po kilku odosobnieniach w milczeniu, gdy siadam do swojej praktyki oddechowej w ciszy, mogę szybko wrócić do kontaktu ze sobą, rozdzielić prawdę od iluzji, podjąć świadomą decyzję i podstępować w zgodzie ze sobą.

Coraz bardziej poszukiwanym sposobem na oczyszczenie się z zamętu cywilizacji stały się ostatnio wczasy milczenia

Ale gdyby ktoś chciał sprawę wyciszenia załatwić bez kłopotliwych wyjazdów, może skorzystać z urządzenia MATRICE_relax. Przenośne urządzenie skonstruowane w tym celu przedstawiła na ostatnim Festiwalu Designu w Łodzi autorka, niejaka Jo Jurga. „Jest to mobilna, eksperymentalna przestrzeń relaksacyjno-wyciszająca. Wszystkie emitowane wewnątrz bodźce, oddziałujące na wzrok, słuch, zapach i węch, zostały dobrane tak, aby wprowadzać użytkownika w stan relaksacji. Przestrzeń ta dopasowuje się do naszych potrzeb, dając poczucie otulenia i zharmonizowania bodźców zmysłowych. W jej wnętrzu możemy doświadczyć trzech różnych sesji terapeutycznych dedykowanych różnym potrzebom i porom dnia. Może być wykorzystywana jako przestrzeń do wyciszenia, medytacji, ćwiczeń oddechowych, drzemki, zdystansowania się od aktualnej sytuacji, w której znalazł się użytkownik”.

Cóż, las, spacer i słuchanie Bacha to za mało. Trzeba mieć urządzenie. MATRICE_relax, aplikacja Calm, która generuje szum deszczu i morza czy coś podobnego. Technologia, producent hałasu, ma teraz niwelować jego skutki. Koło się zamknęło.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Spuchnięta noga boli tak, że nie sposób na niej stanąć, przejść nawet kilku kroków do łazienki czy założyć skarpetki. Opuchniętą ręką nie można zaparzyć herbaty, utrzymać szczoteczki do zębów, długopisu. Najbardziej bolesne są bóle brzucha – porównywalne w sile z bólami towarzyszącymi porodowi. Można wtedy tylko leżeć i szukać takiej pozycji, by choć trochę zmniejszyć ból. Najbardziej niebezpieczne i psychicznie obciążające są jednak obrzęki okolic gardła i krtani, kiedy drogi oddechowe zwężają się i pacjent nie może złapać powietrza. Nawet jeśli są odpowiednio leczone doraźnie, to stanowią stan zagrożenia życia.

Gdy pojawiają się obrzęki, lekarze zwykle początkowo podejrzewają silną reakcję alergiczną, zalecają ścisłą dietę i uważanie na wszystko, co może powodować uczulenie. Zwykle mija wiele miesięcy, a często lat, podczas których pacjent odwiedza wielu specjalistów, by wreszcie usłyszeć diagnozę: HAE, czyli dziedziczny obrzęk naczynioruchowy.

WYZWALACZE

HAE (Hereditary Angioedema) to choroba rzadka, występuje u jednej osoby na 50 tys. W Polsce zdiagnozowanych jest ok. 400 osób, choć zapewne chorych (niezdiagnozowanych) jest więcej. Przyczyną choroby jest defekt genetyczny powodujący niedobór jednego z białek: C1 inhibitora. Objawem są bolesne i niebezpieczne obrzęki skóry, narządów wewnętrznych (m.in. jelit) i górnych dróg oddechowych. – Spuchnąć może każda część ciała: ręka, noga, twarz, cały tułów; opuchnięta część ciała powiększa się dwu-trzykrotnie, towarzyszy temu ból. Dużym problemem są obrzęki wewnętrzne: jeśli dotyczą brzucha, wówczas rozdyma się on jak balon. Obrzęk krtani, gardła może zagrażać życiu – potwierdza Michał Rutkowski, prezes Polskiego Stowarzyszenia Pomocy Chorym z Obrzękiem Naczynioruchowym „Pięknie Puchnę”, który sam również zmaga się z tą chorobą. U niektórych pacjentów obrzęki zdarzają się kilka razy w roku, ale są też tacy, którzy mają je nawet kilka razy w miesiącu. Pacjentów o najcięższym przebiegu choroby – jak szacują eksperci – jest w Polsce ok. 40.

Narastanie obrzęku trwa od kilku do kilkunastu godzin, potem następuje stabilizacja i stopniowe zejście opuchlizny. Jeśli obrzęk nie jest leczony, to może trwać kilka dni. Trzeba być osobą bardzo silną psychicznie, żeby ataki nie miały daleko

idących konsekwencji mających wpływ na całe życie. Wielu pacjentów obwinia się za każdy atak, uważa, że znów zrobili coś nie tak, wpada w depresję.

Dlaczego pojawia się obrzęk? Wyzwalaczem może być choćby tak niewinna rzecz jak niewielki wysiłek fizyczny. – Jeśli ktoś odgarnia śnieg z podwórka, to może mieć obrzęk rąk i nóg, a do tego brzucha, z uwagi na wysiłek fizyczny. Wyzwala-

czem może być infekcja, np. w przebiegu grypy czy zapalenia gardła może dojść do obrzęku gardła. Po podróży pociągiem z Krakowa do Warszawy może dojść do obrzęku tułowia, gdy siedzi się kilka godzin w jednej pozycji. Z grupy 200 pacjentów ankietowanych przez Stowarzyszenie „Pięknie Puchnę” u 87 proc. ataki są również wywoływane przez stresujące sytuacje. U kobiet przyczyną może być



Katarzyna Pinkosz

Obrzęk może pojawić się po urazie, infekcji, ale także w wyniku reakcji na stres lub bez żadnej uchwytnej przyczyny. Puchną ręka, stopa, twarz, plecy, pośladki, ale też narządy wewnętrzne. Jeśli spuchnie krtani, wówczas może się to skończyć zgonem

Nie puchnę pięknie

menstruacja, a także ciąża – opowiada Michał Rutkowski.

Najgorsza jest nieprzewidywalność – atak może się wydarzyć o każdej porze dnia i nocy. Choroba ma wpływ na całe życie, wybór studiów, pracy. Dzieci z HAE często opuszczają lekcje w szkole, bo wstydzą się swojego wyglądu albo ból nie pozwala im przyjść na zajęcia. Pacjenci starają się unikać wyjazdów, podróży,



maksymalnie ograniczać wszelkie aktywności, by uniknąć kolejnego ataku. Chcieliby jednak normalnie żyć: pracować, iść na spacer, na rower, pograć z dzieckiem w piłkę.

PRZETRWAĆ ATAK...

Życie ratują leki, które powodują zahamowanie narastania obrzęku. W Polsce obecnie refundowane są dwa preparaty: jeden podaje się dożylnie, drugi podskórnie. Pacjenci muszą je mieć przy sobie, bo nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się napad i jak będzie nasilony.

– Niestety, zgodnie z polskimi wskazaniami refundacyjnymi pacjent może podać sobie lek tylko wtedy, gdy ma atak ciężki, czyli taki, który dotyczy jamy brzusznej, gardła lub krtani. Te wskazania są niezrozumiałe, w całej Europie pacjenci mogą przyjmować leki niezależnie od umiejscowienia obrzęku – mówi Michał Rutkowski. – Nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się obrzęk i jakiego miejsca będzie dotyczył, dlatego zawsze należy wypisywać receptę tak, by pacjent miał leki na przynajmniej dwa napady. Jednak faktycznie, zgodnie ze wskazaniami refundacyjnymi, pacjent nie powinien podawać sobie tych preparatów, gdy ma obrzęk stopy czy dłoni. Na pewno powinna być możliwość leczenia obrzęku niezależnie od jego lokalizacji – potwierdza dr Aleksandra Kucharczyk z Kliniki Chorób Wewnętrznych, Pneumonologii, Alergologii i Immunologii Klinicznej Wojskowego Instytutu Medycznego.

Chory na HAE musi też przyjąć lek przed każdym planowanym zabiegiem, także stomatologicznym, gdyż jest ryzyko, że pojawi się po nim obrzęk. – To tzw. profilaktyka krótkoterminowa, pacjent musi przyjąć lek maksymalnie sześć godzin przed planowanym zabiegiem – zaznacza dr Aleksandra Kucharczyk.

NOWA STRATEGIA LECZENIA

Od kilku lat na świecie zmieniło się jednak podejście do leczenia HAE: zamiast podawać lek, gdy pojawia się obrzęk, stosuje się leczenie profilaktycznie, by zapobiegać atakom. To szczególnie ważne dla osób, u których obrzęki pojawiają się często, w lokalizacjach stanowiących zagrożenie życia. – W Polsce na dziś możemy jedynie zastosować w szczególnych przypadkach off label (poza wskazaniami) terapię stosowaną u osób z zaburzeniami krzepnięcia krwi albo leczenie androgenne, skuteczniejsze, niestety związane z szeregiem działań ubocznych, jak ryzyko podwyższenia ciśnienia tętniczego, rozwoju miażdżycy, depresji, uszkodzenia wątroby i androgenizacji. Nie można takiego leczenia stosować u dzieci, ja nie stosowałam go też u żadnej kobiety – mówi dr Kucharczyk.

Przełomem w leczeniu HAE jest terapia biologiczna; są już zarejestrowane dwa tego typu preparaty: podstawany podskórnie osoczopochodny C1 inhibitor i lanadelumab. Niestety w Polsce na razie żaden z nich nie jest refundowany. Dwóch pacjentów, dzięki zakwalifikowaniu się do badania klinicznego w klinice w Berlinie

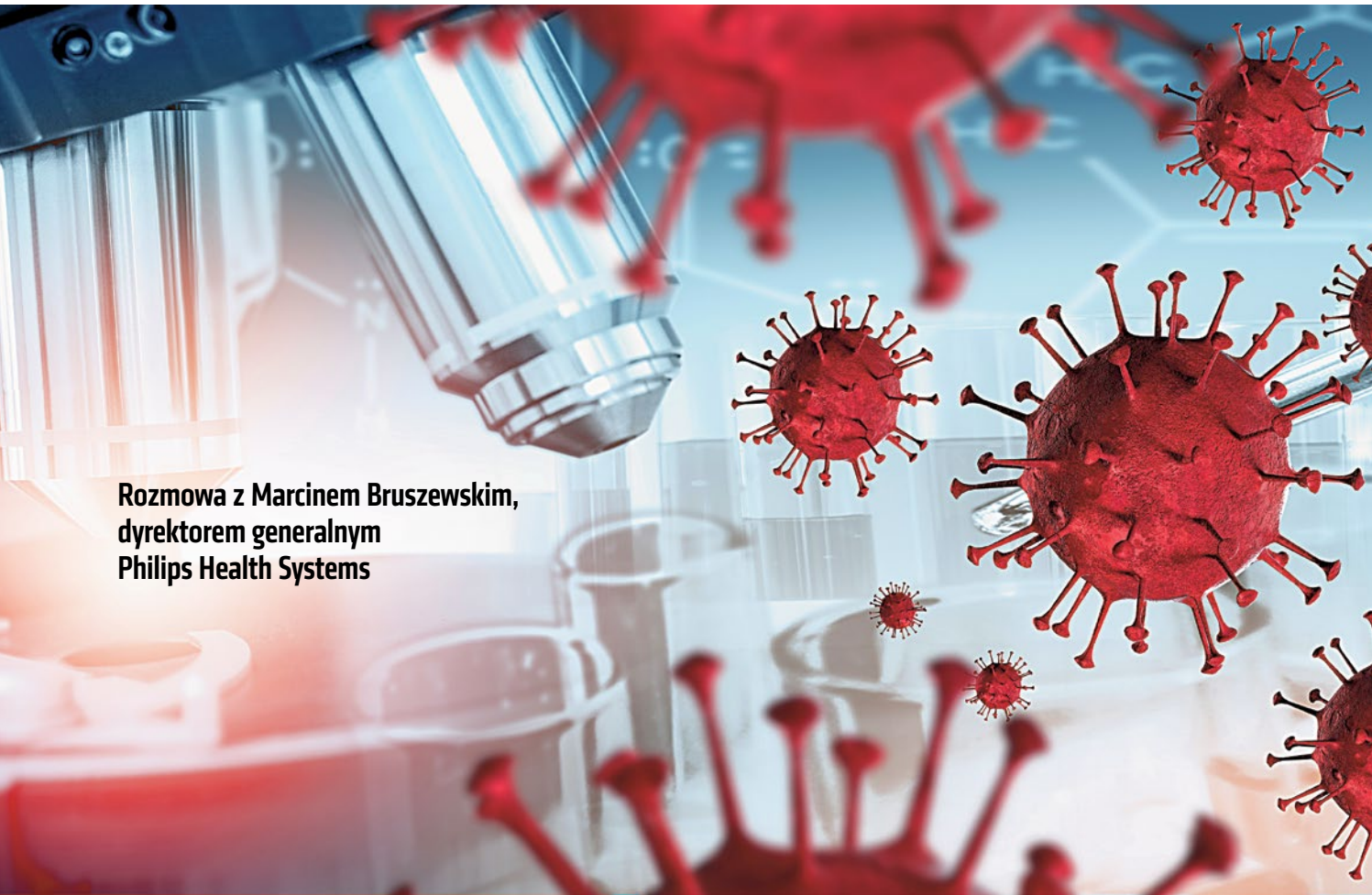
miało okazję być leczonych biologicznie. Efekty były znakomite.

Jednym z tych „szczęśliwców” jest Paweł Kamuda, który przyznaje, że jego życie całkowicie się zmieniło, od kiedy zaczął przyjmować terapię biologiczną. – Wcześniej miałem kilka, kilkanaście ataków w miesiącu, zdarzały się sytuacje, kiedy byłem na granicy życia i gdyby nie szybka interwencja medyczna, mógłbym się udusić. Teraz żyję jak zdrowy człowiek, sam podaję sobie lek podskórnie co dwa tygodnie. Nie mam żadnych skutków ubocznych, mogę żyć bez stresu, pracować, spędzać czas z rodziną, iść na rower. Wcześniej to była psychiczna wegetacja, wyczekiwanie na kolejny atak – opowiada Paweł Kamuda.

W USA terapia biologiczna uzyskała status „przełomowej”. W badaniu rejestracyjnym HELP wykazano, że leczenie zapobiegawcze przyczynia się u większości chorych do zredukowania do minimum obciążeń związanych z HAE. Blisko ośmiu pacjentów na dziesięciu nie doświadczyło żadnego ataku przez ponad cztery miesiące, a 44 proc. nie miało żadnego ataku. Tak efektywne leczenie powoduje, że pacjent może żyć jak osoba zdrowa, normalnie funkcjonować, pracować, nie musi być na rentach ani oczekiwać pomocy innych osób.

Doktor Aleksandra Kucharczyk ma pod opieką dwóch pacjentów z badania klinicznego w Berlinie, którzy do dziś przyjmują terapię biologiczną. Potwierdza, że efekty są bardzo dobre. – To byli najczęściej chorujący pacjenci, u których obrzęki występowały bardzo często i były ciężkie. Kilka razy w życiu zdarzyły im się obrzęki krtani. Dziś jeden z pacjentów w ogóle nie ma ataków choroby i to już od podania pierwszej dawki leku, u drugiego natomiast ich liczba została istotnie zredukowana – dodaje dr Kucharczyk.

Michał Rutkowski potwierdza, że chorzy w Polsce bardzo czekają na pozytywną decyzję Ministerstwa Zdrowia dotyczącą utworzenia programu lekowego, obejmującego przynajmniej najczęściej chorych pacjentów, u których obrzęki często się powtarzają lub zagrażają życiu. – Niektórzy chorzy czekają na tę decyzję jak na zbawienie. Wiemy, że jest trudna sytuacja pandemii COVID-19, jednak ona też pokazuje, że skuteczne leczenie jest konieczne, bo pacjenci mają dziś ogromny problem z dostępem do lekarzy, a mogliby sami podać sobie leki profilaktycznie, co zapobiegłoby atakom i wizytom w szpitalu – mówi Michał Rutkowski.



Rozmowa z Marcinem Bruszewskim,
dyrektorem generalnym
Philips Health Systems

Nowe technologie – ważny oręż w walce z pandemią

Minęło osiem miesięcy od ogłoszenia pandemii koronawirusa. Jak ocenia pan wykorzystanie nowych technologii w ochronie zdrowia?

Szybko rozprzestrzeniający się wirus SARS-CoV-2 pokazał, jak istotne jest zdalne monitorowanie stanu zdrowia pacjenta i rozwiązania je umożliwiające. I nie myślę tu tylko o pomiarze temperatury czy pracy serca, ale rozwiązaniu, które wdrożone zostało m.in. w hollenderskim szpitalu Groene Hart, a które opiera się na systemie zarządzania wynikami pacjentów. System pozwala

na bieżące kontrolowanie stanu zdrowia pacjenta w czasie rzeczywistym.

Pacjenci z potwierdzonym COVID-19 wypełniają kwestionariusz on-line w domu. Na podstawie uzyskanych wyników opiekun z call center przypisuje pacjentów do klasy ryzyka i rekomenduje podjęcie odpowiednich działań. Jeśli stan chorego budzi wątpliwości, to jest on kierowany na konsultację do lekarza pierwszego kontaktu, który sprawuje opiekę nad pacjentem lub w razie konieczności kieruje pacjenta

do szpitala. Takie podejście pozwala chorym na spokojną rekonwalescencję w domu i gwarantuje odpowiednio szybką reakcję w sytuacjach tego wymagających. System potrafi też wesprzeć decyzje kliniczne lekarzy, opierając się na najlepszych światowych praktykach.

Ponadto telemedycyna i zdalne monitorowanie pacjenta, tak szeroko i chętnie dzisiaj wykorzystywane, dostarczają narzędzi do efektywniejszego nadzoru zdrowotnego nad grupami zwiększonego ryzyka, np. nad pacjentami



FOT. ANDRZEJ STOLIK

toczą heroiczną walkę o zdrowie i życie pacjentów każdego dnia. Ich sprzymierzeńcami są nowoczesne technologie i rozwiązania, które jeszcze niedawno były nazywane „technologiami przyszłości”. Dzisiaj znajdują one zastosowanie w opiece nad pacjentami. Sztuczna inteligencja wykorzystywana w opiece nad pacjentem pozwala nie tylko lepiej zadbać o bezpieczeństwo i obciążenie personelu medycznego, lecz także zwiększyć skalę działania oraz poprawić doświadczenia pacjentów, przy jednoczesnej optymalizacji kosztów opieki zdrowotnej. Różne kraje na świecie testują całą gamę innowacyjnych pomysłów i strategii radzenia sobie z kryzysem. Już niedługo może się okazać, że usługi on-line pozwolą na przesłanie pacjentowi za pomocą drona leków zleconych przez lekarza na e-receptę, a roboty zajmą się oczyszczaniem skażonych miejsc i przedmiotów. Aplikacje i chatboty będą sprawdzać objawy i informować o najnowszych wytycznych w kwestii podróży lub środków mających na celu ograniczenie liczby zakażeń. Medyczne urządzenia przenośne będą monitorować i jednocześnie nadzorować stan zdrowia pacjenta z jego domu. Nowe narzędzia pracy sprawiają, że diagnostyka stanie się bezpieczniejsza. Kluczowe jest przecież, by ograniczyć ryzyko zakażenia do minimum. Mimo że te innowacje nie rozwiążą sytuacji kryzysowej, z którą mamy aktualnie do czynienia na całym świecie, warto im się przyjrzeć. Bardzo możliwe, że wiele systemów ochrony zdrowia przy planowaniu poprawy jakości świadczonych usług sięgnie w przyszłości do dzisiejszych doświadczeń.

A co z diagnostyką obrazową? Obecnie jej rola w leczeniu powikłań COVID-19 jest ogromna.

W ostatnich miesiącach obserwujemy wzrost znaczenia badań USG i tomografii komputerowej. Z naszej strony od wielu lat zachęcamy lekarzy rodzinnych do wykorzystywania ultrasonografii np. w badaniu płuc. Nasze rozwiązanie Philips Lumify, czyli mobilna głowica do USG, niejednokrotnie nazywane było stetoskopem XXI w. Umożliwia lekarzowi wykrycie zapalenia płuc podczas wizyty bez kierowania pacjenta na dodatkowe badania. Ale sama jakość urządzeń to dziś nie wszystko. W obecnej sytuacji, gdy powstaje dużo szpitali polowych, istotne staje się także to, aby sprzęt był dostosowany do pracy

w nietypowych warunkach. Dlatego wykorzystujemy certyfikowane kontenery transportowe, przekształcone w kabiny do tomografii komputerowej i RTG, by można było umieścić je wszędzie tam, gdzie są niezbędne. To pokazuje, że duże urządzenia, takie jak rentgen czy tomograf, mogą być wykorzystywane w miejscach, gdzie dotychczas nie było możliwości ich ustawienia.

Nowe technologie rzeczywiście stanowią ważny oręż w walce z pandemią. A jak oceniają je pacjenci i personel medyczny? Czy obie strony chętnie korzystają z tych medycznych innowacji?

Niedawno opublikowane zostały wyniki oceny przez Polaków oferowanych rozwiązań w obszarze e-zdrowia. Prawie 97 proc. badanych uznało, że podczas telewizyty otrzymało pełną informację o koniecznych do wykonania badaniach, sposobie przyjmowania leków i kolejnych wizytach. Dodatkowo 16 proc. uznało, że telewizyta była lepsza niż stacjonarna, a 41 proc. wskazało, że jakość była porównywalna. 46 proc. poleciłoby taką formę wizyty innym pacjentom. Widać więc wyraźnie, że nowe technologie są dużym wsparciem także dla pacjentów, a co więcej – są przez nich pozytywnie oceniane. Biorąc pod uwagę zapowiedzianą rozbudowę Internetowego Konta Pacjenta o kolejne funkcjonalności, nie dziwi też prognozowany wzrost popularności wizyt i e-recept.

Z drugiej strony, jak pokazują dane z raportu Future Health Index 2020, przygotowanego na zlecenie firmy Philips, nowe technologie postrzegane są przez przedstawicieli młodego pokolenia personelu medycznego jako fundament transformacji ochrony zdrowia, sposób na zapewnienie właściwej i kompleksowej opieki nad pacjentem, a także jako czynnik zmniejszający poziom stresu oraz wpływający na poprawę zadowolenia z wykonywanej pracy. Aż 76 proc. respondentów zgadza się, że cyfrowe technologie mogą zmniejszyć obciążenie wywołane liczbą obowiązków służbowych, a 60 proc. spodziewa się, że przyczynią się do zmniejszenia u nich poziomu stresu związanego z pracą.

Wszystkie te dane potwierdzają, że nowe technologie są postrzegane jako olbrzymia szansa dla systemu ochrony zdrowia. Wykorzystajmy je wspólnie jak najlepiej, by pomóc pacjentom.

geriatrycznymi, zwłaszcza że cyfrowe kompetencje seniorów są często niezasłużenie zaniżane. Mamy do dyspozycji wiele systemów wspomagających zarządzanie zdrowiem populacyjnym, które nie wymagają nawet bezpośredniego kontaktu głosowego lub wizualnego pomiędzy użytkownikami, ale udostępniają ankiety umożliwiające zebranie wiarygodnych danych zdrowotnych. Na ich podstawie możliwe jest oszacowanie potencjalnego zagrożenia zdrowotnego dla szerszej populacji. Jedno z tego typu rozwiązań Philips posiada też dodatkową funkcjonalność zdalnej samooceny i zarządzania zdrowiem przez pacjenta objętego kwarantanną w związku z zakażeniem SARS-CoV-2, zaś dla personelu medycznego – triażowania chorych pod kątem objawów COVID-19 i ułatwienia decyzji o ewentualnej interwencji.

Można więc powiedzieć, że COVID-19 przyspieszył transformację e-zdrowia?

COVID-19 to przede wszystkim ogromne wyzwanie dla systemów ochrony zdrowia na świecie. Lekarze

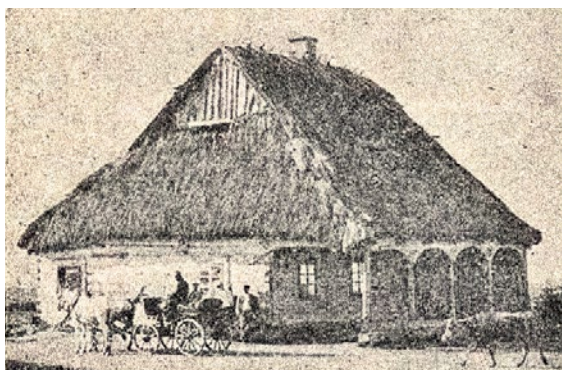


JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

W karczmie nie masz pana

Karczma jest tak stara jak cała Słowiańszczyzna. Kronikarz Widukind z Korbei, opisując losy awanturnika Wichmana, który najechał państwo Mieszka i został pokonany, opisuje, że w trakcie ucieczki zatrzymał się w gospodzie pewnego Pomorzana, gdzie został zabity przez pospólstwo. A był to rok 967, zaraz po chrzcie Polski. Gall Anonim podaje, że po śmierci Bolesława Chrobrego „ani dźwięku cytry nie słyszano po gospodach”. A pisał swą kronikę przed rokiem 1116.



FOT. BIBLIOTERA NARODOWA

W czasach późniejszych karczma stanowiła własność dworu albo księdza, stąd wzięły się karczmy proboszczowskie. Bywały też jeszcze karczmy sołtysie dopóty, dopóki szlachta nie wykupiła sołectw. Gospoda była zawsze wypuszczana w dzierżawę – jeśli dzierżawcą był katolik, to zwano go karczmarzem, a jeśli Żyd – arendarzem. Drewniana wrosła na stałe w krajobraz Polski i dziś nie sposób wyobrazić sobie bez niej wsi.

Nie mamy zachowanej ani jednej oryginalnej karczmy z XVII w. Jednak ocalałe obiekty budowane 300 lat później przypominały te z dawnej Rzeczypospolitej, gdyż stare inwentarze pasują do rozkładu pomieszczeń tych właśnie budowli. Niestety, często je przebudowywano. Według Zygmunta Glogera istniały dwa rodzaje karczem

zajezdnych służących zarówno do zabawy, muzyki i uciechy, jak i jako schronienie dla podróżnych; tutaj koncentrowało się życie wsi. Pierwsza składała się z głównego budynku, zwykłego poprzedzonego podsieniami. Pośrodku znajdowały się wrota, a za nimi przejazd, szeroka sień, przez którą można było wjechać wozem lub kolasą do karczmy. Po obu stronach przejazdu znajdowały się główne izby – największa, zwana szynkownią albo austerią, gościnne i w końcu alkierz karczmarza, a także komora. Przejazd prowadził przez cały budynek na przestrzał do drugiej budowli, niejako dostawionej do tylnej ściany obiektu, zwanej „stanem”, która była zarazem stajnią i wozownią, a przy okazji magazynem i miejscem noclegu dla pacholców i służby. Całość, patrząc z góry, przypominała obróconą literę T, przy czym jej poprzeczna część była mieszkalno-rozrywkowa, przedłużenie zaś to właśnie stan. W XIX w., nawet jeśli zachowały się jakieś dawne karczmy, owe stajnie z wozownią rozbierano; do dzisiejszych czasów nie dotrwała ani jedna. Typ drugi gospody różnił się tylko tym, że stan zamiast z tyłu znajdował się z boku, całość tworzyła więc wysłużony prostokąt, przypominający nieco ogromną zagrodę jednobudynkową znaną z dawnego budownictwa wiejskiego. Przykład takowej można obejrzeć w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku.

Jeden z najstarszych inwentarzy karczmy na Podolu, z 1736 r., opisuje pierwszy typ budowli: „Karczma stara pod słomą targaną, wrót dwoje na biegunach z zaparciem wewnętrznym, ze żłobami. Ściany z drewna w słupach, drzwi do izby na biegunach ze skoblem, piec kaflowy biały, przy którym kominek prosty z piecem prostym do pieczenia chleba. Okien dwoje we drewno

oprawnych z okiennicami na biegunach. Stół na nogach, przy nim zydeł długi, przy ścianach ławy dębowe. Poważ z deszczulek w izbie”. Lektura XVIII-wiecznych inwentarzy pokazuje, że wbrew temu, co można by sądzić, karczmy były dostatecznie wyposażone. Znajdujemy w nich piec kaflowe i murowane kominy, okna z białego szkła. Oprócz tego w głównej izbie stała szafa do przechowywania trunków – zwykle za poręczą lub ogrodzeniem, czyli szynkwasem. Pod ścianami były ławy, na środku długie stoły z zydlami. Na nich często siadali muzycanci przygrywający gościom. Czasami bywały i zabawne urządzenia, takie jak ze staropolskiego „Misia”. Na przykład w karczmie w Borzęcinie Dolnym do picia gorzałki służył cynowy kubek, który przy mocowaniu był łańcuszkiem do szynkwasu – jeden dla wszystkich chłopów.

Warto wspomnieć staropolskie przezwiska karczem, bo czasem dzisiaj wzięły się od nich nazwy całych wsi albo wiosek. Już w XVII w. mamy gospody takie jak: Czekaj, Poczekaj, Łapi-grosz, Pohulanka, Wygoda, Uciecha, Łapiguz, Utrata, Rzym, Piekło, Przekora, Zawada, Sowa. Według Jakuba Kazimierza Haura i jego „Ekonomiki wydanej pod koniec XVII wieku” karczmarz powinien być: „trzeźwy, czujny i bacny, bo różne w różnych głowach znajdują się fantazje, znajdują się tanecznicy, są napastnicy i złodzieje”. Karczmarka z kolei: „winna baczyć, aby żłobku w kredzie nie wyrzynała i dwóch kresiek za jedną pijanemu chłopu nie znaczyła, piwa z konewki z góry nie pienila”. Co można było zjeść w karczmie? Gloger podaje, że poza chlebem i nabiałem nic tu nie oferowano, można było jednak samemu poczynić zakupy, a potem kazać sobie ugotować obiad karczmarzowi. ©

CHLEB BEZ ULEPSZACZY KRZYSZTOFA JARYCZEWSKIEGO

Kiedy tylko czas mi na to pozwala – a ostatnio nie koncertujemy, częściej bywam w domu i mam więcej wolnego – sam piekę dla rodziny żytni chleb. Zdrowy, wyłącznie z naturalnych składników, bez żadnych konserwantów, ulepszaczy, nawet bez drożdży. Podstawą jest dobry zakwas, który oczywiście robię samodzielnie. Używam też różnego zestawu przypraw. Bardzo lubię chleb z dodatkiem ziół prowansalskich, ale przyprawiony wyłącznie solą i pieprzem też jest pyszny. Czasem dodaję także miód. Polecam wypróbować, by wybrać swoją ulubioną wersję.

Składniki:

- 1 kg mąki żytniej
- 100 g zakwasu
- pieprz, sól
- opcjonalnie: zioła prowansalskie, kurkuma, miód

Przygotowanie:

Najpierw musimy przygotować zakwas. Do wyparzonego słoika wsypuję 100 g mąki żytniej, wlewam 100 g wody i mieszam drewnianą łyżką. Przykrywam ściereczką, aby był dostęp powietrza, i odstawiam do ciepłego miejsca. Przez kolejne dni zaglądam do zakwasu, dosypuję po 50 g mąki i dolewam 50 g wody. I tak przez 5–6 dni.

Kiedy zakwas jest już gotowy, do dużej miski wsypuję kilogram mąki żytniej i dodaję ok. 100 g zakwasu, który powinien mieć konsystencję gęstego kefiru. Podlewam wodą, aby uzyskać konsystencję plasteliny. Dodaję przyprawy: pieprz i sól, czasami zioła prowansalskie, czasem kurkumę, czasem trochę miodu i przygotowuję z tego ciasto, które wyrabiam, ugniadam i formuję na stolnicy. Wykładam brytfankę papierem do pieczenia i przekładam do niej ciasto oraz wyrównuję. Odstawiam na ok. 10 godzin do ciepłego miejsca, aby wyrosło. Piekę ok. 50 min w temperaturze 200 st. C. Po tym czasie podkręcam temperaturę. Pięć minut w piekarniku rozgrzanym do 220 st. C wystarczy, żeby zarumienić i podpieć skórkę. Smacznego! ©©

oprac. raw

Krzysztof Jaryczewski „Jary” jest muzykiem, wokalistą, gitarzystą, współzałożycielem zespołu Oddział Zamknięty, obecnie w Jary Oddział Zamknięty.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Las Kabacki

W Lesie Kabackim bywam prawie codziennie, bo mieszkam niedaleko. Jestem tu pieszo, na rowerze, na biegówkach, o różnych porach dnia. Nigdy nie było tu tylu ludzi co teraz. Nic specjalnie dziwnego. Bo gdzie można teraz iść? Dawniej spędzało się czas w kinie, kawiarniach i w centrum handlowym. Teraz to wszystko zamknięte. Co zatem zostaje?

Biegaczy można teraz spotkać już o siódmej rano, w lecie bywają tu wczesnym świtem. Przeważnie młodzi, choć 50-latek też się trafi. Wyposażeni w najnowsze osiągnięcia odzieżowej technologii, okablowani, czasem ciągnący na smyczy zdyszane go psa (zakazane na Kabatach, ale nikt nie przestrzega i nikt za to nie karze). Wśród joggerów dużo ładnych i szybkich dziewczyn trenujących do maratonów. Z gołymi nogami nawet teraz! Około godz. 11 biegacze ustępują miejsca matkom i babciom z dziećmi. Więcej babć i opiekunek niż mam, czasem trafi się dziadek, rodzinna samopomoc wciąż trzyma się mocno. Babcie i dziadkowie suną powoli, poprawiając dziadziusiom czapki i baczac, czy nie wpadnie na nich rozpędzony superrower za 20 tys. Zawodowcy cyklizmu nadjeżdżają cichaczem, ale pędem, nie licząc się z nikim i niczym. Dzwonka nie używają. A gdyby tak babcia, której słuch może już być nie ten, zrobiła nieoczekiwany krok w lewo lub w prawo? Spacerowicze, gatunek pospolity, nie noszą zarównościach



FOT. ADAM STOLK

bluz i adidasów, chodzą raczej wolno. Starsze panie i panowie z kijami i bez, plotkujące pary przyjaciółek w wieku produkcyjnym, które urwały się od komputera.

W weekendy las się zaludnia. Od rana nadciągają ze wszystkich stron – dopyłkami z Ursynowa, z Kabat, z autobusu 519, z Konstancina. Rodziny z dziećmi, starsi państwo, rowerzyści, młodzież. Na ścieżkach zdrowia prężą muskuły sportowcy. Na wspólnie odnowionym placu zabaw tłum dzieci z ojcami. Kabacka polana z ogniskami, w ciągu tygodnia raczej pustawa, w soboty się ożywia. Trzeba wcześniej zająć szafas i można urządzić imprezę klasową, koleżeńską, urodziny lub po prostu spotkać się ze znajomymi na powietrzu, przy ognisku. Ogniska w weekendy płoną do późnej nocy. Ciemność nie zniechęca rowerzystów, którzy do późnej nocy suną, błyskając światłami. W poniedziałek rano pracownicy lasu wywożą kontener śmieci.

Tylko saren żal. ©©



FOT. WOJCIECH KOZŁO / FORUM



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Nowoczesny futbol

Bardzo lubię śledzić współczesną piłkę nożną pod kątem postępu, jakie dokonuje tam postęp. Jest to szczególnie interesujące poletko, ponieważ futbol przez długie lata był bastionem tradycyjnego męskiego szowinizmu. Był. Dzisiaj poprawność polityczna jest tam powiewem, którym oddycha się na boisku. Innego nie ma.

Świat piłkarski od dawna walczy z rasizmem, który na pewno był problemem na stadionach. Obecnie piłkarze i kibice są ostro karani za wszelkie teksty, które mogą uchodzić za rasistowskie. Kiedy jeszcze w Anglii na stadionach zasiadała publiczność, zdarzały się dożywotnie zakazy stadionowe dla widzów, którzy obrażali piłkarzy na tle rasowym. Kiedyś na stadionie można było krzyczeć wszystko, dziś Wielki Brat patrzy, słucha, rejestruje, a potem brutalnie karze.

Rasizm jest dzisiaj dość poręcznym młotem na oponentów. Przyklejenie komuś łatki rasisty skutecznie wystawia go poza nawias. Politypoprawna broń bywa jednak obosieczna. Przekonał się o tym Brazylijczyk Neymar, który po jednym z meczów ligi francuskiej zalił się, że był wyzywany na tle rasistowskim. Władze ligi wzięły zajścia pod lupę, ale okazało się, że, owszem, Neymar był wyzywany od małego przez rywala, ale sam zrewanżował mu się określeniem „pier...ny pedał”. Na tym etapie homofobia była akurat uznawana za zbrodnie gorszą nawet od rasizmu, więc Neymar dostał za swoje.

Ligi bardzo poważnie podchodzą do promocji LGBT. Tęczowe barwy coraz częściej pojawiają się na boiskach. Zdanie pojedynczych piłkarzy nie ma tu znaczenia. Jeśli jest przykaz nosić tęczę na koszulkach, to nie ma wyjścia. Nie tylko nie możesz być przeciw. Nie możesz też nie popierać.

Futbol modernizuje się również w inny sposób. Poprzez, tak to nazwijmy, swoją instagramizację. Polega to na tym, że piłkarze zachowują się jak modelki i epatują nowymi fryzurami, a po strzeleniu bramki wykonują przygotowane wcześniej układy choreograficzne. Nie lubią też, gdy trenerzy na nich krzyczą.

W tej kwestii – na szczególne – można mieć jeszcze własne zdanie. Oto niemiecki gracz Realu Madryt zaatakował napastnika londyńskiego Arsenalu Pierre’a Aubameyanga za wymyślne cieszynki. Podczas jednej z nich napastnik wyciągnął z getrów maskę, założył ją i w ten sposób celebrował gola. Szybko znalazł naśladowców, którzy przywdziewali na bosku skitrane gdzieś uniformy Batmana czy innych superbohaterów.

Dla Kroosa, pewnikiem dziadka, takie zachowanie to upadek piłki nożnej. Niemiec tęskni za czasami, gdy zdobycie bramki świętowało się po męsku – poprawieniem spodenek.

Facet ledwo przekroczył 30 lat, a już dopada go poczucie, że obecny świat jest coraz mniej jego światem. Biedak. Ja przynajmniej dociągnąłem do pięćdziesiątki. ©©



MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Nadzy królowie

Szanowni Państwo, moja decyzja o opuszczeniu Prawa i Sprawiedliwości podyktowana jest troską o Polskę, której poświęciłem całe swoje dotychczasowe życie. PiS przestało być partią pravicową, a stało się ugrupowaniem neomarksistowskim. Na to nie ma zgody wśród Polaków – napisał na Twitterze poseł Lech Kołakowski, który we wtorek 17 listopada w geście sprzeciwu wobec „piątki dla zwierząt” ogłosił wyjście z partii. „Lechu. Przemysł w spokoju. Weź urlop tygodniowy. Nasi przeciwnicy wypowiedzieli nam wojnę. I to jest prawdziwa wojna, wojna o fundamentalne wartości. Na wojnie nie ma remisów. Wygrywa jedna strona bądź druga. Zawsze byłeś po właściwej i niech tak pozostanie” – poradził mu jednak były marszałek Senatu, Stanisław Karczewski. Od tej wymiany zdań o godz. 10.30 rozpoczął się serwis informacyjny TVN24. „Lechu. Przemysł w spokoju” – pojawiło się na słynnym żółtym pasku. Do komentarzy rzucili się również dziennikarze i politycy, m.in. Dominika Wielowieyska, Cezary Tomczyk, Hanna Gill-Piątek oraz Waldemar Kuczyński.

I gdy tak wszyscy dyskutowali, okazało się, że owszem – poseł odchodzi, bo chwilę wcześniej ogłosił swoją decyzję w RMF FM – ale na Twitterze wypowiedzieć się nie mógł, bo konta nigdy nie miał. Konto ma natomiast „Napalony Wikary”, internetowy śmieszek, który zmieniając zdjęcie profilowe, nazwę użytkownika oraz opis konta, nie pierwszy raz wyprowadził

w pole polityczno-medialnych celebrytów. Niedawno jego największy rywal na polu trollingu – „Człowiek Bóbr” – trafił do „Wiadomości” TVP z tweetem, który podszywał się pod liderkę Strajku Kobiet, Martę Lempart. W tym przypadku chodziło o... wolny pas startowy i „zatankowanego boeinga 747” z torbą pieniędzy, jako dodatek do ultimatum wystosowanego wobec rządu.

Wtych i dziesiątkach podobnych przypadków zawiodły najbanalniejsze systemy wczesnego ostrzegania – elementarz funkcjonowania w sieci. O ile wobec polityków starszej daty można mieć odrobinę empatii, o tyle przepuszczenie czegoś takiego przez sito redaktorów i wydawców, aż do emisji na antenie, powoduje ciarki na plecach. Mówimy bowiem o mediach, które chciałyby przerywać konferencje prasowe polityków, jeśli uznają arbitralnie, że ci kłamią. Mediach i dziennikarzach, którzy mają ambicje do permanentnego fact-checkingu oraz ujawniania kulis wyborów w USA, jednocześnie od lewa do prawa łapiąc się nie tylko na niegroźny żart, lecz także często na znacznie poważniejsze fake newsy. Takie, w których zdjęcie „aresztowanego szefa kampanii Bidena podejrzanego o oszustwa wyborcze” to fotografia aktora Cuby Goodinga Jr., a „milionowy tłum poparcia dla Trumpa w Waszyngtonie” przedstawia kibiców cieszących się w 2016 r. z mistrzostwa NBA dla Cleveland Cavaliers. Kto ma to sprawdzać, gdy król jest nagi? ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

W stalinowskim Disneylandzie



JOANNA SIEDECKA

Andrzejewscy mieszkają po książęcemu, w ślicznej lesistej okolicy nad jeziorem. Chciałoby się powiedzieć: żyć nie umierać” – pisała Maria Dąbrowska we wrześniu 1948 r. po wizycie w ich ośmiopokojowej willi w powojennym Szczecinie. Obok Andrzejewskich po książęcemu mieszkali też z rodzinami inni pisarze: Wiktor Woroszyński, Witold Wirpsza, Tymoteusz Karpowicz, Edmund Osmańczyk, marynista Jan Papuga, reporter Franciszek Gil, a trochę dalej Gałczyński z Natalią i Kirą. Tworzyli literacką kolonię, zorganizowaną na wzór sowiecki przez pierwszego wojewodę szczecińskiego „Luśka” – Leonarda Borkowicza. Snoba, który chciał być drugim Borejszą, „opiekunem” pisarzy popierających władzę. I to on ściągnął ich do powojennego Szczecina. Na „dziki Zachód”, gdzie gwałty, morderstwa i szaber były na porządku dziennym, skusił ich więc najpiękniejszymi poniemieckimi przestronnymi willami w ogrodach, pełnymi cennych antyków, mebli, obrazów, porcelany, położonych na obrzeżu miasta, wśród lasów, blisko jeziora, w najatrakcyjniejszych szczecińskich dzielnicach – Głębokim i Pogodnie. Nie odmówił więc nawet płomienny „pryszczaty” Wiktor Woroszyński, walczący w swych

wierszach z drobnomieszczanstwem i „obrastaniem w rzeczy”.

Borkowicz stworzył tu inżynierom dusz luksusową enklawę, izolującą ich od kłopotów dnia codziennego i stalinizmu; Disneyland, jak po latach mówili. W zamian zgodnie z propagandowymi hasłami mieli udowodniać, że Ziemia Odzyskana były i są rdzennie polskie, że „wróciły do macierzy”, że byliśmy tu, jesteśmy i będziemy. Mieli też budować socjalizm i przekonywać do niego antykomunistycznie nastawionych przesiedleńców z Kresów. W 1946 r., w obecności wściekłego Bieruta, doszło np. w Szczecinie do wielkiej manifestacji poparcia dla Mikołajczyka, nadziei wielu Polaków. Podobno nawet harcerze nieśli jego samochód na ramionach. Wiktor Woroszyński dołączył więc do akcji zniesławiania „Mikosrajczyka”, „Znikołajczyka”, jak go nazywał, produkując o nim śmieszne według niego fraszki, np.: „Kochał Polskę Mikołajczyk? / Nie, on kochał obcy wywiad / Zwarzył piwa, potem wywiad”. Poświęcił mu też pamflet pt. „Idol”. Gałczyński natomiast pisywał np.: „To Szczecin spał nasze flagi wstążką koloru Odry / Armii Radzieckiej chwała, / Salut portowi znad Odry” czy „Kantatę na otwarcie rozgłośni”: „Któż cię piękna zbudował? / Socjalistyczny zespół, ludzie upartego znoju / złożyli nam ten dar na wierną służbę pokoju”. Andrzejewski z kolei pisał agitacyjne broszury, których bardzo się później wstydził, o wszystkich mówiących tytułach: „Partia i twórczość pisarza”, „O człowieku radzieckim”. To w Szczecinie, o czym trąbiły gazety, wstąpił ostentacyjnie do partii, jeszcze wtedy do PPR, był wielką „fiszą” – posłem na Sejm, „pokojuwcem”, członkiem Wojewódzkiego Komitetu Obrońców Pokoju, Zarządu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Został też pierwszym prezesem szczecińskiego oddziału Związku

Literatów, bardzo nielicznego – inteligencji było tu jak na lekarstwo. Mimo to Warszawa i władze lokalne naciskały na szybki wzrost „pogłowia”, jak żartowano, inżynierów dusz. Prezes Andrzejewski brał więc chętnych niemal z łapanek, nawet na podstawie maszynopisów planowanych książek. I choć wiedział, że Szczecin to przystań wielu bandziorów na lewych papierach, nie sprawdzał, choćby pobieżnie, komu wręcza liczącą się wtedy pisaarską legitymację, co dało tragiczne rezultaty. W 1950 r. przyjął do związku Wojciecha Świerkiewicza, dziennikarza „Kuriera Szczecińskiego”, byłego oficera angielskiej marynarki, jak się przedstawił, autora wydanej w Czytelniku (!) powieści „Sydney, jeden z wielu”. Przez trzy lata zażywał Świerkiewicz sławy literata – reprezentował Szczecin na zjeździe pisarzy w Czechosłowacji, balował w Klubie 13 Muz. Dopiero w 1953 r. jeden z ukrywających się tu AK-owców rozpoznał go na ulicy, narobił krzyku – był to bowiem sam Ludwik Kalkstein, wielki zdrajca, agent gestapo, który wydał gen. Grota-Roweckiego, przywódcę AK, i wielu AK-owców! Czy to wtedy Gałczyński napisał swój słynny dwuwiersz: „Kurwa, agent, glina – to obraz Szczecina”?

Ucieczki z pisarskiego Disneylandu zaczęły się bardzo szybko, już w 1949 r., po odwołaniu wojewody Borkowicza, który pobił ubeka. Jego następcy niechętnie odnosili się do warszawskiego „desantu”, zajmującego najlepsze wille. Skończyło się przysyłanie mu służbowych aut, komunikacja miejska była ciągle w powijkach, wyprawa z Głębokiego na zakupy stała się więc koszmarem. Nie powstały też zapowiadane przez Borkowicza redakcje, wydawnictwa, inteligenckie kluby. Szczecin był i długo jeszcze pozostawał intelektualną pustynią. ©©



Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Niewolnik nie pyta: „Czemu?”. Człowiek wolny owszem – pyta, kwestionuje, stara się odkryć sens działań lub zakazów. Podstawowe pytanie od zarania. Masz je prawo stawiać, masz obowiązek.

Czemu Polska kupuje szczepionkę na COVID u pośrednika w Brukseli? Czemu nie kupujemy samodzielnie? Czemu tylko tę jedną szczepionkę firmy Pfizer, skoro istnieje kolejna lepsza (firmy Moderna, o skuteczności 94,5 proc.)? I czemu nie kupimy wszystkich szczepionek, jakie są – tak na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że któraś z nich ma ukryte i nieznane jeszcze wady?

Czemu lekarzom zabrania się stosowania niektórych leków? Czemu do każdego leku są oficjalne wytyczne: na co wolno stosować, a na co nie? Czemu nie stosujemy leków, tylko czekamy na szczepionkę? Czemu lekarzowi w porozumieniu z pacjentem nie wolno stosować DOWOLNYCH środków w próbach ratowania życia? Gdy umieram, chcę, żeby lekarz miał prawo podać mi leki eksperymentalne – na moje ryzyko, bo umieram (Trump podpisał dekret i w USA wolno.)

Czy nowe szczepionki na COVID przejdą procedury, których wymaga prawo? Już państwu powiem, że nie, bo nie ma czasu – władza po prostu zignoruje przepisy (o dopuszczaniu leków), które sama stworzyła. Czemu więc nie zignoruje ich wobec wszystkich leków? Starego leku z chininą, który ratuje życie wielu w USA, w RP podać nie wolno – na malarię wolno, na reumatyzm wolno, ale umierającemu na COVID nie wolno. To ten sam lek, przebadany i dopuszczony,



FOT. W. CEJROWSKI / D. MARCZOWSKI

CZEMU?!

tylko inna choroba. Czemu nie wolno, w sytuacji gdy wolno będzie podać nową szczepionkę testowaną na wariata?

Moja ciotka dostała objawów. Lekarz odmawia wizyty, bo ciotka nie ma testu na COVID. Dwa lata temu, gdy miała objawy żółtaczki, nie wymagał testów na grypę ani na żółtaczkę, ani na żadną z chorób groźniejszych od COVID – przyjmował i leczył. W czasie powstania warszawskiego lekarze szli pod kule, aby ratować pacjentów. Czemu dzisiaj nie chcą iść pod COVID? I w ogóle, JAKIM PRAWEM odmawiają wykonania usługi, za którą w systemie publicznej opieki zdrowotnej wszyscy zapłacili z góry, więc nam się NALEŻY bez proszenia i bez warunków wstępnych?

Czemu pozamykano baseny pełne chloru? Każą nam się dezynfekować, myć ręce, lać dużo wody, a basen to miejsce, gdzie nawet w powietrzu pełno chloru, a do tego dużo wody pod prysznice. Czemu więc nie wolno na basen?

W Kalifornii na COVID zmarło tylko DWOJE dzieci. Czemu więc szkoły są pozamykane? Na grypę umiera więcej. Czemu

więc szkoły są pozamykane z okazji COVID? Czemu są pozamykane w Polsce? Jaka za tą decyzją stoi teza NAUKOWA?

Rząd RP postawił taki cel: jeśli zakażeń będzie mniej niż 75 na 100 tys. osób, to nie będzie kwarantanny narodowej. Ten cel jest nieosiągalny NIGDY. Jest nieosiągalny nawet dla mniej zaraźliwej grypy. Co to więc za cel? Błaga!

A czy władza określiła jakiś cel ogólny, który spowoduje, że znikną wszelkie ograniczenia? Do jakiej liczby mamy dojść, aby zdjąć maski, iść do kina i wrócić do normalnego życia? Tego celu nikt nie podaje, czyli rujnujemy nasze życie BEZ CELU. Czemu nikt nie bierze premiera za pludry i o to nie pyta?

Zamknięte są 32 branże. Czemu akurat te? Czemu w ogóle?

W Grecji godzina policyjna po godz. 21, we Włoszech restauracje czynne tylko do godz. 22, w Nowym Jorku podobnie. Czemu? Wirus zaraża nocą? Powinno być na odwrót – chcemy rozproszyc ludzi, więc do parku i knajpy część niech sobie idzie właśnie nocą, gdy inni śpią.

Wiosenny lockdown w Anglii i Hiszpanii przyniósł skutki odwrotne do oczekiwanych. Ludzie pozamykani w domach tracili

odporność szybciej i zarażali się częściej (np. przez wentylację). Tego mogliśmy nie przewidzieć wiosną. Ale CZEMU wprowadza się teraz drugi lockdown, skoro już wiemy po pierwszym doświadczeniu, że metoda jest nieskuteczna? Gdyby maski i lockdown były skuteczne, to dziś nie mielibyśmy wzrostu zachorowań i drugiej fali.

Czemu każą nosić maski, skoro eksperyment społeczny pokazał, że maski są bez znaczenia? Niech sobie nosi, kto chce. Ale po co przymus? W tych stanach, w których przymusu nie było, zachorowań jest mniej. Ludzie, którzy je noszą z wyboru, noszą je lepiej. Ludzie, którzy je noszą z przymusu, częściej lekceważą higienę, szarpią niechciany kaganiec brudną ręką. Ludzie, którzy nie noszą maski wcale, są ostrożniejsi, częściej zachowują dystans – właśnie dlatego, że NIE mają maski.

Czemu to wszystko służy, skoro jest takie bez sensu? Na to pytanie odpowiedział we wrześniu premier Kanady Justin Trudeau, przemawiając do ONZ. Powiedział: „Ta pandemia daje okazję na »reset«. To nasza szansa na przyspieszenie wcześniejszych wysiłków, aby zmienić systemy ekonomiczne...”. Nie wspomniał o ratowaniu ludzi przed wirusem, mówił o wprowadzeniu nowego porządku świata.

Kiedyś te procesy przebiegały wolniej i były dyskretniejsze. Teraz przyspieszyły. Odebrano fundamentalne prawa – za spacer po parku, za chęć oddychania świeżym powietrzem ludzie są aresztowani. Za chęć pójścia do pracy lub do kościoła – we Francji wprowadzono całkowity zakaz odprawiania mszy św., ludzie aresztuje się nawet za modlitwę przed kościołem.

Tu nie chodzi o kwestie zdrowotne – to próba zainstalowania tyranii. Oto „czemu”? ©

**UWAGA – OD LISTOPADA
NOWE CENY PRENUMERATY**

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

POŁROČZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE PAKIET
KSIĄŻEK

K. PINKOSZ „ZDROWE DZIECKO? NATURALNIE!”

M. TARASZKIEWICZ, Z. NALEPA „JAK WSPIERAĆ
DZIECI W KRYZYSIE?”



~~300~~ zł

177,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 213 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPLATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 65b11aff79



TAK DBAMY O TWOJE BEZPIECZEŃSTWO



Jedyne w Polsce stacje wyposażone
w specjalistyczne urządzenia
oczyszczające i filtrujące powietrze*



Maseczki i płyny do dezynfekcji w ofercie stacji



Płatności na odległość ORLEN PAY



Mobilny kasjer dostępny
na podjeździe stacji

* Według aktualnego stanu na dzień 16.10.2020 r.

#bezpiecznyORLEN